

ARTUR GÓRSKI

autor bestsellerowych rozmów  
ze świadkiem koronnym Masą



**ZA  
KRATAMI**

NIECENZUROWANA OPowieść  
O POLSKICH WIĘZIENIACH

Prószyński i S-ka

ARTUR GÓRSKI

# ZA KRATAMI

*Prószyński i S-ka*

Copyright © Artur Górski, 2022

Projekt okładki  
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce  
© Dave Wall/[Arcangel.com](http://Arcangel.com)

Zdjęcia w tekście  
© Laski Diffusion, Agata Pilarska-Jakubczak, Album/Prisma,  
Łukasz Szelemej (2), K. Mięka, M. Stelmach/Wprost – EAST NEWS

© Wojtek Jargiło (2), Donat Brykczyński, Przemysław Szyszka,  
Łukasz Szeląg (2), Jacek Domiński, Piotr Kamionka (2),  
Michał Dyjuk, Michał Kość/Agencja Wschód – REPORTER

Zdjęć w książce nie traktujemy jako ilustracji  
do konkretnych rozdziałów, ale jedynie jako  
uzupełniający materiał reporterski.  
Dlatego też nie zostały podpisane.

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Agata Ludwikowska

Korekta  
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8295-758-7

Warszawa 2022

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

## Od autora

Tematyką więzienną zajmuję się od dawna. Jako dziennikarz czy autor książek odwiedziłem wiele zakładów karnych, gdzie przeprowadzałem wywiady z osadzonymi. Miałem także możliwość porozmawiać na temat rodzimego więziennictwa z funkcjonariuszami Służby Więziennej.

Efektom tych spotkań stały się dziesiątki artykułów i kilka książek, w których więzienie, zwane potocznie „puchą”, stanowi bohatera na własnych prawach. Wystarczy wymienić takie publikacje, jak *Słowikowa o więzieniach dla kobiet*, *Majami, zły pies* czy *Gang*. Również w mojej serii – pisanej z Jarosławem Sokołowskim – *Masa o polskiej mafii* wątki więzienne odgrywają znaczącą rolę.

Na tym nie koniec. Przez długi czas w mojej pracy dziennikarskiej zajmowałem się tematyką NRD-owskiej tajnej policji Stasi i jeździłem po niemieckich zakładach karnych, określanych mianem „katowni безпеki”, zbierając materiały do książek i artykułów. To było inne doświadczenie, ale jakże pouczające.

Temat więzień jest obecnie zaskakująco popularny, także za sprawą kina czy literatury kryminalnej, ale obraz, który przekazuje nam kultura popularna, znacząco różni się z rzeczywistością. Owszem, co jakiś czas pojawiają się książki pisane przez osoby, które znają temat z własnego doświadczenia, ale ich przekaz jest jednostronny, pisany z określonej perspektywy: osadzonego, strażnika, szefa zakładu karnego czy lekarza więziennego.

Książka *Za kratami* jest próbą szerszego spojrzenia na temat – są zatem i relacje więźniów, i tych, którzy ich nadzorują, oraz tych, których zadaniem jest przywrócenie ich do normalnego społeczeństwa, czyli wychowawców. Oddałem głos także funkcjonariuszom zwolnionym z pracy oraz rodzinom osadzonych – ludziom, którzy cierpią w milczeniu i których dramat mało kogo obchodzi.

W książce pojawia się też wątek Adama Dudały odsiadującego wieloletni wyrok za podwójne zabójstwo, którego – wiele na to wskazuje – wcale nie popełnił. Wprawdzie nie dostałem zgody na widzenie z nim, ale odbyliśmy kilkanaście rozmów telefonicznych, za które jestem wdzięczny administracji zakładu karnego. W tej książce stawiam pytanie: jak wynagrodzić niewinnie osadzonemu złamane życie (mam na myśli wszystkich, którzy zostali skazani niesłusznie), ponad dwadzieścia lat spędzonych w celi. Człowiek, który wychodzi z zakładu karnego po ćwierćwieczu, nie wyrzuci z głowy tego, co zostawił za

murem. Ma świadomość, że państwo po prostu go skrzywdziło, zabierając mu szansę na wszystko, co rozumiemy pod pojęciem życiowych osiągnięć i kariery. On wie, że jego życie jest już przegrane. Takiego stanu przeciętny obywatel nawet nie może sobie wyobrazić.

Stawiam zatem pytanie, ale żadna sensowna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy.

Czytelnikowi nie życzę miłej lektury – ona nie ma prawa być miłą. To ponura książka. Mam jednak nadzieję, że skłaniająca do refleksji nad rzeczywistością, w jakiej osadzeni pokutują za swoje grzechy. I do rozważenia, czy więzienie rzeczywiście pomaga skazanemu stać się lepszym człowiekiem. I czy w ogóle o to w tym wszystkim chodzi?

Artur Górski

## Przychodzi wezwanie do stawienia się...

W końcu przyszło.

Doskonale wiedziałeś, że tak się stanie, nie wydarzy się żaden cud, a jednak w głębi ducha wierzyłeś, że komuś się coś pomyli, coś się gdzieś zawieruszy, ktoś się za tobą wstawi i uratuje cię przed tym, co nieodwołalne. Przecież nie jesteś żadnym przestępcą – każdy, kto cię zna, zapewni, że porządny z ciebie gość: uczciwy, serdeczny, rodzinny. To, że ta babka wlała na pasy, a ty jej nie zauważyłeś – przecież było ciemno, lał deszcz jak z cebra – jeszcze nie robi z ciebie jakiegoś zwyrola. Nie chciałeś jej potrącić, robiłeś, co mogłeś, żeby ją wyminąć, ale... nie wyszło. Może dlatego, że była o kulach i nie zrobiła żadnego uniku. A może dlatego, że wypileś na imieninach kolegi te nieszczęsne trzy szklaneczki whisky i trochę ci się spowolniły reakcje. Twój prawnik zapewniał, że jakoś się z tego wyślizgasz, bo nigdy nie miałeś jakichkolwiek problemów z prawem, masz doskonałą opinię z miejsca pracy, a kobieta sama była sobie winna. No, może niezupełnie. Ale przestępstwo nieumyślne to nie to samo, co z premedytacją! W każdym razie prawnik coś tam pieprzył o zawiasach, o nadzorze elektronicznym... Takie tam prawnicze gadanie.

Kiedy w południe usłyszałeś dzwonek do drzwi, nie miałeś wątpliwości, że to listonosz – od ogłoszenia wyroku w drugiej instancji minęły trzy tygodnie, a więc to musiało być wezwanie do odbycia kary pozbawienia wolności w zakładzie karnym. Mniej więcej tyle czasu trzeba, aby twoja sprawa pojawiła się w systemie Służby Więziennej.

I rzeczywiście – kwitujesz odbiór przesyłki i czytasz najgorszy komunikat w swoim życiu: „Skazanego na karę pozbawienia wolności sąd wzywa do stawienia się w wyznaczonym terminie w areszcie śledczym, położonym najbliżej miejsca jego stałego pobytu, wraz z dokumentem stwierdzającym tożsamość. Sąd może polecić doprowadzenie skazanego do aresztu śledczego bez wezwania”.

Pamiętasz? Brałeś pod uwagę różne scenariusze – że uciekniesz, gdzieś się ukryjesz, zmienisz wygląd. Pojedziesz w Bieszczady i nikt tam nie będzie cię szukał.

Tym, którzy cię żalowali, mówiłeś: nie ma wała, nie dam się zamknąć, to przecież, kurwa, niemożliwe. Ale wciąż też słyszałeś, że kara jest nieunikniona, a robiąc coś głupiego, można tylko pogorszyć sytuację. Bo to życie, a nie powieść

*Hrabia Monte Christo*. Zresztą jej bohater też trafił do puchy i dopiero z niej się ukręcił.

Oczywiście, wiesz, dokąd się udać – kilkakrotnie ci uświadomiano, jaki zakład karny znajduje się najbliżej twojego domu. Jeśli jesteś z dużego miasta, powiedzmy z Warszawy, masz wybór – możesz pojechać na Białołękę, na Kłobucką albo na Chłopickiego. Poza stolicą nie zostaniesz przyjęty.

Jeśli jesteś z mniejszej miejscowości – wybór masz ograniczony. Ale co to za różnica? Więzienia aż tak bardzo się między sobą nie różnią, zresztą nie masz pewności, czy po tak zwanej przejściówce nie zostaniesz wywieziony w jakieś inne miejsce na mapie Polski.

Owszem, zdarzają się przypadki, że skazany chce trafić do określonego ZK, który znajduje się daleko od jego miejsca zamieszkania, i zmienia sobie na tę okoliczność meldunek, ale powiedzmy, że ciebie to nie dotyczy.

Oczywiście, na razie nie myślisz o tym, dokąd ostatecznie trafisz – na razie masz przed oczami bramę, którą przekroczysz już niedługo, i niejasny obraz tego, co czeka cię za murem. Może niepotrzebnie naoglądałeś się tyłu filmów, których akcja dzieje się za kratami, bo wiesz z nich jedno: idziesz tam nie po to, aby rozliczyć się ze sprawiedliwością, ale po to, aby przeżyć koszmar upokorzenia. Z drugiej strony, dobrze, że już wiesz, że nie czeka cię pobyt w sanatorium.

Żeby było jasne: nikt ci nie zapewnił biletu na przejazd, nie jedziesz w delegację służbową – to musisz ogarnąć we własnym zakresie. Najważniejsze, żebyś stawił się w zakładzie karnym niezwłocznie; żeby na ciebie nie czekali. Bo tam pracują nerwowi goście – jeśli uznają, że się spóźniasz, wyślą po ciebie policję i zostaniesz doprowadzony siłą. A to będzie bardzo zły początek – osadzony doprowadzony przez policję jest traktowany gorzej niż ten, który pojawił się z własnej woli (choć można dyskutować, czy jest to rzeczywiście własna wola). Na pewno okoliczność ta zostanie uwzględniona przy ocenie okresowej – będzie brana pod uwagę przez sąd penitencjarny (naturalnie, za jakiś czas), od którego zależy, czy wyjdiesz na wolność przedterminowo, czy też nie. A póki co, może mieć znaczenie przy kwalifikacji do podgrupy, o czym za chwilę.

Jest patent na krótkie odwleczenie początku odsiadki – żebyś został przyjęty, musisz się stawić w godzinach pracy administracji zakładu karnego, czyli z reguły do szesnastej. Ktoś przecież musi potwierdzić, że się stawiłeś, zabrać twój dowód osobisty, wypełnić wszystkie niezbędne kwity.

Jeśli zapukasz za pięć szesnasta, usłyszysz, że masz się stawić następnego dnia. Czyli jeszcze jedna noc z żoną/mężem/kochanką/kochankiem/w samotności – przed tobą.

Ale czy warto? Czy nie lepiej zacząć odsiadkę jak najszybciej, żeby jak najszybciej ją skończyć?

Powiedzmy, że nie chcesz, aby rodzina ci towarzyszyła w tej „ostatniej drodze” – nie życzysz sobie rozdzierających scen albo kolejnej porcji zarzutów, że zmarnowałeś czyjeś życie, że naznaczyłeś dzieci piętnem potomków kryminalisty. Zawozi cię kolega, przybija ci piątkę i zapewnia, że będzie cię odwiedzał. Jeszcze nie wiesz, że z tymi odwiedzinami sprawa nie jest taka prosta; że nie będziesz przyjmował gości, jakich chcesz i kiedy chcesz. Rytm odwiedzin określi ci Służba Więzienna, ale o tym dowiesz się już niedługo.

Na razie stawiasz się „na bramie” – tam, gdzie koczują rodziny osadzonych, czekające na widzenie. Widzisz zrobione na bóstwo kobiety o smutnych oczach i małe dzieci, które, nie wiedzieć czemu, zachowują się tak beztrosko, jakby nie zdawały sobie sprawy, gdzie są i co się dzieje z tatą. Przez chwilę zastanawiasz się, czy twoje dziecko też będzie traktowało wizytę w pierdlu jak w jakiejś pieprzonej Hulakuli. Przekonasz się – za miesiąc, dwa. No, może za pół roku, bo żona przez długi czas będzie się kładła Rejtanem, że dziecko nie powinno oglądać więzienia. W końcu ulegnie.

Masz ze sobą bardzo niewiele – tak naprawdę tylko ubranie i jakieś podstawowe rzeczy. Potem, w zależności od tego, do jakiej podgrupy zostaniesz zakwalifikowany, będziesz mógł mieć ich więcej.

Na razie trafiasz na tak zwaną przejściówkę, na której spędzisz mniej więcej dwa tygodnie – to tam zostaniesz zakwalifikowany na oddział docelowy. Dwa tygodnie to wystarczająco dużo czasu, aby sprawdzić, czy jesteś na coś chory, czy nie przywlokłeś za kraty jakiejś zakaźnej francy, czy nie masz problemów z używkami. I generalnie – jaki z ciebie typ: spokojny czy narwany, twardy czy ze skłonnościami do autodestrukcji, chętny do współpracy ze Służbą Więzienną czy krnąbrny i oporny.

Następnie opinie wychowawców, psychologów i lekarza trafiają do komisji penitencjarnej, która „wrzuci cię” do odpowiedniej podgrupy. Są trzy: jedynka, czyli zakład karny zamknięty (zwany zamkiem), dwójka, czyli zakład karny półotwarty (zwany półotworkiem), oraz trójka, czyli zakład karny otwarty (zwany otworkiem). Ty, który trafiasz za kraty po raz pierwszy, jesteś tak zwaną „petką”, natomiast ci, którzy wrócili z wolności do „chliwa”, są recydywistami, czyli „erkami”. Żeby było jasne: „erka” to ten, kto siedział z wyrokiem. Jeśli do więzienia trafia osadzony, który przebywał w areszcie śledczym nawet przez dłuższy czas (do dyspozycji prokuratora), ale jego sprawa nie zakończyła się prawomocnym wyrokiem – także jest „petką”. Choć zna on więzienne realia nie gorzej niż stary „recedens”. W penitencjarnym alfabecie jest jeszcze „emka”, czyli osadzony młodociany – taki, który jeszcze nie przekroczył 21. roku życia.



Tak naprawdę to powinien być naznaczony literką „D” – od „dziecko”, ale dla wymiaru sprawiedliwości dzieciństwo kończy się bardzo szybko.

Na marginesie – pewien nieżyjący już boss jednej z dużych stołecznych grup przestępczych powiedział mi kiedyś, że wsadzanie młodziaków z wyrokami dłuższymi niż pół roku to nieporozumienie. Przynajmniej takich, którzy wpadli za coś drobnego – za jakiś włam.

Wystarczy kilka miesięcy, żeby młody się przekonał, że pierdel to potworne miejsce, i po wyjściu na wolność zrobi wszystko, aby nigdy więcej do niego nie wrócić. Jeśli posiedzi dłużej, to nasiąknie więzieniem, stanie się prawdziwym kryminalistą i już nigdy nie wróci do normalnego świata.

Ty raczej nie trafisz na zamek – to jest miejsce dla recydywistów czy „pezetów” (członków zorganizowanych grup przestępczych) oraz skazanych za poważniejsze przestępstwa: za „głowę”, za handel narkotykami czy za „majty”, a więc gwałt i wymuszenie czynności seksualnej (artykuł 197 Kodeksu karnego). Ty stałeś się przestępcą niejako przez przypadek, przez zrzędzenie losu, wbrew twojej woli. No, ale jednak!

A gdzie trafisz? O tym za chwilę.



Jeśli chodzi o wspomniane „pezety”, to jest to podgrupa w podgrupie – sprawdza się delikwenta nawet przez trzy miesiące i albo mu się zdejmuje tę kwalifikację, albo dalej utrzymuje. „Pezety” uważają się za więzienną elitę – ostatecznie nie siedzą za jakieś frajerskie włamy czy alimenty, ale za to, że naprawdę siali grozę na mieście i nawet policja bała się konfrontacji z nimi.

Dla gości specjalnych jest specjalna atrakcja, czyli „enka” – oddział dla więźniów niebezpiecznych (słynne czerwone stroje), ale rzadko kto trafia tam od samego początku. Nawet zabójcy, jeśli nie wykazują się agresją wobec innych osadzonych czy gadów (strażników więziennych), nie są wrzucani do pojedynczych cel pod specjalnym nadzorem. Zresztą, nie w każdym zakładzie karnym jest typowa „enka”. Jeśli „wjeżdża” ktoś, kto wykazał się szczególnym okrucieństwem i ma skłonności psychopatyczne, musi być odpowiednio potraktowany. Jak słynny Kajetan P. – ten, który z zimną krwią zamordował swoją nauczycielkę języka włoskiego, po czym poćwiartował jej ciało, wrzucił do walizki i wiózł taksówką przez pół miasta. Oczywiście, „enka” w tym przypadku nie jest jakąś dodatkową karą – jest po prostu środkiem zapobiegawczym. Zarówno „enka”, jak i „pezet” nie są kwalifikacją raz na zawsze, bywają zdjęte, choć jeśli chodzi o to drugie – zdarza się to raczej rzadko. W sumie, to żaden honor dla mafiosa przestać nim być za sprawą decyzji komisji kwalifikacyjnej zakładu karnego. Mimo że „pezety” nie mają lekkiego życia – i radsze odwiedziny bliskich, ograniczoną możliwość korzystania z zajęć kulturalno-oświatowych i kiepskie szanse na zatrudnienie. Nie mówiąc już o przepustkach.

Pewnie liczysz na to, że zostaniesz zakwalifikowany na „otworek”, gdzie życie toczy się trochę inaczej niż na „zamku” – słusznie – jednak wiele zależy od ciebie. Czas na przejściówce to czas na urządzenie sobie ponurej rzeczywistości na warunkach możliwie znośnych. Tak naprawdę to wychowawca, z którym odbędziesz kilka rozmów, zarekomenduje cię przed władzami więzienia do określonej podgrupy. Jesteś „petką”, nie grypsujesz, nie latałeś z kopytem po ulicy – masz wiele atutów w rękę. Nigdy nic nie wiadomo.

Przed tobą cela na przejściówce – nie będziesz siedział sam: z tobą będzie jeszcze najmarniej czterech lub pięciu innych skazanych. I byłoby dobrze, żebyś się z nimi dogadał. Bo nie dogadać się w domu czy pracy a nie dogadać się za kratami to dwie różne sprawy – tu będziesz musiał być z wrogiem czy osobą ci niechętną non stop na powierzchni sześciu metrów kwadratowych. I w tym filmie mogą być naprawdę dramatyczne zwroty akcji, szczególnie jeśli reszta celi nie będzie po twojej stronie.

Oczywiście teraz, tuż po przekroczeniu bramy, boisz się wszystkiego, wszystko cię przeraża i jeśli ktoś pod celą okaże wobec ciebie wrogość – nie będziesz się stawiał. Przyjmiesz na siebie wszystko. Dlatego postanawiasz z nikim nie

zadzierać, siedzieć cicho, nie prowokować sytuacji konfliktowych. Rzecz w tym, że doświadczeni osadzeni są jak psy – wyczuwają strach, wyczuwają panikę. I choćby z nudów, choćby dla rozrywki, zaczynają dojeżdżać świeżego frajera – żeby się dowiedział, w jakim świecie żyje.

Dlatego na przejściówce nie wrzuca się do jednej celi recydywistów i tych ze statusem „petki” – każda z kategorii siedzi osobno. Oczywiście, czasami obłożenie pierdła jest tak duże, że nie ma wyjścia i trzeba mieszać kategorie, ale są to sytuacje stosunkowo rzadkie.

Inna sprawa, że zdarzają się „petki”, które od początku chcą być traktowane jak więzienna elita, a nie frajerstwo – deklarują wychowawcy, że grypsują i chcą trafić do celi z takimi samymi. Choć akurat grypsującym można zostać jedynie w efekcie odsiadki i ten, kto zgłasza przynależność do tej subkultury, a jest za kratami po raz pierwszy, pokazuje, że nic nie rozumie.

Zdaniem wychowawców, takie zachowanie często wynika z tego, że osadzony chce sobie zagwarantować na starcie jak najwyższą pozycję, a nie walczyć o nią mozolnymi zabiegami i przekonywaniem doświadczonych osadzonych, że nie jest wielbłądem, tylko prawdziwym urką.

Na przejściówce nie dzieje się nic szczególnego – oprócz rozmów z wychowawcami czy badań wieje nudą. Nudzą się szczególnie ci, którzy mieli wątpliwą przyjemność być już kiedyś w tym pensjonacie – nie ma tu telewizora ani nawet odbiornika radiowego. Tak naprawdę jest tylko stół. Tu się nie siedzi – tu się czeka. A gady obserwują cię cały czas, bo cele przejściowe zawsze są monitorowane: ostatecznie nie wiadomo, z kim ma się do czynienia. Przecież może się zdarzyć, że delikwent odpuści sobie czekanie na przydział do podgrupy i wybierze drogę „wybujania się”, czyli samobójstwo. I choć nowo przybyli osadzeni są pod ścisłym nadzorem, zdarzają się przypadki odebrania sobie życia. W afekcie, w histerii, z przerażenia. Być może dwa tygodnie później, już na docelowym oddziale, desperat wybrałby jednak życie.

Nowi osadzeni to, cytując Forresta Gumpa, pudełko czekoladek – nigdy nie wiesz, na co trafisz. Jeden zamyka się w sobie, nie można wydobyć z niego choćby jednego słowa. Drugi na nową sytuację zareaguje agresją – będzie się o wszystko wyklócał, będzie się rzucał i na strażników, i na współosadzonych. Tak naprawdę oba typy są niełatwe i nieprzewidywalne. Jeszcze inni chcą się dowiedzieć wszystkiego o swojej sytuacji i najbliższej przyszłości – zasypują wychowawców gradem pytań, mają wątpliwości, tworzą problemy. Najczęściej pytają o to, kiedy wreszcie będą mogli zobaczyć się z rodziną. W drugiej kolejności – o to, kiedy dostaną swoje ubrania. I te, które zdeponowali w magazynie, i te – z wolności. No, ale talon na ubrania, na którym wszystko zostanie wyszczególnione (na przykład koszula – sztuk dwie, spodnie – sztuk

dwie, majtki – sztuk pięć), to dalsza kwestia. Na ostatnim etapie przejściówki tuż przed odesłaniem na oddział docelowy.

Powiedzmy, że twój okres przejściowy dobiega końca i zastanawiasz się, dokąd cię przewiozą. A może cię nie przewiozą, tylko pozostawią w tym zakładzie karnym, w którym przebywasz – ostatecznie jest taka zasada, że osadzony powinien odbywać karę w miarę możliwości blisko swojego miejsca zamieszkania. Żeby rodzina nie musiała jechać na widzenie kilkaset kilometrów. To teoria – w praktyce bywa zupełnie inaczej.

Jeśli twój wyrok opiewa na nie więcej niż dwa lata – możesz liczyć na to, że już nigdzie nie będziesz przewożony. To wynika z Kodeksu karnego wykonawczego. Ci, którzy mają dłuższe wyroki, najczęściej są transportowani – nawet do innej części kraju. Nie wiadomo, czemu ma to służyć. Być może chodzi o to, że osoba, która zasłużyła na większy niż dwuletni wymiar kary, musi trafić do odpowiedniej jednostki, czyli, co tu dużo gadać: nie za lekkiej. Z tego powodu rodowity góral z Zakopanego musi się liczyć z „wycieczką” na północ, na przykład do Kamińska tuż przy granicy z obwodem kaliningradzkim. To taka penitencjarna synergia skazanego i spersonalizowanego pod niego pierdła.

Co ciekawe, osadzonemu, który rusza w drogę do innego zakładu karnego, nie mówi się, dokąd jedzie – to ma być dla niego niespodzianka. Podróżuje kabaryną (furgonetką SW) bez okien, więc nawet nie ma szans zorientować się, w jakim kierunku podąża. Dokąd trafił, dowiaduje się dopiero na miejscu.

Zresztą taka droga bywa długa i kręta – jeśli delikwent jedzie na przykład z Warszawy do Sztumu (a Sztum to nawet twardzi recydywiści wolą omijać szerokim łukiem), to jego kabaryna zbiera po drodze innych osadzonych, którzy mają tam trafić. Czyli musi zahaczyć o kilka innych zakładów karnych – czasami więc taka jazda trwa nawet tydzień.

Jak w starym żydowskim dowcipie: „Mosze, dokąd idziesz? Idę jechać siedzieć”.

## Byle nie jechali po rajtach

W 2003 roku wydarzeniem w polskim kinie stał się film Konrada Niewolskiego *Symetria*, pokazujący brutalną prawdę (można się spierać, czy prawdę, czy prawdę ekranu) o życiu pod celą. Niewolski sam spędził pół roku za kratkami – za nielegalne posiadanie broni – więc temat zna lepiej niż większość reżyserów.

Bohaterem filmu jest młody człowiek, który trafia do aresztu śledczego z podejrzeniem o napad na staruszkę i musi jakoś przetrwać w zupełnie obcym dla siebie środowisku. Jest niewinny, ale przecież jego zapewnienia nie mają dla sądu żadnego znaczenia. Jest przerażony, ale to nie budzi sympatii więziennych funkcjonariuszy, a prowokuje do agresji kompanów spod celi. Na przejściówce pewien życzliwy radzi mu, aby dołączył do grypsujących, bo tylko wśród nich będzie bezpieczny, i bohater próbuje stać się częścią tej subkultury. Nie dlatego, że tego chce, ale dlatego, że chce jakoś przetrwać koszmar. Jedną z ciekawszych scen *Symetrii* rozgrywa się, gdy bohater trafia do celi już na oddziale. Staje w drzwiach (jak kto woli – kłapie) z miską pod brodą i spanikowanym wzrokiem wodzi po swoim nowym mieszkaniu. Doświadczony recydywista widzi strach nowo przybyłego i zadaje sakramentalne pytanie:

- Za co?
- Za napad.
- Dycha? Skąd jesteś?
- Z Mokotowa.
- Nikogo nie sprzedałeś?
- Nie.

– Zadawaj na psy, od razu chuj w dupę – pada ponure ostrzeżenie. Chłopak pokornie kiwa głową.

– Jako świeżak będziesz na odstawce – wyjaśnia git, ale świeżak niewiele z tego rozumie. – Na bajerę masz podklepywać do mnie. Przez pierwszy tydzień chodzisz na wszystkie spacery. Zobaczymy, czy nikt ci nie będzie jechał po rajtach. To kojo jest twoje.

Bohater już wie, że lekko nie będzie, ale nie zdaje sobie sprawy z tego, co go czeka w najbliższym czasie. Bo ten, kto wjeżdża po raz pierwszy, a zna więzienie tylko z filmów (z reguły innych niż *Symetria*), nie jest w stanie sobie wyobrazić wszystkich jego „atrakcji”.

\* \* \* \* \*





To, że większość „petek”, za którymi zamyka się brama więzienia, ma strach w oczach, jest zrozumiałe. Wkraczają do przerażającego świata, który mieli oglądać tylko na ekranie telewizora. Ale i dla wychowawców każdy nowy osadzony to wielka niewiadoma. Może być różnie – zdarza się, że gość, który kozaczy i robi problemy, nagle pęka i uchodzi z niego powietrze, ale też bywa, że kulturalny pan z tytułem naukowym zamienia się w bestię. Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli osadzony zrobi krzywdę komuś albo sobie, odpowiedzialny będzie wychowawca – bo nie wyczuł w porę problemu i nie zapobiegł kryzysowej sytuacji. To właśnie do wychowawcy trafia nowo przybyły na oddział mieszkalny i to z nim odbywa pierwszą rozmowę. Jak ona wygląda? Czego można się dowiedzieć o skazanym?

Według Doroty (imię zmienione), byłego wychowawcy z Zakładu Karnego w Warszawie przy ulicy Chłopickiego (zwanego Kamczatką), ta pierwsza rozmowa jest bardzo istotna dla obu stron.

**Artur Górski:** Siedzi przed tobą człowiek, o którym tak naprawdę nic nie wiesz – wiesz, za co trafił za kraty, ale to jeszcze nie znaczy, że jest z gruntu zły i że trzeba go traktować jak wyrzutka społeczeństwa – w jakimś sensie jest nim, ale przecież nic nie jest czarno-białe. Jego powrót do normalnego świata zależy także od ciebie.

**Dorota:** Ta pierwsza rozmowa ma charakter ogólnoinformacyjny – pytam o wiek, wykształcenie, o szkołę, jaką ukończył. Interesują mnie także jego upodobania, pasje. Dowiaduję się, co chciałby robić w więzieniu. Jeśli na przykład był brukarzem czy murarzem na wolności, to i w warunkach odbywania kary znajdzie się dla niego robota.

**AG:** Na terenie zakładu karnego czy poza nim?

**Dorota:** To zależy od wielu rzeczy – od podgrupy, od długości wyroku. Jeśli ktoś ma wyrok niższy niż dwa lata, to z reguły nie dostaje pracy na zewnątrz.

**AG:** Nie rozumiem. Przecież niski wyrok oznacza, że chodzi o osobę mniej niebezpieczną, bardziej przewidywalną niż taka, która ma do odsiadki kilkanaście lat.

**Dorota:** To kwestia natury administracyjnej – za pracę skazanego odprowadza się składki, jest mnóstwo papierologii, a skoro gość i tak niedługo wychodzi na wolność, nie ma sensu tracić czasu na biurokrację.

Bardzo ważne pytanie dotyczy osób, które go będą odwiedzały – te, które poda podczas pierwszej rozmowy, znajdują się na jego liście widzeń. I te osoby nie będą

musiały występować o zgodę na spotkanie z osadzonym. Jeśli o kimś zapomnieliś – a przecież o to nietrudno w tak stresującej sytuacji – wyszedłeś i zamknąłeś za sobą drzwi, klamka zapadła. Teraz na każdą kolejną osobę będziesz musiał mieć osobną zgodę władz zakładu karnego. I nie będzie to tylko formalność – często ktoś dopisany do listy będzie musiał się pofatygować do szefostwa ZK i opowiedzieć, dlaczego chce odwiedzać więźnia. I przeważnie dostaje zgodę jednorazową. Tak więc, lepiej dobrze przemyśleć, a raczej – nauczyć się na pamięć, kogo chcemy mieć na liście widzeń.

**AG:** Jako dziennikarz, które często odwiedzał osadzonych w polskich więzieniach, przekonałem się, że o takie pozwolenie wcale nie jest łatwo. Przeważnie w końcu się je dostaje, ale trzeba trochę przy tym pochodzić i uzbroić się w cierpliwość. Często nie wystarczała zgoda dyrektora ZK, ale potrzebny był placet z Centralnego Zarządu Służby Więziennej.

**Dorota:** Dziennikarze to osobna kategoria – tu władze SW są dość ostrożne. Ale, rozumiem, że miałeś prawo do nagrywania rozmów?

**AG:** Ależ skąd – zarówno dyktafon, jak i telefon zawsze musiałem zostawić na bramie. Pozwalano mi jedynie na notes i długopis. Nawiasem mówiąc, wiele długopisów zostawiłem osadzonym, bo prawie każdy z moich rozmówców pod koniec spotkania zadawał mi sakramentalne pytanie: „A długopis może mi pan zostawić? Bo wie pan, ja dużo piszę”. Nie sposób odmówić.

**Dorota:** Słyszałam o dziennikarzach, którzy wiedząc, że nie dostaną zgody na widzenie z osadzonym, przedstawiali się jako jego kuzyni. Tego przecież nikt nie sprawdza. A czy to jest zgodne z prawem, to już zupełnie inna sprawa. Ostatecznie, mowa o poświadczeniu nieprawdy. Wielu osadzonym tak bardzo zależy na spotkaniu z mediami, na nagłośnieniu ich problemu, że stosują strategię „wszystkie chwytaki dozwolone”. Trzeba też pamiętać, że przedstawiciel mediów nie może wystąpić o spotkanie z osadzonym, jeśli inicjatywa nie wyszła od tego drugiego. To osadzony wnioskuje o spotkanie z dziennikarzem, a ten jedynie ustala termin.

**AG:** Przychodząc do więźnia, zawsze miałem w pamięci, że „zabieram” mu jedno widzenie z miesięcznego limitu. Na przykład widzenie z dzieckiem czy z żoną. Wielu uwięzionym wydaje się, że gra jest warta świeczki, bo dziennikarz napisze i otworzy się przed nimi brama do wolności. Mnie się taka sytuacja nigdy nie zdarzyła. Inna sprawa, że wielu osadzonych po prostu nikt nie odwiedza (choć ich lista wcale nie jest pusta) i szukają partnera do godzinnej rozmowy. Ale nie zdarzyło mi się nie wspomnieć o nich w artykułach.

Wróćmy jednak do tej pierwszej rozmowy, jeszcze na przejściówce. Czy pytasz o preferencje seksualne? Wiadomo, że preferencje to jedno, a realia więzienne to drugie – wiesz, co mam na myśli. Ale to chyba istotna kwestia.

**Dorota:** Kiedyś pytano o to rzadziej, teraz trochę się to zmienia – ostatecznie, na tym tle też może dochodzić do sytuacji, nazwijmy to, kłopotliwych. Oczywiście, osobę o skłonnościach homoseksualnych – szczególnie w wypadku faceta – wprawne oko łatwo rozpozna, ale jednak lepiej wiedzieć to z samego źródła.

**AG:** Zdarza się, że ktoś, kto wjeżdża do więzienia jako „heteryk”, opuszcza je jako „homo”, a przynajmniej ktoś, kto ma na koncie doświadczenia homoseksualne. Niekiedy bolesne.

**Dorota:** Te bolesne doświadczenia nie muszą wpłynąć na orientację, bo często są efektem przemocy ze strony innych osadzonych. Ale, faktycznie, zdarzają się takie odmiany, a w wypadku pań – dochodzi do nich naprawdę często. Ostatnio spotkałam na ulicy moje dwie osadzone – trafiły do zakładu karnego jako osoby heteroseksualne, matki, żony. W czasie odsiadki zbliżyły się do siebie, ale byłam pewna, że po wyjściu na wolność wrócą do starych nawyków. Tymczasem pomyliłam się – są razem po dziś dzień, żyją pod jednym dachem. Naprawdę, wielka miłość. Pamiętam, jaka była ich walka o to, żeby mogły siedzieć pod jedną celą, brać wspólnie udział w zajęciach – podśmiewano się z nich, ale... dopięły swego.

**AG:** A jeśli trafia się ktoś z uzależnieniem od alkoholu czy narkotyków? No bo przecież o to też pytacie.

**Dorota:** Oczywiście – osadzony uzależniony od alkoholu czy prochów naprawdę może być poważnym problemem.

**AG:** Nie chcę powielać stereotypów, ale wśród przestępców – nazwijmy ich zawodowymi – takie uzależnienia są wręcz standardem.

**Dorota:** Tak, ale profesorowie uniwersytetu też nie wylewają za kołnierz i niestety czasem wchodzą w konflikt z prawem. Jeśli facet (czy kobieta) zadeklaruje uzależnienie od alkoholu, to sprawa trafia do psychologa, a ten kieruje go na terapię.

**AG:** A czy nie jest tak, że osadzeni zmyślają sobie uzależnienie, żeby coś się działo; żeby nie siedzieć tylko na pryczy pod celą, ale żeby jeździć na terapię?

**Dorota:** Przecież nie każdy chce się leczyć.

**AG:** Ale każdy lubi urozmaicenie więziennej monotonii.

**Dorota:** Jeśli ktoś pijał okazjonalnie i do kieliszka jedynie trochę tęskni, wystarczy mu rozmowa z psychologiem w jego własnym zakładzie karnym. Jeśli kogoś „telepie”, nie jest w stanie żyć bez wódki czy narkotyków, to musi trafić na oddział terapeutyczny. Gdzieś w Polsce – tych oddziałów nie ma aż tak wiele. Czy rzeczywiście odbywanie tam kary jest bardziej atrakcyjne? Wątpię.

**AG:** Ciekaw jestem, czy w trakcie takiej rozmowy to wychowawca musi wyciągać informacje od osadzonego, czy to raczej osadzonemu bardziej zależy, aby ktoś wysłuchał jego historii, łącznie z jego wersją zdarzeń, które go zaprowadziły za kratki?

**Dorota:** Wszystko zależy od konkretnego przypadku, ale bardzo często to osadzeni są motorem rozmowy. O ile recydywa przychodzi jak po swoje i nie zadaje zbędnych pytań, o tyle „petki” często zalewają nas potokiem słów, informacji, wątpliwości.

**AG:** No, właśnie – jak postrzega was recydywa? Czy wychówek to ta sama półka, co gady, czy nie? Mówiąc krótko, czy wypada wam podać rękę, spoufalić się?

**Dorota:** Chyba żartujesz! Wychówek to coś nawet gorszego od gada, a przynajmniej mniej zasługującego na respekt. Bo jednak gad to siła, a wychówek – takie nie wiadomo co. Skazany nie ma prawa podać ręki wychowkowi – ba, to jest zaszczyt dla wychowka, kiedy skazany raczy go odwiedzić w pokoju. Oczywiście, to jest punkt widzenia więziennych subkultur. No, ale zdarza się, że „petka” przejmuje te standardy – spotka taki gdzieś „sztywnego” recydywistę, pogada z nim i od razu próbuje wskoczyć w jego buty. A jeszcze kilka dni wcześniej był grzeczny, potulny i pełen szacunku dla wychowawcy.

**AG:** Wiadomo, że zakład karny to nie jest miejsce, w którym rozstrzyga się o winie bądź niewinności osadzonego – więzienie jest od wymierzenia kary, a nie ustalania sprawcy. Ale podejrzewam, że zdarzają się „petki”, które próbują przekonać wychowawcę o swojej niewinności, o krzywdzie, którą zrobił im wymiar sprawiedliwości.

**Dorota:** Naturalnie, to jest część stałego repertuaru! Wybielanie się już na starcie jest zachowaniem powszechnym. Zupełnie jakby wychowawca mógł mieć wpływ na przebieg sprawy: „Wychowawco, jestem niewinny, proszę się zająć moją sprawą i doprowadzić do mojego zwolnienia!”. Oczywiście to tak nie działa

– zakładu karnego wersja osadzonego nie interesuje, to sąd jest od wydawania wyroków. Ostatnia szansa na zmianę sytuacji była w czasie procesu. Skoro tam się nie udało, nie uda się tym bardziej w zakładzie karnym, który jest organem wykonawczym. Zdarzają się skazani, którzy popełnili przestępstwo pod wpływem alkoholu, ale w rozmowie ze mną zapewniają, że nigdy nie tknęli kieliszka, bo są zdeklarowanymi abstynentami. Są też tacy, którzy dostają wyrok za „znęty” wobec żony, czyli z paragrafu 207 Kodeksu karnego (kto znęca się fizycznie lub psychicznie nad osobą najbliższą lub nad inną osobą pozostającą w stałym lub przemijającym stosunku zależności od sprawcy), ale zapewniają, że oni by ukochanej połówicy palcem nie tknęli. Ja oczywiście słucham tego, co mi mówią, ale zawsze podkreślam, że nie jestem właściwym adresatem takich wynurzeń.

No, ale, mimo wszystko, „nawijają mi makaron na uszy”, żeby coś ugrać.

**AG:** Ale co ugrać? Przecież w więzieniu nie będzie mu lepiej tylko dlatego, że zapewnia o swojej niewinności.

**Dorota:** Oczywiście, że nie. O to już trzeba pytać takich „pacjentów” – na czym polega ich kalkulacja i czemu ma służyć. Ja musiałam tego wysłuchiwać, więc pozwalałam się im wygadać. Zresztą to, jak się zachowują w czasie tej rozmowy – czy konfabulują, czy raczej są oszczędni w słowach, też daje mi jakąś wiedzę na ich temat. Przeważnie taki przeciętny, odklejony od rzeczywistości Kowalski, który trafił za kraty z głupoty czy przez nieszczęśliwy splot wydarzeń (bo nie płacił alimentów, bo potracił kogoś na pasach), zachowuje się raczej powściągliwie, nie wymyśla niewiarygodnych scenariuszy, nie próbuje zdominować wychowawcy. On raczej chce wiedzieć, co mu grozi i co zrobić, aby to „coś” się nie ziściło. Natomiast prawdziwi przestępcy, i to niekoniecznie recydywiści, przychodzą do zakładu karnego już jako zepsuci ludzie, mający kombinatorstwo we krwi i oni rzadko kiedy zachowują się pokornie. Tymczasem przydział do podgrupy zależy od rozmowy z wychowawcą.

**AG:** Ale to nie wychowawca kwalifikuje?

**Dorota:** Kwalifikuje komisja penitencjarna złożona z dyrektora ZK, kierownika ochrony oraz kierownika ewidencji, ale na wniosek wychowawcy.

**AG:** A teraz przenieśmy się w czasie: kto decyduje o przedterminowym zwolnieniu z odbywania kary?

**Dorota:** O tym decyduje sąd penitencjarny, ale oczywiście po wglądzie w dokumenty, które otrzymuje od wspomnianej wewnętrznej komisji penitencjarnej. Zazwyczaj wnioskującym jest osadzony, ale zdarza się, że

o przedterminowe zwolnienie wnioskuje dyrektor. Dzieje się tak, jeśli mamy do czynienia z „kryształowym” więźniem, takim, który już na pewno nie wróci na drogę przestępstwa, takim, który ma same nagrody i otwarty proces przepustkowy.

**AG:** Rozumiem, że jak ma się taką rekomendację, to już można „zwijać mandżur” i czekać na otwarcie bramy?

**Dorota:** Otóż nie. W czasie, kiedy pracowałam w SW, działało to tak: w niemal całej Polsce sąd przychylił się do wniosków dyrektora, ale w Okręgu Warszawskim odrzucał je. Dlaczego? Nie mam pojęcia – pewnie ktoś wychodził z założenia, że przestępca, aby wrócić na jasną stronę mocy, musi odsiedzieć cały wyrok. Czy to słuszny punkt widzenia? Powiedzmy, że można z tym dyskutować. Pamiętam, że mieliśmy w zakładzie dwóch naprawdę przyzwoitych chłopaków, którzy przez trzy lata pracowali na wolności i to bez konwojenta, zawsze wracali na czas – także z przepustek i... sąd uznał, że nie są gotowi wrócić między porządnymi ludźmi. Można zatem sobie zadać pytanie: jeśli to nie jest resocjalizacja, to co nią jest?

**AG:** Rozumiem, że jeśli sąd wyrazi sprzeciw, nie ma już żadnej innej drogi do wolności?

**Dorota:** Zdarzało się, że osadzony, któremu po raz kolejny odmówiono warunkowego zwolnienia, jakoś załatwiał sobie przeniesienie do innego zakładu karnego, poza Okręgiem Warszawskim.

**AG:** Jak to: załatwił sobie? Przecież to nie jest biuro podróży!

**Dorota:** Poprosił kogoś, aby ten zgłosił go jako świadka w jakiejś sprawie. Takiej, która toczy się, powiedzmy, w Bydgoszczy czy we Wrocławiu. Przecież nikt nie będzie go codziennie woził przez pół Polski, aby mógł złożyć zeznania. Po prostu, został przeniesiony do innego zakładu karnego. I choćby miał być tam przez kilka tygodni – mógł zgłosić wniosek o zwolnienie warunkowe w innym okręgu. Jak już zgłosi taki wniosek, nie można go odtransportować z powrotem – do czasu, aż sąd rozpatrzy jego wniosek. Wszystko zgodnie z prawem. Trzeba jednak pamiętać, że nie wszyscy osadzeni „wyrywają się” na przedterminowe zwolnienie. Jeśli siedzisz, na przykład, pięć lat i zostało ci osiem miesięcy, to gra jest niewarta świeczki.

**AG:** Niewarta świeczki? Osiem miesięcy to kupa czasu...

**Dorota:** Ale to nie jest tak, że odzyskujesz pełną wolność. Owszem, siedzisz osiem miesięcy krócej, ale dostajesz kuratora, i to na okres kilku lat, nawet do pięciu. Cały czas musisz się z nim spotykać, jesteś pod jego kontrolą. Jeśli coś mu się nie spodoba w twoim zachowaniu albo jeśli będzie akurat bolała go głowa – może wnioskować do sądu o odesłanie cię do zakładu karnego. Nigdy nie możesz być pewny, na jakiego trafisz kuratora. Żyjesz więc w stresie przez kilka następnych lat.

**AG:** A jak szybko można się ubiegać o przedterminowe zwolnienie?

**Dorota:** To zależy od winy. W wypadku mniejszych wyroków można się ubiegać o zwolnienie już po odbyciu połowy kary. Ale są takie wyroki, po których musisz „odpękać” trzy czwarte. Jeśli siedzisz za „głowę” i dostałeś piętnaście lat, to wcześniej niż przed upływem dziesięciu lat na pewno nie wyjdiesz. Jeśli usłyszałeś wyrok dożywocia, to posiedzisz co najmniej dwadzieścia pięć lat.

**AG:** Są tacy, którzy wychodzą z więzienia w... trumnach. Czy samobójstwa są częste?

**Dorota:** Nie są rzadkością. I zdarzają się także na przejściówkach. Oczywiście, pracownicy ZK robią wszystko, aby do tego nie dopuścić, ale jeśli ktoś naprawdę chce się rozstać z tym światem, to nie pomoże ani monitoring w celi, ani specjalna opieka – osadzeni, którzy w naszej ocenie mają skłonności samobójcze (są rozchwiani emocjonalnie, mają skłonności depresyjne), mają zakładane specjalne karty. I tacy więźniowie są kontrolowani co godzinę, także w porze nocnej – strażnik zapala światło i wchodzi do celi, aby sprawdzić, czy nie stało się coś złego.

**AG:** Czy nie byłoby wskazane umieszczenie takiego desperata w pojedynczej celi?

**Dorota:** Nie sądzę, zresztą pojedyncze cele to precedens. Są sytuacje, gdy nie ma innego wyjścia – na przykład, kiedy pod celę trafia policjant. Albo gad. Takiego delikwenta trzeba odizolować, bo w przeciwnym razie stanie mu się krzywda. Tak naprawdę uważam, że dla mundurowych, którzy rozminęli się z prawem, należałoby stworzyć osobny zakład karny. Może tam nic by im nie groziło. Pamiętam, że kilka lat temu przyjmowałam na oddział byłą strażniczkę więzienną, która „pocięła” siekierą swojego dziadka. A potem spaliła go w ognisku. I to dla kilkuset złotych. Nie mogłam tego pojąć: jakim cudem osoba, która doskonale wie, jak smakuje więzienie, z pełną premedytacją naraziła się na

spędzenie w nim wielu lat. Miała też pecha: jeśli trafiasz do zakładu karnego przed upływem roku od opuszczenia służby, należy ci się izolotka. Jeśli minął już rok – trafiasz do normalnej wieloosobowej celi. A ona „wjechała” dwa tygodnie po upływie roku,

**AG:** Mam pewną refleksję... Dziwisz się, że była strażniczka, która doskonale wiedziała, na czym polega życie za kratami, popełniła straszne przestępstwo. A może popełniła je dlatego, że więzienie stało się częścią jej osobowości; że kontakt ze światem przestępców i zwyrodnialców po prostu zaburzył jej postrzeganie dobra i zła?

**Dorota:** Niestety, nie każdy się nadaje do pracy w takim miejscu. Tu trzeba mieć wielką odporność psychiczną i cały czas pamiętać, komu i dlaczego się służy.

**AG:** Wracając do tematu samobójstw – myślę, że „petka”, któremu przejdzie przez myśl odebranie sobie życia, może przecież nie umieć tego zrobić...

**Dorota:** Z czasem w więzieniu można się wielu rzeczy nauczyć. Także tych najgorszych. Kiedy pracowałam na Chłopickiego, pewien osadzony powiesił się w pozycji leżącej. Byłam w szoku. Długo się zastanawiałam, jak on to zrobił. Na mojej zmianie odebrała sobie też życie pewna pani, która odsiadywała swój pierwszy wyrok, i na pewno nie była typową kryminalistką: miała tytuł profesorski, napisała wiele podręczników, a została skazana za czyny lubieżne wobec małoletniej. Po prostu weszła do toalety, a jej towarzyszyki spod celi były przekonane, że kobieta się myje – dobiegał do nich odgłos silnego strumienia wody. To jednak nie była woda, ale krew – przecięła sobie tętnicę. Dopiero kiedy spod drzwi wypłynęła krew, podniosły alarm. Niestety, na ratunek było już za późno.

Z kolei pewien młody osadzony podciął sobie tętnicę na sali widzeń, w trakcie rozmowy z żoną – też trudno sobie wyobrazić taką sytuację, a jednak miała miejsce.

**AG:** Czy widać wyraźnie moment, w którym do świadomości nowo przybyłego dociera, że już na dobre jest w więzieniu, że to jest nieodwołalne, że wszystkie nadzieje i kalkulacje spaliły na panewce?

**Dorota:** Niektórzy godzą się z tym już na przejściówce, inni dopiero po wkroczeniu na oddział docelowy – widzą, że tu się toczy normalne życie, na sznurach wisi pranie, z celi dobiega odgłos radia, na korkowej tablicy widać zdjęcia z jakichś wewnętrznych jubli. Dom, prawie normalny dom. W każdym



razie twój dom na następne lata. Znam takich, którzy nie potrafią żyć w innym. Mam choćby na myśli pewnego gościa, który regularnie jesienią idzie do sklepu monopolowego, kupuje butelkę wódki, oczywiście płaci za nią (bo nie jest prymitywnym złodziejaszkiem), trochę wypija, a następnie demoluje witrynę. I grzecznie czeka na policję. I niedługo później wjeżdża do pudła – na kilka miesięcy, byle do wiosny.

Ale dla „świeżaka” to bardzo trudna sytuacja. Wielu z nich podczas rozmowy ze mną zaczyna płakać i przekonywać, że to nie tak miało być, że zakład karny to nie jest miejsce dla niego, że jest normalnym, porządnym człowiekiem, a nie kryminalistą. Pytają, czemu nie dostali dozoru elektronicznego, który byłby wystarczającą karą. I jak mam mu powiedzieć, że faktycznie dozór byłby lepszym wyjściem, ale niestety – ten „luksus” przysługuje jedynie tym, którzy dostali maksymalnie roczny wyrok? Przekroczyłeś rok, choćby o dzień – już się nie łapiesz. Zresztą z tym dozorem elektronicznym jest dużo zamieszania – nie zostaje ci zasądzony podczas procesu, ale dopiero przez sąd penitencjarny. Czyli najpierw musisz trafić do zakładu karnego, na przejściówkę, dostać podgrupę, „wjechać” na oddział docelowy i dopiero wtedy możesz wnioskować o dozór elektroniczny. Nie wiem, po co te komplikacje.

**AG:** No, ale „świeżak” nie ma prawa do takiego dozoru i musi swoje odsiedzieć w zamknięciu.

**Dorota:** Tak. I wtedy staram się takiemu tłumaczyć: albo się przystosujesz do nowej rzeczywistości, albo będzie ci bardzo, bardzo ciężko.

## Jak nawijać makaron na uszy

W latach osiemdziesiątych pojawił się w kinach film Wiesława Saniewskiego pt. *Nadzór*, którego akcja toczy się głównie w zakładzie karnym dla kobiet.

Filmowcy w PRL omijali temat rodzimych więzień szerokim łukiem, bo władze wołały finansować produkcje pokazujące przyjemniejsze oblicze życia w kraju nad Wisłą – owszem, masowo powstawały kryminały, w których milicjanci zatrzymywali przestępców, ale brakowało dzieł opowiadających, co się działo potem, już po wyroku. Dlatego *Nadzór* wywołał spore zainteresowanie opinii publicznej i zebrał dobre recenzje. Film opowiada o kobiecie o imieniu Klara skazanej na dożywocie (którego, nawiasem mówiąc, w PRL nie orzekano) za udział w aferze gospodarczej. Klara za kratami rodzi dziecko, które po jakimś czasie musi oddać teściowej. Ta jednak zaniedbuje swe obowiązki, dziecku grozi kalectwo, więc Klara postanawia za wszelką cenę odzyskać córeczkę. Co w jej sytuacji nie jest łatwe.

Jednak w tym filmie nie intryga jest najważniejsza, ale boleśnie prawdziwe oddanie życia w więzieniu. Na szczególną uwagę zasługuje scena, która kontrastuje z pozostałymi kadrami, utrzymanymi w szarych tonacjach – do celi skazanej wchodzi wychowawczyni Klary i wręcza jej pomarańczę. Owoc jawi się niemal jak słońce – daje nadzieję Klarze na to, że jej sprawy potoczą się właściwym torem. Kobiety przytulają się do siebie i nie ma wątpliwości, że nie chodzi tu o gest przyjaźni czy solidarności – to coś znacznie więcej: być może funkcjonariuszka, z którą Klara nie miała lekkiego życia, darzyła kobietę uczuciami, których nie chciała (nie mogła?) wcześniej wyrazić.

No właśnie, czy pomiędzy osadzonymi a pracownikami SW dochodzi do relacji, do których nie powinno dochodzić? Nie chodzi mi wyłącznie o sytuacje intymne, ale o „zbratanie”, które powoduje, że nie wiadomo, po której jest się stronie.

Rozmawiam o tym z Martą, byłym wychowawcą w jednym ze stołecznych zakładów karnych.

**Artur Górski:** Kończysz resocjalizację, masz głowę pełną wzniosłych idei, wierzysz, że człowiek, który trafił do więzienia, nie jest z gruntu zły, a jedynie pogubiony; że ci, którzy wydali wyrok, i ci, którzy tę karę wykonują, chcą dobra

skazanego; że zakład karny to miejsce, gdzie da się przemyśleć swoje winy i wyciągnąć z tego pozytywne wnioski. Znajdujesz ogłoszenie o naborze do Służby Więziennej i już wiesz, że to jest coś dla ciebie. Czy tak to wyglądało w twoim przypadku?

**Marta:** Zgadza się – ukończyłam studia w zakresie resocjalizacji i kryminologii i gdy znalazłam w internecie ogłoszenie o pracy wychowawcy, nie wahałam się ani chwili.

**AG:** Przyjęli bez problemu?

**Marta:** To nie jest tak, że do SW tłumi walą drzwiami i oknami. Wiadomo, że praca nie jest lekka, a zarobki wysokie. No, ale rodzice zawsze mi powtarzali, że nie ma to jak praca w instytucji państwowej – zaczynasz z niskiego pułapu, a potem pnieś się do góry, zarabiasz coraz więcej, przybywa ci gwiazdek na pagonach oraz rozmaitych przywilejów. I przede wszystkim robisz coś dla dobra publicznego.

**AG:** Czy pierwsze dni w pracy utwierdziły cię w przekonaniu, że zakład karny jest tym, o czym się uczyłaś na studiach?

**Marta:** Nie, przekonały mnie, że podręczniki były pisane przez ekspertów, którzy nigdy w życiu więzienia nawet nie powąchali – to, o czym mówili nam wykładowcy, miało się nijak do rzeczywistości. Bo kodeksy czy regulaminy to jedno, a życie to coś zupełnie innego.

Kiedy przyszedłam do pracy, okazało się, że jestem jedyną (albo prawie) osobą po takich studiach – reszta kończyła kierunki w ogóle niezwiązane z tym tematem.

**AG:** To jakim kluczem prowadzony jest nabór do SW?

**Marta:** Kluczem: ciocia, wujek, tata. To robota, którą się załatwia w ramach rodziny, ewentualnie znajomych. Od razu usłyszałam pytanie: od kogo jesteś?

**AG:** Czyli trochę jak w przypadku adwokatury.

**Marta:** Tak, z tą różnicą, że nie zostaniesz adwokatem po studiach rolniczych czy muzycznych. Służba Więzienna jest bardziej tolerancyjna.

**AG:** Znasz powiedzenie: nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera. W sumie wszystkiego da się nauczyć „w boju”.

**Marta:** Powiedzmy, że można, tym bardziej że – jak wspomniałam – to, czego uczyłam się na studiach, za bardzo mi się nie przydało. Bądźmy szczerzy – byłam

totalnie zielona i nieprzygotowana do zawodu wychowawcy.

**AG:** Czego musiałaś się nauczyć przede wszystkim?

**Marta:** Poruszania się po dokumentach – nie ma co się oszukiwać: praca wychowawcy to praca głównie biurowa, papierkowa. A wszystko, co dzieje się z osadzonym, ma odbicie w kwitach w raportach. Zarówno to, za co trafił do więzienia, jak też to, jak się zachowuje podczas odbywania kary. Raport za raportem, opinia za opinią, notatka za notatką. Naprawdę, jest co czytać, pisać zresztą też.

**AG:** Czy już pierwszego dnia miałaś rozmowę z osadzonym?

**Marta:** Prowadzenia takiej rozmowy trzeba się nauczyć, więc początkowo przysłuchiwałam się, jak rozmawiają bardziej doświadczeni koledzy. Siedziałam razem z nimi w pokoju, jako wolny obserwator, i wyciągałam wnioski. Jako że najpierw trafiłam na oddział kobiecy, a po jakimś czasie – na męski, miałam możliwość zorientowania się, że rozmowy z kobietami są zupełnie inne od rozmów z facetami.

**AG:** Na czym polega różnica?

**Marta:** Z facetami jest trochę łatwiej. Oni przychodzą do wychowawcy z dość prostymi sprawami. Albo zapytać o przepustkę, albo o zwolnienie warunkowe czy możliwość zatrudnienia. U nich wszystko jest na zasadzie: czarne–białe; uda się–nie uda się. Wachlarz problemów, z jakimi pojawiają się osadzone, jest o wiele szerszy – wystarczy, że koleżanka spod celi nieporządnie ułoży swoje ubranie – już jest problem, rozwiesi pranie za blisko jej łóżka – problem, za długo siedzi w toalecie bądź za długo stoi przed lustrem – problem. Panie są bardzo emocjonalne, a w warunkach stłoczenia pod celą i niemożności wydostania się z niej potrafią reagować bardzo gwałtownie. Co ciekawe, panie zupełnie inaczej rozmawiają z wychowkiem-facetem, a inaczej z wychowkiem-kobietą.

**AG:** A to ciekawe! Próbują uwodzić panów?

**Marta:** Przynajmniej w jakimś sensie: jest kokieteria, jest „nawijanie makaronu na uszy”, są słodkie minki, czułe spojrzenia. Zupełnie jakby flirtowały z gościem na dyskotecę. A w rozmowie ze mną – chłód, pełen dystans i brak zaufania.

**AG:** A wychowawcy dają się na takie triki nabrać?

**Marta:** Pewnie nie do końca, ale jednak facet to facet. Kiedy widzi przed sobą atrakcyjną, bardzo zadbaną kobietę, która wyraża się poprawnym językiem

i mówi – przynajmniej na pozór – rozsądne rzeczy, czasem daje się zmanipulować.

**AG:** A w więzieniu da się zrobić na bóstwo? O ile wiem, usługi kosmetyczne nie są oferowane w więzieniach.

**Marta:** Oczywiście, że się da! Paznokcie, makijaż, włosy – o to wszystko da się zadbać. Oczywiście, panie robią to we własnym zakresie, o wizytach kosmetyczek nie ma mowy. Jeśli z osadzoną nie ma żadnych problemów, dostaje zgodę na posiadanie lakieru do paznokci, do włosów, szminek, tuszu do rzęs. Osobną zgodę trzeba mieć na używanie farby do włosów, bo to jednak wiąże się z lekką zmianą wizerunku, ale to też jest do zrobienia. No więc, tak odpicowane panie próbują przekonać wychowawcę, żeby pomógł zmienić celę albo zajęcia kulturalno-oświatowe. I często się to udaje, chociaż nie wiadomo, czy to na pewno dzięki tym zabiegom kosmetycznym.

**AG:** Wróćmy do twoich początków w zakładzie karnym. Na czym dokładnie polegało twoje zderzenie z rzeczywistością, co cię zaskoczyło?

**Marta:** Przede wszystkim byłem zszokowana standardem życia i pracy w więzieniu. Standardem tak niskim, że trudno to sobie wyobrazić. Wprawdzie na oddziale kobiecym, od którego zaczynałam swoją drogę zawodową, nie było najgorzej, ale oddziały męskie to była prawdziwa katastrofa. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać – syf, brud, smród były tak wszechobecne, że chciało się wyć. Gdy otwierało się celę, to się wkraczało niemal do komory gazowej. Ja wiem, że zakład karny to nie jest elegancki hotel nad brzegiem morza, ale jednak poniżej pewnego poziomu higieny i estetyki nie wolno schodzić. Sporo czasu zajęło mi przyzwyczajanie się do tego.

**AG:** To, co mówisz, ma się nijak do artykułu, który niedawno przeczytałem na jednym z portali. Autor reportażu o polskich zakładach karnych napisał: „Czasem więzienie można łatwo pomylić ze średniej klasy hotelem. Wystrój przyjazny dla oka, względna cisza i jedzenie, które w smaku nie przypomina tego, które znamy ze szpitali”.

**Marta:** Daj spokój, widać, że gość zna więzienie wyłącznie ze zdjęć podrzuconych mu przez SW albo Ministerstwo Sprawiedliwości. Nie wiem, po co się publikuje takie materiały. Czy mają być zachętą dla przestępców: kradnijcie i gwałćcie, za karę czeka was pobyt w hotelu średniej klasy?

**AG:** Najlepsze, że zdjęcia, zamieszczone obok tekstu, wcale nie pokazują jakichś luksusów, wręcz przeciwnie. Ale z kolei na innym portalu przeczytałem:

„Stosunkowo niedawno wyremontowany zakład karny w Piotrkowie Trybunalskim cieszy się wśród więźniów opinią »hotelu«. Dwu- lub trzyosobowe cele są skromne, ale mimo to widać różnicę w standardzie w porównaniu z tym z innych zakładów karnych. W kącie sanitarnym znajduje się – oprócz ubikacji i umywalki – także prysznic. Tym, co czyni zakład karny w Piotrkowie Trybunalskim wyjątkowym w skali kraju, nie jest samo wyposażenie cel, ale cała infrastruktura kompleksu. Więźniowie mają do dyspozycji nie tylko nowoczesną salę komputerową i bibliotekę, ale także halę sportową, boisko na świeżym powietrzu oraz dwie świetlice. Jedna z nich pełni funkcję »sali telewizyjnej«, a w drugiej udostępnia się stoły do ping-ponga i gry w popularne »piłkarzyki«”.



**Marta:** Oczywiście, są więzienia lepsze i gorsze, starsze i nowsze, ale zapewniam, że żadne z nich nie przypomina dobrego hotelu.

**AG:** Wobec tego wróćmy do rzeczywistości. Czyli do opowieści o braku higieny.

**Marta:** Za kraty trafiają także osoby wprost z ulicy, nierzadko w opłakanym stanie – mówmy wprost, wyglądające jak kłoszardzi, i one wnoszą „na pokład” pewien klimat. Oczywiście, z czasem zakład cywilizuje takich ludzi, ale pierwsze rozmowy z nimi nie należą do przyjemności.

Jasna sprawa, że nie każdy funkcjonariusz przykładą wielką wagę do kwestii czystości, ale ja jestem osobą bardzo poukładaną i nie mogłam zaakceptować tego, że będę pracować w syfie. Od razu wypucowałam blat swojego biurka i kiedy jakiś osadzony kładł na nim swoje łapska, zostawiając odciski palców, kazałam mu je natychmiast zabierać. Osadzony musi wiedzieć, że wychowawca nie pozwoli sobie wejść na głowę. I mnie się udało. Wysłać czytelny komunikat, że są rzeczy, których nie zaakceptuję.

**AG:** Kiedy pokazują więzienie w telewizji, także w pewnej polsatowskiej telenoweli, problem higieny raczej nie jest podnoszony.

**Marta:** Władze często nie mają pojęcia, co się dzieje w więzieniach, bo dostają ich upiększony obraz. Choćby od komisji, które mają obowiązek wizytować zakłady karne. Ale to nigdy nie są wizyty niezapowiedziane, więc jest wystarczająco dużo czasu, aby „podrasować” jednostkę.

**AG:** Malowanie trawy na zielono, tak jak w wojsku?

**Marta:** A żebyś wiedział! Wystarczy trochę drobnych zabiegów, żeby więzienie zaczęło przypominać pensjonat. Może właśnie wtedy robi się zdjęcia, które następnie trafiają do dziennikarzy.

**AG:** Trawę i ściany można ochłapać farbą, ale chyba ludzi – mam na myśli osadzonych – nie zmusi się do opowiadania bajek, jak to im jest dobrze za kratami.

**Marta:** Jesteś pewien? W każdym zakładzie karnym są więźniowie, na których władze mogą liczyć – i dobrze wyglądają, i są gotowi poświadczyć, że kierownictwo jednostki bardzo dba o ich samopoczucie, bezpieczeństwo, rozwój fizyczny i intelektualny. I takich wystawia się przed szereg i prezentuje komisji. Oczywiście, na okazję wizyty „rewizorów” wybiera się także najlepsze cele.



**AG:** Przypomina mi się pewien znany polski film, w którym padają słowa, mówione do magnetofonu: „Warunki na zgrupowaniach miałyśmy bardzo dobre, wszystko to jest zasługą naszego trenera i nie jest prawdą, że za łózkami dach przeciekał, szczególnie że prawie nie padało. Prezes dba o nas jak ojciec najlepszy”.

**Marta:** Słusznie, bo czasami rzeczywistość więzienna przypomina filmy Barei. Czasem śmiać się chce, jak osadzeni zapewniają, że jedzenie jest bardzo dobre, a opieka ze strony funkcjonariuszy – jeszcze lepsza. Oczywiście, tacy osadzeni mają prawo liczyć na jakieś bonusy od władz jednostki albo też zostali nagrodzeni awansem, jeszcze przed odegraniem tego teatryku.

## Kto nie lubi wychowka

Jakiś czas temu telewizja TVN Turbo wyemitowała reportaż *Zakład karny*. Zarejestrowane przez kamerę dramatyczne sceny (pytanie, ile było w nich inscenizacji) były na bieżąco komentowane przez lektora. W jednej z nich świeżo przybyły osadzony zaczął się domagać prawa do telefonu, ale strażnicy nie zezwolili, twierdząc, że jest jeszcze na to za wcześnie. Furia osadzonego rosła z każdą chwilą i strażnik musiał podjąć stosowne kroki, które wyjaśniał lektor:

„Nowy więzień zaczyna się awanturować. Tu się nie negocjuje, tu obowiązują twarde zasady. Jeśli więzień się awanturuje, strażnik zawsze może wezwać oddział specjalny, czyli w gwarze więziennej – atandę. Osadzony będzie potraktowany stanowczo – tu nie ma miejsca na dyskusję. W innym wypadku 73 pracowników działu ochrony nie dałoby rady zapanować nad prawie tysiącem tutejszych więźniów. Procedura nakazuje, aby wraz z atandą do więźnia została wysłana psycholog więzienna. Jej zadaniem jest wyjaśnienie więźniowi zaistniałej sytuacji i uspokojenie go. Kilkunastominutowa rozmowa przynosi efekty – więzień uspokoił się. Za jakiś czas trafi na oddział, gdzie będzie bacznie obserwowany. Agresywnego więźnia teraz czeka rozmowa z wychowawcą. Wychowawcy starają się dopasować towarzystwo w celach, a więźniowie na własną rękę próbują nimi manipulować”.

Z lapidarnego przekazu reportażu wynika, że wszystko jest pod kontrolą i pracownikom zakładu nic nie grozi. Więzień może jedynie „szczyrzyć kły”, ale i tak nikt się go nie boi, bo za kratami nawet wataha wilków spokojnie. Gdy pojawia się grupa interwencyjna, raptus niby jeszcze próbuje kozaczyć, rzuca kurwami, ale widać, że czuje respekt przed siłą. Dlatego „więzienni komandosi” nie muszą nawet sięgać po argument broni czy paralizatora – ich obecność załatwia sprawę.

Czy rzeczywiście tak jest? Czy nie zdarzają się sytuacje, których procedury nie przewidują? Przecież choćby podczas rozmowy więźnia z wychowawcą mogą nastąpić różne zwroty akcji. Czy atanda zawsze zdąży na czas?

**Artur Górski:** Jak osadzony traktuje wychowawcę?

**Marta:** Powiedzmy, że przedmiotowo. Tak naprawdę wychowek nie tyle jest od załatwienia czegoś (choć w istocie sporo od niego zależy), ile od przyjęcia na

siebie wszystkich żalów i frustracji rozmówcy. A te frustracje bywają wręcz kosmiczne i bywają wyrażane w sposób dość dynamiczny i nieparlamentarny.

Bądźmy szczerzy – koledzy strażnicy też nie zawsze zachowują się fair wobec wychowków i pozwalają sobie na przykre uwagi wobec nich w obecności osadzonych. Wielu gadów ma coś w rodzaju kompleksu wobec wychowków, bo ci drudzy przeważnie są lepiej wykształceni, wygadani, o szerszych horyzontach. Oczywiście, wśród strażników jest wielu ludzi naprawdę wysokiej klasy, wykształconych, ale tacy niekoniecznie należą do większości. Czasem odnosiłam wrażenie, że strażnicy trzymają z osadzonymi sztamię, a wychowawcy są jakby po drugiej stronie. A to jest słabe dla sprawy, bo jeśli wychowawca nie ma autorytetu, to na czym ma polegać resocjalizacja?

**AG:** Czy zdarzały ci się sytuacje niebezpieczne w relacjach z więźniami?

**Marta:** I to nie raz. Na oddziale kobiecym miałam osadzoną, która jakoś szczególnie mnie sobie „upodobała” i wynikały z tego dramatyczne sytuacje. Zresztą, niedawno zobaczyłam na ulicy osobę bardzo do niej podobną i przyznam ci się, że od razu uciekłam. Nie chciałam, żeby mnie zobaczyła. Jeśli to była ona.

**AG:** Upodobała? W jakim sensie?

**Marta:** To była chora psychicznie, głęboko zaburzona osoba. Od kogoś takiego trudno oczekiwać racjonalnych zachowań i wytłumaczenia, dlaczego akurat wzięła mnie na celownik.

**AG:** Czy była to z jej strony fascynacja o charakterze erotycznym?

**Marta:** Nie mogę tego wykluczyć, choć nigdy nie postawiła sprawy jasno. Ale z jej listów do mnie wynikało, że coś ją we mnie zafascynowało. Kiedy coś się jej nie podobało, okaleczała się. Ale nie tak symbolicznie – cięła się po całym ciele, czym popadło. Kiedyś, u pielęgniarki, zobaczyłam ją nago i przeraziłam się. Była jedną wielką szramą, na jej skórze nie było miejsca wolnego od blizn. Zresztą blizny też rozcinała kilkakrotnie. Coś potwornego. Oczywiście, była jedną z tych, którym założono kartę osadzonej zagrożonej samobójstwem. Ciągłe zapisywała się na spotkania ze mną – był taki czas, że codziennie znajdowałam list od niej. Żeby było jasne – napisany krwią. W czasie naszych spotkań zachowywała się agresywnie, ale jednak ręki na mnie nie podniosła. To znaczy, machała rękami, ale nigdy nie uderzyła.

Kiedy w końcu zaczęłam odmawiać spotkań, bo uznałam, że niczemu nie służą, od razu się cięła.

**AG:** Robiła to przy tobie?

**Marta:** Nie, „sprzęt” do samookaleczania miała w swojej celi. Kilka razy zdarzyła mi się taka sytuacja, że podczas wizytacji w celi znajdowałam ją całą we krwi. Stała o własnych siłach, ale podłoga była czerwona.

**AG:** Ile miała lat?

**Marta:** Dobiegała trzydziestki – byłam od niej odrobinę młodsza. Odsiadywała wyrok za groźby karalne i muszę przyznać, że nieźle manipulowała rozmówcą. Ostatnią awanturę zrobiła w dniu wyjścia na wolność – chciała, żebym to ja ją rozliczyła, a przecież to nie było w gestii wychowawcy, tylko pionu administracyjnego. Narobiła niezłego dymu!

**AG:** A na męskich oddziałach zagrożenie dla wychowawcy nie było większe?

**Marta:** Oczywiście, tam już agresja pomieszana z adrenaliną naprawdę dawała o sobie znać. Szybko trafił mi się kolejny amator sznytów – zaczął mnie szantażować, że się potnie i opowie wszystkim, że to przeze mnie. Już nawet nie pamiętam, o co mu chodziło. Myślę, że obiektywnie rzecz biorąc – o nic. Spytałam go: „Komu tak naprawdę zrobisz na złość? Mnie czy sobie? To ty będziesz pocięty, a nie ja. Masz dziecko na wolności – jak przyjmie wiadomość, że tatuś się pochlastał pod celą, bo jakaś dziunia go zdenerwowała? Uspokój się”. No, ale on spełnił groźbę i się pociął. Oczywiście, ta sytuacja nie okazała się dla mnie groźna, ale uwierz mi, że negocjacje z takim typem naprawdę są stresujące. Nigdy nie wiesz, kiedy stanie się agresywny wobec ciebie. Tak jak w przypadku osadzonego, który chciał rzucić we mnie monitorem mojego komputera. Gdy go chwycił, zmartwiałam, bo praktycznie nie miałam szans na obronę. Byliśmy w pokoju we dwoje.

**AG:** Rozumiem, że skorzystałaś z przycisku bezpieczeństwa...

**Marta:** Co masz na myśli?

**AG:** No, z tego przycisku, który znajduje się pod blatem biurka – widziałem to na wielu filmach.

**Marta:** I chyba tylko na filmach! Gdybyś zobaczył te rozklekotane, stare biurka w pokojach wychowawców, od razu byś zrozumiał, że żadnej wyrafinowanej technologii tam nie uświadczysz. Mówiąc krótko, żadnego wsparcia nie miałam. Na szczęście coś mu się odwróciło w głowie i powstrzymał się. Ale chwile grozy przeżyłam.

**AG:** Przypomina mi to pewne zdarzenie, które sam przeżyłem. Pojechałem do więzienia – nie ma znaczenia, którego – na wywiad z osadzonym i czekałem na

niego w sali widzeń. W pewnym momencie jakiś więzień zaczął się drzeć na cały głos, po czym zerwał się od stolika i chwycił krzesło – takie o konstrukcji stalowej, z którym można by ruszyć na czołgi. Nie wiem czemu, podbiegł do mnie i się zamachnął – podobnie jak ty nie miałem już żadnej możliwości obrony. Zasłoniłem głowę, ale pancerne krzesło połamałoby mi rękę. Spojrzałem na strażników – zamiast rzucić się na agresywnego gościa, uciekli do czegoś w rodzaju dyżurki i zamknęli za sobą drzwi. I wtedy stał się cud – więzień wycedził: „a chuj wam wszystkim w dupę”, rzucił krzesło na podłogę i spokojnym krokiem wyszedł z sali. Sam, nikt go nie wyprowadzał. Przyznam, że to było mocne przeżycie.



**Marta:** Myślę, że uratowało mnie to, że zaczęłam mówić głośnym i stanowczym tonem – nie histeryzowałam, nie błagałam, żeby mi odpuścił, tylko przedstawiłam mu dalszy rozwój wypadków. A tak naprawdę chodziło mi o to, aby ktoś mnie usłyszał i wszedł do pokoju. Rzeczywiście, chwilę później pojawił się oddziałowy. Ale, nawiązując do twojej przygody z krzesłem, strażnicy nie zawsze stają na wysokości zadania. Miałam kiedyś takie zdarzenie: usłyszałam, że pod całą awanturuje się osadzony. Darł się tak, żeby pewnie słyszeli go w drugiej części miasta, a przynajmniej na innych oddziałach. Było też jasne, że demoluje celę. Poszłam tam i zaczęłam go przekonywać, żeby się uspokoił. Dlaczego ja? Bo strażnicy uznali, że nie ma tematu i oni się nie będą wtrącać. Rozumiesz? Faceci bali się podjąć interwencję.

**AG:** Takie zdarzenia to już chyba powinna pacyfikować atanda – uzbrojeni funkcjonariusze.

**Marta:** Atandę wzywa się w szczególnych przypadkach – zresztą przeważnie nie ma jej na miejscu. Funkcjonariusze Grupy Interwencyjnej Służby Więziennej są tylko w wybranych, dużych zakładach karnych i jeśli zdarzy się jakiś dym w innej jednostce, muszą dojechać. Czasami, zanim dotrą, postoją w korkach. W Warszawie stacjonują na Białołęce – jeśli zdarzy się coś, powiedzmy, na Służewcu, czyli w innej części miasta, dojadą, jak już będzie po wszystkim. Zatem z reguły stosuje się metodę „na przeczekanie”. Wiadomo – każde szaleństwo kiedyś się kończy.

**AG:** Dla funkcjonariuszy może i tak, ale przecież facet nie siedział na pojedynce – stanowił zagrożenie dla współtowarzyszy spod celi.

**Marta:** Osadzeni wiedzą, że z furiatem nie ma co podejmować racjonalnych negocjacji. Chowają się po kątach i pozwalają się gościowi wyszumieć. Wcześniej czy później zmęczy się. Ten, o którym ci opowiedziałam, był dumny ze swojej akcji i miał bekę ze strażników. Ciągłe ironizował: „No i co, wodzu, spękałeś, bałeś się przyjść do mnie, miałeś pełne gacie?”.

**AG:** Rozumiem, że za takie uwagi nic osadzonemu nie grozi?

**Marta:** Na dłuższą metę prowokowanie funkcjonariuszy się nie opłaca, ale generalnie – więźniowie nie mają do nich szacunku i kiedy tylko nadarza się okazja, demonstrują niechęć czy wręcz – wyższość. Jeden z osadzonych zapytał mnie kiedyś: „Ile wychowawca zarabia? Pewnie kokosów z tej roboty nie ma? Dwa tysiące, dobrze mówię? Przecież to jest śmiech na sali, żeby się poniżać za takie ochłapy”.

**AG:** Czy w tym pytaniu był zakamuflowany przekaz: jeśli wychowawca będzie robił to, o co go poproszę, to się wychowawcy opłaci?

**Marta:** Propozycje, nazwijmy to – korupcyjne, jak najbardziej się zdarzają. Miałam kiedyś poważny wypadek – samochód poszedł do kasacji, a ja musiałam nosić kołnierz ortopedyczny. Wprawdzie zasłaniałam go chustkami i golfami, ale więźniowie od razu skumali, co jest grane. Przyszedł do mnie jeden z nich, taki z bogatą kartoteką, i pyta: „Nie ma auta, prawda?”. Co miałam mu odpowiedzieć? Przyznałam, że faktycznie miałam pecha. A on na to: „A jaki samochodzik pasowałby pani najbardziej?”. Zrobiłam wielkie oczy: czy to była jakaś sugestia? Odpowiedziałam, że na taki, jaki mi się podoba, szybko nie będzie mnie stać. „A jaka to marka?” – nie odpuszczał, więc w końcu mu powiedziałam. Popatrzył w sufit, udał, że intensywnie myśli, po czym rzucił od niechcenia: „A ile wolnego hajsu ma wychowawca?”. Odparłam, że na pewno nie tyle, ile kosztuje ten samochód – nawet w używanej wersji. Pokiwał głową, wrócił do celi, a gdy spotkaliśmy się ponownie, jeszcze tego samego dnia, oznajmił: „Jeśli wychowawca chce, jutro pod domem wychowawcy będzie czekał samochodzik – jeszcze ciepły”. I podał sumę, która była rzeczywiście bardzo korzystna. Zrobiłam wielkie oczy i kazałam mu spadać i trzymać gębę na kłódkę – przecież jeśli on opowiedziałby o naszej rozmowie, to nawet gdybym sobie sama kupiła auto, w sposób jak najbardziej legalny, wszyscy by podejrzewali, że dostałam prezent od złodzieja.

**AG:** Ciekawi mnie, jak on by ten samochód załatwił. Przecież zlecenie działalności przestępczej zza krat jest dość trudne.

**Marta:** Na pewno nie jest niewykonalne – wielu bossów kontroluje to, co robią ich ludzie na wolności. Osobie skazanej przysługują rozmowy telefoniczne i on by to zlecił tą drogą. Swój tygodniowy limit przeznaczyłby nie na rozmowę z matką czy żoną, ale z kumplem.

**AG:** Rozmowy telefoniczne nie są podsłuchiwane?

**Marta:** Zależy od podgrupy, od charakteru zakładu karnego. A nawet gdyby były podsłuchiwane, to złodzieje potrafią przekazywać sobie informacje, posługując się czymś w rodzaju szyfru. Tobie się będzie wydawało, że panowie gadają o wiosennej pogodzie, a w rzeczywistości przekaz będzie zupełnie inny.

**AG:** A ja mam wrażenie, że jednak ktoś te rozmowy kontroluje. Zdarzało się, że dzwonił do mnie z puchy osadzony, który miał mi do przekazania jakieś rewelacje, i gdy stawały się naprawdę ciekawe, nagle zrywało się połączenie. Nie



chcę tu roztaczać teorii spiskowych, ale najczęściej rozmowa kończyła się wtedy, gdy pojawił się wątek polityczny. Czasami podczas rozmowy pojawia się w słuchawce pogłos i wtedy można odnieść wrażenie, że do rozmowy ktoś się przyłączył. Zresztą, nie widzę w tym niczego złego.

**Marta:** Dlatego mówię, że złodzieje potrafią podawać informacje „pod przykryciem”. A wracając do kwestii psychologicznego wpływania osadzonych na gadów czy wychowków, opowiem ci pewną ciekawą historię. Otóż przyszedł kiedyś do mnie skazany i zażyczył sobie nagrody. „Za co? Przecież nagród nie przyznaje się ot tak, bez żadnego powodu, na ładne oczy. Trzeba na nią zasłużyć” – odparłam. Ale on był doskonale przygotowany do tej rozmowy. Popatrzył na mnie spode łba i zapytał: „A ty chcesz, laluniu, żeby ci ta fura z Mokotowa nagle zniknęła?”. Byłam zaskoczona: jaka fura z Mokotowa? Mieszkałam w zupełnie innej części miasta, na Grochowie, więc powiedziałam mu, że blefować to można, jak się ma mocne karty w ręku. Okazało się, że miał. Zapytał z drwiącym uśmiechem: „A do tych patologicznych dzieciaków to jeździsz niby nie na Mokotów?”. Zrobiło mi się zimno – rzeczywiście w tamtym czasie byłam także kierownikiem tak zwanej świetlicy środowiskowej, która mieściła się na Mokotowie. I faktycznie, pracowałam z tak zwaną trudną młodzieżą. Skąd on to wiedział?

**AG:** Myślisz, że faktycznie mógł to spowodować, czy po prostu chciał cię zaszantażować, postraszyć?

**Marta:** Osadzeni mają doskonale opanowane triki socjotechniczne – wiedzą, co robić, co mówić, żeby trzymać drugą stronę w szachu. Oczywiście, nie mogłam dać poznać po sobie, że wzbudził mój niepokój, i odparłam, że fura – rzecz nabyta. Ukradną mi jedną, kupię sobie drugą... Ta rozmowa przekonała mnie, że moi „podopieczni” wiedzą o mnie wszystko, zresztą nie tylko o mnie, i jeśli będzie trzeba, skorzystają z tej wiedzy. I muszę się na ich gry uodpornić. Tym bardziej że swoją wiedzę dawkują stopniowo – najpierw ogólniki, które mogą być efektem konfabulacji, ale potem precyzują ją coraz bardziej. Czyli początkowo podają dzielnicę, potem ulicę, blok... I to, z kim mieszkasz, kto należy do twoich bliskich. Testują twoją odporność. Musisz sam ocenić, czy osadzony, jak to mówią, „bierze cię pod chuj”, choć niewiele wie, czy też ma wiedzę niebezpieczną z twojego punktu widzenia.

**AG:** Czy takie sytuacje przekonały cię, że wychodząc po pracy na miasto, powinnaś mieć cały czas oczy dookoła głowy?

**Marta:** Naturalnie, tym bardziej że na mieście spotykały mnie różne niespodzianki. Jedna z nich miała miejsce na poczcie na placu Szembeka. Przeżyłam wtedy dość gorzką lekcję ludzkiej znieczulicy – zrozumiałam, że jeśli stanę oko w oko z niebezpieczeństwem, mogę liczyć wyłącznie na siebie. Poszłam na pocztę nadać list, pobrałam numerki i usiadłam, czekając na swoją kolej. Obok mnie siedział zakapturzony młody człowiek – zachowywał się dziwnie: łeb opuszczony, nogi rozwalone na boki, zupełnie jakby się naćpał. Gdy wezwano go do okienka, ocknął się, spojrzął na mnie i ryknął na cały głos: „To ty, stara ruro!”. Rozpoznałam w nim byłego więźnia z Grochowa, ale postanowiłam udawać, że go nie znam. „To jakaś pomyłka” – powiedziałam. Zerwał się na równe nogi i wrzasnął: „Pomyłka? Ja ci, kurwo, dam pomyłkę! Ty gadzie jebany – zawsze i wszędzie cię rozpoznam!”. Czekałam, aż się na mnie rzuci, ale on, póki co, wyżywał się na mnie słownie. W tym czasie ludzie podwracali głowy i udawali, że niczego nie słyszą. Jestem pewna, że gdyby przeszedł do rękoczynów, nikt by nie stanął po mojej stronie. Tymczasem agresor zgniótł swój numerki, rzucił nim we mnie i wybiegł z budynku poczty. Ale ja przez długi czas nie byłam w stanie wyjść na zewnątrz, bo skąd miałam wiedzieć, czy facet gdzieś na mnie nie czatuje.

**AG:** I nie czatował?

**Marta:** Nie, myślę, że scena, jaką mi zrobił, „zwentylowała go”, jak mówią policyjni profilerzy. Ale równie dobrze mógł chcieć zrobić mi krzywdę. Podobna sytuacja zdarzyła mi się podczas spaceru z mamą i moim chrześniakiem po warszawskiej Starówce. To było już po moim odejściu ze służby. Na rynku odbywały się pokazy sztucznych ogni – radosna atmosfera, wszyscy roześmiani, wpatrzeni w fajerwerki. W pewnym momencie podszedł do mnie jakiś facet i z całej siły uderzył mnie w ramię – skuliłam się z bólu. Moja matka spojrzała przerażona, nie wiedziała, jak się w takiej sytuacji zachować. O co chodzi? Tymczasem facet zaczął mnie szarpać za kurtkę i próbował kopać. Oczywiście, nikt z postronnych nie pospieszył mi z pomocą, choć wokół był tłum ludzi i wszyscy widzieli, co się dzieje. „Pan mnie z kimś pomylił” – krzyknęłam, ale on tylko pokręcił głową. „Ja cię, szmato, z nikim nie pomyliłem, twoją gębę będę pamiętał do końca życia”. Oczywiście, to też był „mój” więzień. W sumie nic strasznego mi nie zrobił i niedługo odszedł, ale dla mnie to było potworne przeżycie. Piękny wieczór prysł jak bańka mydlana albo – jak mówią inni: „poszedł się jebać”.

W zakładzie karnym teksty typu: „ja cię na wolności, kurwo, dojadę”, są na porządku dziennym i nie robią na funkcjonariuszach większego wrażenia. Ale jak

spotykasz tego samego gościa na wolności właśnie, to sytuacja zmienia się diametralnie.

**AG:** Czy taka agresja wobec pracowników zakładu karnego – mam na myśli agresję na wolności – jest na porządku dziennym?

**Marta:** Oczywiście, że tak, tyle że takich sytuacji się nie nagłaśnia. Raczej zamiata się je pod dywan. Zresztą nie wszystkie przypadkowe spotkania na wolności mają przebieg dramatyczny. Całkiem niedawno, wychodząc z restauracji, wpadłam w drzwiach na byłego osadzonego. Rozpromienił się, uściskał mnie, zapytał, co u mnie słychać. Nie wszyscy mają powód, żeby czuć nienawiść do funkcjonariusza. Ale facet, który stał pod moim blokiem, raczej nie miał dobrych intencji...

**AG:** Jaki facet pod blokiem? Jakiś kolejny szantażysta?

**Marta:** Tak, pojawił się pewien chłopak, który wiedział, w którym bloku mieszkam, ale nie znał numeru mieszkania. Próbował to ustalić u sąsiadów, w większości emerytów, ale źle trafił – nie wzbudził ich zaufania, więc mówili mu, że nikt taki tu nie mieszka. Udawał znajomego jakiejś mojej przyjaciółki, wciskał farmazony, że miał mój adres na kartce, a kartka wyfrunęła przez okno samochodu, ale sąsiedzi wyczuli, że to jakiś lewus. Potem okazało się, że wysłał go na przeszpiegi mój osadzony. Czego chciał? Na razie tylko ustalić dokładny adres zamieszkania. A co potem? Trudno powiedzieć.

**AG:** Nasuwa się pytanie: skoro osadzeni tak bezbłędnie wyszukują wszystkie interesujące ich dane na temat pracownika SW, to czy ktoś im w tej „kwerendzie” nie pomaga?

**Marta:** Jeśli chodzi o adres zamieszkania, to sam się domyśl.

**AG:** Domyślałam się, ale wolałbym się mylić.

**Marta:** Niestety, logika podpowiada, że informacje te płyną z wydziału ochrony. To nie jest tak, że wspólnicy osadzonych przestępców czekają na wychowawcę czy na strażnika pod zakładem karnym, śledzą go, jadą za nim samochodem, po drodze zmienia się ekipa, która śledzi, i tak w końcu ustalają miejsce zamieszkania. Znacznie prościej jest przekonać kogoś z wewnątrz, z administracji, żeby podzielił się swoją wiedzą, choćby tylko cząstkową: wystarczy, że poda ulicę, a już masz gada czy wychowka na talerzu. Ktoś cię w końcu zobaczy. Tak jak ten, który czatował na mnie pod blokiem.

**AG:** No i co z nim dalej?

**Marta:** Pewnego wieczoru wychodziłam na imprezę ze znajomymi – odstawiłam się i wyszłam na dwór. Szukałam czegoś w torebce, gdy do mnie podszedł i zaczął się na mnie gapić. Nie miałam pojęcia, kto to taki – widziałam go po raz pierwszy w życiu. „Pan na kogoś czeka?” – spytałam. A on odparł: „Tak z dobrego serca radzę pani wrócić do domu”. Osłupiałam. Dlaczego niby miałabym wracać do domu? I odparłam: „A ty kto jesteś, wujek dobra rada? Weź spierdalaj, nie wkurzaj mnie”. On lekko się uśmiechnął i powiedział: „Na razie tylko grzecznie proszę”. Wyciągnęłam z torebki telefon i napisałam do znajomego SMS-a, że mogę mieć trudności z dotarciem na czas. Ruszyłam w stronę przystanku autobusowego, a on szedł za mną. Gdy nadjechał autobus, wsiadł razem ze mną – nie stał obok mnie, ale kątem oka widziałam go cały czas. Po kilku przystankach wysiadł, a ja muszę przyznać, że miałam nogi z waty. Nigdy więcej go już nie zobaczyłam, ale domofon jeszcze przez długi czas wyrywał mnie z łóżka w środku nocy. Jestem pewna, że to on dzwonił.

## Dziś prawdziwych grypsujących już nie ma

Można zacząć tak: Paweł Cwynar to autor poczytnych książek, twórca bloga, popularyzator literatury faktu, coraz bardziej znana osobowość medialna. Można też inaczej: Paweł Cwynar to były gangster, szef dużej zorganizowanej grupy przestępczej, dobry znajomy mafiosów zza Buga. Człowiek, który kilkanaście lat swojego życia spędził w zakładach karnych i w domach poprawczych, w najcięższych więzieniach w kraju. Który Paweł Cwynar jest prawdziwy? Obaj – bez bezwzględnego gangstera, który przeszedł trudny proces nawrócenia, nie byłoby pisarza. Więzienne doświadczenia autora książki *Biskup – nawrócony gangster* są niezwykle bogate: pierwsze kroki na swojej przestępczej drodze Cwynar stawiał jeszcze w czasach PRL (i po raz pierwszy został zamknięty przez wymiar sprawiedliwości Polski Ludowej), a jako szef grupy przestępczej trafił za kratki już po 2000 roku. Miał więc możliwość porównania dwóch rzeczywistości penitencjarnych: tej wywodzącej się jeszcze z reżimu stalinowskiego i tej europejsko-liberalnej. Tej, w której skazany praktycznie pozbawiony jest jakichkolwiek praw, i tej, w której ma ich więcej niż kiedykolwiek.

Który model przywracania skazanych do społeczeństwa jest skuteczniejszy? I czy ta skuteczność zależy od modelu? Czy ktoś staje się lepszy tylko dlatego, że odsiedział to, co mu zasądzono?

**Artur Górski:** Kiedy po raz ostatni trafiłeś do więzienia?

**Paweł Cwynar:** W 2005 roku. Miałem w zasadzie wszystkie zarzuty, jakie może dostać uczestnik grupy przestępczej o charakterze zbrojnym – wymuszenia, narkotyki, handel bronią, ładunkami wybuchowymi. Cała paleta. Ale był jeden haczyk, korzystny dla mnie: choć byłem szefem grupy, nie dostałem zarzutu kierowania nią. A jednak za „kierownicę” dostaje się naprawdę grube wyroki. Kiedy prokurator oznajmił mi, że nie dostanę zarzutu kierowania, pomyślałem sobie: „Bo nic na mnie nie macie”. Ale to nieprawda, bo materiał mieli znakomity: nagrywali mnie przez rok, mieli udokumentowane moje działania na wszystkich możliwych nośnikach. Wiedzieli o mnie wszystko. W moim odczuciu spokojnie mogli zażyczyć sobie piętnastki dla mnie.

**AG:** To skąd taka życzliwość? Prokuratorowi zrobiło się ciebie żal?

**PC:** Nie, po prostu chcieli mi dać status świadka koronnego. A, jak wiadomo, ten, kto ma „kierownicę”, nie może dostać korony. Tak samo jak zabójca. Tyle że ja wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. W ogóle jak na gangusa trochę za mało interesowałem się prawem. Koronnym wprawdzie nie zostałem, ale wyrok był średni – dwanaście lat. Tyle że w tamtym czasie stać mnie było na naprawdę dobrych adwokatów i oni jakoś poszczególne zarzuty i poszczególne sprawy łączyli ze sobą i dzięki temu udało się obniżyć wymiar kary. Poza tym, trochę pomogła mi polityka – w tamtym czasie Unia Europejska nakazała państwom członkowskim poszerzyć przestrzeń życiową osadzonych. Wcześniej tłoczono ich niemiłosiernie, wręcz celowo, żeby dokuczyć, teraz trzeba było dać każdemu po cztery metry kwadratowe. Czyli dwa razy więcej. No, ale skąd wziąć ten metraż? Rozbudowywać stare więzienia, budować nowe? Dlatego wymiar sprawiedliwości zaczął „z bomby” dawać wokandy, czyli przedterminowe zwolnienia, żeby jakoś rozgęścić pod celami. Oczywiście, zwalniano głównie „petki”, czyli tych, którzy w swym życiu zbyt wiele nie nawywijali – recydywistom już przyglądano się uważnie. Ci, którzy nie załapali się na ten odpływ, zaczęli pisać petycje do Strasburga, przedstawiać swoją tragiczną sytuację i zrobił się dym, który władzom więziennym i politykom był nie na rękę. Więc dalej puszczano do domów. Ja byłem jednym z nich. Wprawdzie darowano mi niedużo, tylko rok, ale to zawsze lepsze niż nic.

**AG:** A ile lat w sumie spędziłeś za kratkami?

**PC:** Licząc z poprawczakiem w PRL, piętnaście.

**AG:** W PRL było gorzej?

**PC:** Na pewno lekko nie było. Więzienie to było naprawdę więzienie, przy czym, jak już Polska Ludowa zaczęła się chwiać i stało się jasne, że się w końcu wypieprzy, osadzeni zaczęli się stawiać, domagać się swoich praw, a gady nie bardzo wiedziały, jak reagować. Złodzieje niemal oficjalnie chodzili ze „szperakami” (rodzaj wytrycha) w kieszeniach i otwierali drzwi do różnych cel. I to na zamkniętych oddziałach. Kiedyś coś takiego było nie do pomyślenia. W końcu zmienił się ustrój i w puszkach pojawiły się rozmaite komisje solidarnościowo-prawicowe, zaczęło się wizytowanie cel, wypytywanie osadzonych, co sądzą o panujących warunkach. A klawisze tylko zaciskali pięści i czuli się jak na jakiejś obcej planecie.

**AG:** Za co trafiłeś do domu poprawczego?

**PC:** Od wczesnej młodości paralem się dziesionami, czyli kradzieżami z użyciem przemocy (artykuł 210 Kodeksu karnego z 1969 roku – stąd nazwa).

**AG:** Od wczesnej młodości? Żeby dokonać kradzieży z pobiciem, trzeba mieć trochę krzepy – to nie jest zabawa dla dzieci.

**PC:** Dobrze mówisz, ale ja nie napadałem na PRL-owskich odpowiedników Mariusza Pudzianowskiego, ale mocno zawianych gości o cherlawej posturze. Tacy nawet dla piętnastolatka nie są przesadnym wyzwaniem, szczególnie jeśli robisz napad w kilka osób. Tyle że nawet na takiej robocie trzeba się znać. Myśmy się kręcili przy starych recydywistach, którzy nam mówili, jak to robić. Na przykład zawsze powtarzali: nigdy nie bić jakimś narzędziem, bo będzie dziesiona z dwójką, czyli napad z użyciem broni – a za to już można długo posiedzieć. Jak bić, to tylko gołymi pięściami. Z kolei, jak gość ma przy sobie niewiele hajsu, to lepiej sobie odpuścić, bo jakby co – będzie tylko zarzut pobicia, ale już bez kradzieży.

**AG:** Czemu okradałeś ludzi? Głodowałeś? Brakowało ci czegoś w domu?

**PC:** Wręcz przeciwnie – niczego mi nie brakowało. Babcia miała firmę krawiecką, a dziadek – parkieciarską. W tamtym czasie to przynosiło spore zyski. Mama pracowała w banku, tata na kolei – byliśmy naprawdę dobrze sytuowani. Chodziło o adrenalinę; o to, żeby przeżyć coś naprawdę mocnego. A kariera przestępcy wydawała się o wiele ciekawsza niż życie przeciętnego Kowalskiego. Ja jeszcze za wiele nie potrafiłem – nie byłem ani doliniarzem (złodziejem kieszonkowym), ani nie nadawałem się do skoków na mieszkania, więc realizowałem się w dziesionach. To było najprostsze. Rzecz w tym, że trafiłem do poprawczaka nie za dziesiony, ale za paserkę – trochę przypadkowo. Otóż, po którymś napadzie znaleziono przy mnie fanty (elektronika), ale współnicy nie potwierdzili, że brałem z nimi udział w akcji i ja, rzekomo, miałem tylko poszukać kupca. Czyli uratowali mi tyłek przed większym wyrokiem, no, ale coś tam jednak mi przybito. I tak trafiłem do Kajdanowa, w okolicach Głogowa. To nie był jakoś szczególnie ciężki zakład poprawczy, ale wystarczająco, żeby dać w kość. Tym bardziej że ostrą szkołę życia dostałem już wcześniej – na milicyjnej izbie dziecka.

**AG:** Izba dziecka brzmi... niewinnie.

**PC:** No to posłuchaj. Zamknęli mnie w celi z gościem, któremu marzyła się jakaś brawurowa akcja. Ja miałem szesnaście lat, on trochę więcej. Mówi do mnie: „Wyrwiemy się stąd. Ty jesteś dziesioniarz, fajter, więc ostry z ciebie

chłopak, damy radę”. Spytałem, co ma na myśli. Powiedział mi, że tu milicyjna ochrona w nocy jest raczej symboliczna – wystarczy dać gliniarzowi w japę, skopać mu dupę i już po sprawie. Nie bardzo mi się ten plan podobał, ale jako że lubię adrenalinę, w końcu się zgodziłem. Nie dawałem tego po sobie poznać, ale bałem się jak cholera – czułem, że to się skończy bardzo niedobrze. Kiedy pojawił się mundurowy – olbrzymi, nalany chłop – rzuciłem się na niego. Zacząłem go okładać pięściami, ale to nie były mocne ciosy, a raczej rozpaczliwce, które mu nie robiły żadnej krzywdy. Ten, który mnie namówił na tę akcję, stał z tyłu, w pozycji bojowej, ale nie wkraczał do akcji. W pewnym momencie milicjant popchnął mnie z całej siły – poleciałem na podłogę i już z niej nie wstałem. Funkcjonariusz wyszedł, ale na tym sprawa się nie skończyła.

**AG:** Prokurator dołożył ci kolejne zarzuty? Napaść na umundurowanego funkcjonariusza to bardzo gruba sprawa, a w twoim wypadku – wręcz katastrofalna.

**PC:** Załatwili to inaczej – nad ranem do mojej celi wkroczyło kilku gliniarzy w umundurowaniu ZOMO, oczywiście z hełmami z przyłbicami na głowach i z pałami w rękach. Zupełnie jakby wcześniej pacyfikowali jakąś demonstrację i przypadkiem przechodzili obok izby dziecka. Bez wdawania się w szczegóły – skatowali mnie tak, że gdyby zobaczyła mnie rodzona matka, nie uwierzyłaby, że to jej syn. Jako że w końcu straciłem przytomność, nie mam pojęcia, ile czasu trwał ten łomot. Wiem tylko, że od tych uderzeń pękała mi skóra – widać chłopcy potraktowali mnie jak worek treningowy. Ślady po tym pobiciu schodziły mi przez kilkanaście lat. Po wszystkim wrzucili mnie do izolatki. Ale żeby mi nie było zbyt komfortowo, uchylili okno, przesłonięte kratką. Był luty, zimno jak cholera, więc zachodziła obawa, że może nie umrę od uderzeń pałkami, ale z wyziębienia. Zanim wyszli, jeszcze oblali mnie zimną wodą. Leżałem na podłodze, rzygałem krwią i czułem w ustach... smak śmierci. Nie żartuję, naprawdę go czułem!

**AG:** Nie zamknęli okna na noc?

**PC:** Nie, miałem bardzo sprawnie działającą „klimę” aż do końca pobytu w izolatce. Czyli przez kilka dni. Rano przyniesiono mi jedzenie – to były niedojedzone resztki, na które nie dało się patrzeć, a co dopiero to zjeść. Funkcjonariuszowi towarzyszył owczarek, na wypadek gdybym znowu rzucił się z pięściami. Ale ja ledwie wstałem – byłem zupełnie niegroźny. Ta ich demonstracja siły była kompletnie nieadekwatna do sytuacji. Po dwóch tygodniach mogłem pójść się wykapać pod prysznicami – zobaczyła mnie sprzątaczką i zapytała przerażona: co oni ci, dziecko, zrobili? Czyli jeszcze po



dwóch tygodniach wyglądałem nieciekawie. Kiedy zawieziono mnie już do poprawczaka, lekarz, który robił mi oględziny, odmówił przyjęcia mnie do zakładu. Powiedział naczelnikowi, że najprawdopodobniej mam poważne obrażenia wewnętrzne i on nie gwarantuje, że coś złego mi się nie stanie. No, ale przypominam, że mówimy o czasach komunizmu, więc szybko wytłumaczono lekarzowi, że musi mnie przyjąć, bo moje miejsce jest w poprawczaku, a nie w sanatorium. Życie młodego przestępcy jest brutalne.

**AG:** Rozumiem, że nauczony doświadczeniem z izby dziecka już więcej nie kozaczyłeś?

**PC:** No więc, powiem ci, że natury tak łatwo się nie zmienia. Oczywiście, już na nikogo się nie rzucałem z pięściami, ale zdarzyło mi się zablokować zamek w drzwiach szpilką, podkradzioną z gazetki ściennej.

**AG:** Myślałem, że osadzeni raczej chcą otwierać drzwi, a nie je blokować.

**PC:** Plan był taki: wkładam szpilkę do zamka, łamię ją i zeks, czyli strażnik w poprawczaku, nie będzie mógł go zamknąć. I wtedy zostają mi tylko jedne drzwi do sforsowania. Proste, nie?

**AG:** No, nie wiem...

**PC:** No właśnie. Wsunąłem szpilkę, złamałem ją, wszystko szło zgodnie z planem, ale zeks skumał, że coś jest nie tak, i pyta: „Czemu zamek nie działa?”. Odparłem, że nie mam pojęcia. Wzruszył ramionami i poszedł sobie. Myślałem, że sprawa rozeszła się po kościach, ale... tak naprawdę gra w kości (moje) dopiero się zaczynała. Po kilku minutach do mojej celi wkroczyło kilku drabów. Pierwszy z nich, na przywitanie, tak mnie walnął w głowę, że poleciałem na podłogę. A potem tłukli wszyscy, i to przez długi czas. Jak już uznali, że zostałem wystarczająco ukarany, zaprowadzili mnie do izolatki i zamknęli za mną drzwi. Siedziałem w niej przez tydzień i kruszałem. A potem już zostałem przeniesiony do celi z innymi chłopakami. Bądźmy szczerzy – z taką patologią, jaką trudno sobie wyobrazić. Niektórzy z nich urodzili się w więzieniu, bo ich matki odsiadywały kary, nierzadko za zabójstwo. A jak się urodzisz w puszcze, to nawet jeśli z niej wyjdiesz, ona cię będzie wzywała przez całe życie.

\* \* \* \* \*



Nie, to nie jest tak, że w PRL-owskich zakładach poprawczych bicie młodych ludzi, a tak naprawdę dzieci, było dozwolone prawem. Włodarze Polski Ludowej zawsze podkreślali, że socjalizm nigdy nie pozwoli na takie dręczenie dzieci, jakie miało miejsce za czasów sanacji i kapitalizmu, i da im wszystko, czego potrzebują; że przeprowadzi je przez życie w poczuciu bezpieczeństwa i sprawiedliwości. Rzecz w tym, że w kolebce ustroju, czyli w Związku Radzieckim, dla młodych, którzy funkcjonowali na marginesie „normalnego” społeczeństwa, władze nie miały litości. Jeszcze w latach dwudziestych dwudziestego wieku pojawiło się pojęcie „bezprizornych”, czyli dzieci (głównie sierot) żyjących na ulicy i według ulicznych reguł. Dzieci zwykle wywodzących się z rodzin patologicznych, wychowywanych przez kryminalistów, a więc już na starcie skazanych na konflikt z prawem. Komunizm nie zamierzał ich reedukować i przywracać społeczeństwu – jedyne, co miał im do zaoferowania, to kolonie karne przypominające gułagi i życie pod wyjątkowo zaostrzonym rygorem. Tak naprawdę – oferował im piekło. Na wychowawcę tej młodzieży władze wybrały pedagoga i pisarza Antona Makarenkę (zasłynął jako autor *Poematu pedagogicznego* – w 1955 roku powstał nawet film pod takim samym tytułem) – to on stworzył system wychowania bezprizornych w duchu komunistycznym.

Choć jego publicystyka pełna była górnolotnych frazesów o tym, jak to nie ma złej młodzieży, są tylko źli wychowawcy, rzeczywistość rozmijała się z deklaracjami. Warunki panujące w takich miejscach odosobnienia były nieludzkie. I mało kto przejmował się tym, czy osadzony wróci do normalności, czy pozostanie po ciemnej stronie.

Kolonie karne produkowały na masową skalę „worów”, czyli przedstawicieli więziennych subkultur. Idee Makarenki zostały przejęte przez państwa bloku wschodniego – w jakimś sensie zakłady poprawcze Polski, Czechosłowacji czy wschodnich Niemiec były nawiązaniem do koncepcji powstałych w Rosji Radzieckiej. Tak jak w ZSRR obiecywano, że poprawczak jest dla osadzonego drugim domem, a wychowawcy i strażnicy – kochającą, choć niepobłażającą rodziną, a jednocześnie traktowano młodego człowieka jak kryminalistę, dla którego już nie ma drogi odwrotu.

Jakoś wypierano ze zbiorowej świadomości, że nastolatek to tak naprawdę jeszcze dziecko – fakt, czasami wyrosnięte i silne, ale jednak dziecko. I do wejścia w konflikt z prawem popycha go nie wrodzone zło, ale po prostu zwykła głupota; brak świadomości tego, czym może się ów konflikt zakończyć. Wychowanie za pomocą pałek i wszelakich kar fizycznych może i budzi w pierwszej chwili pokorę, ale potem zamienia się ona w potrzebę dokonania odwetu. Jeśli nie na funkcjonariuszu, który go skatował, to na kimkolwiek, kto się

nawinie pod rękę. I wtedy już wszelkie teorie pedagogiczne można włożyć między bajki.

\* \* \* \* \*

**Paweł Cwynar:** Wjechałem do puchy – już nie do poprawczaka, ale zakładu karnego dla dorosłych – mając ledwie ukończone siedemnaście lat. To był Wrocław, ulica Kleczkowska – stara, ponura pucha. Na przejściówce, wiadomo – rozkmina: skąd jesteś, małolat, od kogo, za co cię posadzili. Taka typowa gadka ze złodziejami, bo na przejściówce wszyscy są złodziejami – dopiero potem się okazuje, że ten wjechał za głowę, a ten za dziesionę. Na początku podział jest jasny: są klawisze i złodzieje.

Pod celą spotkałem znajomka z Legnicy – on się mnie zapytał, czy chcę grypsować. Powiedziałem, że chcę. I tym samym stałem się grypsującym, choć na razie nie do końca oficjalnie. Tak łatwo się nie zostaje grypsującym.

Za jakiś czas zostałem wezwany do dyrektora na komisję penitencjarną – oni już mieli wszystkie moje akta i mniej więcej wiedzieli, czego się można po mnie spodziewać. Ale jednak byłem zdumiony, kiedy usłyszałem: „widzieliśmy twoje kwity z poprawczaka i doszliśmy do wniosku, że jesteś wyjątkowo zdemoralizowany. Dlatego trafisz do recydywistów”. Tak naprawdę nie wrzuca się petek do recydywistów, ale oni mi dali podgrupę P łamane na R, czyli petka i recedens w jednym.

Oczywiście nie spękałem, jednak czułem spory niepokój. W sumie byłem jeszcze szczunem i nagle miałem trafić do starych przestępców. Owszem, sporo przeszedłem na ulicy, w poprawczaku w Kajdanowie też trzymałem fason, wojowałem z zeksami i miałem mir wśród tych, którzy ze mną siedzieli, ale jednak teraz wkraczałem do zupełnie innej ligi. To było więzienie – dwa tysiące chłopów, a wśród nich naprawdę ostrzy klienci. I nieprzewidywalni.

Poszedłem na magazyn, gdzie dostałem szary koc, blaszany talerz, metalową łyżkę, dwie ścierki i kostkę szarego mydła – do dziś pamiętam, że z pięcioramienną gwiazdą, prawdopodobnie trafiła do pudła po Armii Radzieckiej. I to był cały mój dobytek.

Więzienie tylko w niewielkim stopniu przypominało poprawczak czy policyjne dołki – wszędzie kraty, psy, strażnicy. Inny świat, zupełnie nowe doświadczenie, choć na dołkach też bywało nielekkko. A wręcz powiedziałbym, że zdarzały się tam „atrakcje”, jakich się nie doświadczy w zakładzie karnym. Choćby zamykanie zawiniętego w metalowej szafie i walenie gumowymi pałami przez kilkanaście minut – to jest taki koncert, po którym człowiek zamienia się we flak. Dosłownie. A jeśli nie we flak, to w... konfiturę. Czyli konfidenta. Bo to

zawijanie na dołek miało także ten cel, aby wśród młodych przestępców szukać odpowiednich kandydatów na współpracowników. Bicie było na porządku dziennym, szczególnie jeśli mundurowi wcześniej sobie popili. Niektórzy zatrzymani tego nie wytrzymywali.

Generalnie, psy torturowały, co w więzieniu – przynajmniej po czasach PRL – może nie tyle było nie do pomyślenia, ile jednak na pewno stanowiło rzadkość.

Wracając do Wrocławia – zanim tam trafiłem, dość dobrze wiedziałem, czego mogę się spodziewać, bo starzy recydywiści, jeszcze na wolności, mówili nam, jak to jest za kratami. No, ale teoria to jednak nie to samo, co praktyka.

Wrzucili mnie do celi z czterema bykami – trzech z nich akurat „pakowało” (oczywiście metodami więziennymi, czyli albo robili pompki, albo jeden ćwiczył, a drugi służył mu za obciążenie), a jeden leżał na koju i czytał książkę. Miał ksywkę Klawy, tak samo jak ja pochodził z Legnicy i on w jakimś sensie mnie uratował. Bo tych trzech pakerów najwyraźniej miało ochotę, żeby trochę mnie dojechać. I kto wie, jak by się dla mnie ten pierwszy dzień pod celą skończył. Ale Klawy ostudził ich emocje i wziął mnie pod skrzydła. Zaczęła się rozkmina, czyli sprawdzanie mnie – czy jestem sztywny, czy raczej pójdę do wora. Przez miesiąc chodziły grypsy – wszyscy, którzy mnie znali czy coś o mnie słyszeli, wyrazili swoje zdanie i „casting” na grypsującego przebiegł dla mnie pomyślnie. Teraz już mogłem grypsować na legalu, a nie tylko deklarować, że chcę przynależeć.

A co to w ogóle znaczy – grypsować? Wielu ludzi utożsamia grypsowanie z więziennym slangiem – wystarczy się nim posługiwać i już się jest grypsującym. To tak nie działa.

Na początku muszę zaznaczyć, że grypsowanie dziś a grypsowanie w czasach PRL to dwie zupełnie różne sprawy. Mówiąc krótko, wielu dzisiejszych grypsujących nie miałyby wstępu do tej subkultury. Wtedy, jak wjeżdżałeś do puchy, musiałeś zadeklarować czy jesteś grypsującym – jeśli nie wiedziałeś, co to takiego, wówczas starzy więźniowie przedstawiali ci grypsowanie w jak najgorszym świetle. I dawali ci do zrozumienia, że jeśli przystąpisz do tej „elity”, twoje życie nie będzie łatwe. I z osadzonymi, i z gadami. Będiesz miał przywileje, ale przede wszystkim – obowiązki. Podstawowym była solidarność z innymi grypsującymi. Jeśli inni osadzeni napadną na grypsującego, ty musisz stanąć w jego obronie. Nawet jeśli przeciwników będzie stu, nic cię od tego nie zwalnia. Jak u komandosów – braci się nie zostawia w potrzebie. Nigdy nie możesz się cofnąć, odpowiadasz za każde słowo, które wypowiedziałeś, za każdy gryps (czyli nielegalny list), który dostałeś do przemycenia. Jeśli gady znajdą przy tobie gryps, musisz go wszamać. Tych zasad było tak wiele, że uczyłem się ich przez prawie trzy miesiące. Nauka trwała dzień i noc – wafle potrafili mnie

budzić przed świtem i przepytywać z zasad. A ja musiałem je recytować jak nauczony na pamięć poemat.

Bo znać zasady – to jedno, a ich przestrzegać – to drugie. Było wielu chłopaków, którzy mieli doskonale opanowaną bajkę, ale nie sprawdzali się w boju. Oto przykład – jeden z takich „sztywnych” miał przy sobie gryps i gad się zorientował. No i wyskoczył, żeby odebrać mu ten gryps. Zasada jest taka, że za żadne skarby świata gad nie może go przejąć. Czyli trzeba walczyć, napierdalać się ze strażnikiem. A, jak wiadomo, to prawie zawsze kończy się wyrokiem. No i grypsujący wydygał, bo bał się konsekwencji, i gryps trafił w niepowołane ręce. Oczywiście, potem tłumaczył się gęsto, że niczego dobrowolnie nie oddał – po prostu gryps mu wypadł z kieszeni.

Generalnie, grypsowanie było rodzajem reliktu, bo powstało i miało sens w czasach komunizmu, gdy osadzeni widzieli w strażnikach przedstawicieli wrogiego systemu. Gdy upadł komunizm, naturalny wróg przestał istnieć i zaczęto szukać nowych zastosowań dla starej ideologii, ale grypsowanie zaczęło zanikać. Do tego doszły narkotyki – tak, tak, w więzieniach, które zdemolowały osadzonych nie tyle fizycznie, ile moralnie. Nawet twarde „sztywniaki” zaczynały się uginać, gdy chodziło o dostęp do prochów czy leków działających jak narkotyki. I tak, z biegiem lat, grypsowanie stało się karykaturą siebie z czasów PRL.

Do więzień zaczęły wjeżdżać petki, deklarujące się jako grypsujący, i od razu chciały udowodnić swoją pozycję. Najprościej to zrobić, dojeżdżając frajera. A wiadomo, że frajer frajerowi nierówny – to, że ktoś nie chciał należeć do subkultury, jeszcze nie znaczyło, że jest konfidentem czy innym śmieciem.

Powiedzmy, że ktoś na wolności zostawił czwórkę dzieci i chciał do nich jak najszybciej wrócić. A status grypsującego oznacza, że osadzony nie poddaje się resocjalizacji, więc za bardzo nie ma co liczyć na przedterminowe zwolnienie. O przepustki też trudniej.

Starzy zawsze mi powtarzali, że bez powodu nikogo się nie dojeżdża. A nie raz się zdarzyło, że jakiś „młody grypsujący” dał (bez powodu albo z błahego powodu) w ryj frajerowi, ale ten był na tyle charakterny, że mu oddał. I co teraz? Teraz inni grypsujący muszą stanąć w obronie wafla i spuścić łomot frajerowi. Tyle że frajer niczym nie zasłużył – po prostu się bronił. No, ale zasady to zasady! Dlatego frajer zostaje pobity, ale nie bez konsekwencji – zaraz potem jest prokurator, sąd i... kolejny wyrok. Nawet do dodatkowych dwóch lat dla tych, którzy stanęli po stronie „młodego grypsującego”. Warto było trzymać się zasad?

Trzeba też pamiętać, że nie ma jednego wzoru grypsowania – inaczej to wygląda w Warszawie, a inaczej gdzieś na prowincji na wschodzie kraju czy na Dolnym Śląsku. I to też się przekładało na reguły gry panujące w grupach

przestępczych. U mnie, w Legnicy, stare zasady były święte i nienaruszalne. Kiedy jednak przyjeżdżałem do Warszawy, okazywało się, że tutejsi mają to głęboko w dupie. My trzymaliśmy się tego, co nam przekazali starzy, w stolicy (czy raczej – w Pruszkowie) młode wilczki miały niewielki szacunek do takich tuzów, jak Barabasz czy Parasol.

W Warszawie nikogo nie interesowało to, że siedziałem, byłem grypsujący, latałem w grupie z respektowanymi bossami – ważne było tylko to, ile można ze mną zarobić. Nikt mi amfy czy koki na piękne oczy nie dał – za wszystko musiałem płacić, i to z góry. Taka moralna destrukcja była w największych miastach: Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Łodzi. Tam można było robić interesy z frajerami, byleby to były duże interesy.

Z takim podejściem do tematu nie pogodziłem się nigdy.

## Krew w imię zasad

Patologie życia za kratami od dawna interesują i dziennikarzy, i pisarzy. Co jakiś czas pojawia się kolejna książka o życiu po tamtej stronie muru, ale jest oczywiste, że tematu po prostu nie da się wyczerpać. Jest o czym pisać, a ogarnięcie piórem tego dziwnego świata wydaje się ponad siły autorów, którzy opisują go z zewnątrz.

Kilka lat temu ukazał się wstrząsający reportaż Pawła Kapusty pt. *Agonia* – są to wspomnienia lekarzy i medyków zatrudnionych w zakładach karnych. Oto krótki fragment, który dobrze pasuje do dalszej części tego rozdziału.

„Jeszcze się taki nie urodził, któremu więzienie by nie doskwierało. Samotność i odizolowanie to czynniki rozmiękczone największych cwaniaków. Osadzeni nie wytrzymują, pękają. Najczęściej dokonują wtedy samouszkodzeń. Na przykład: pocięcia. Chłopak wyjął więc żyłkę z maszyny jednorazowej i calusienki się pochlastał. Nawet nie tyle się ciął, co drapał, rwał skórę. Żyłka w pewnym momencie przestała mu wystarczać. Chwycił za plastikowy, połamany nóż. I tym nożem drapał się tak mocno, że wchodził w ciało na centymetr. Grzesiek patrzy na niego przez wizjer i widzi jedną, wielką, cieknącą, zakaźną ranę. Od czubka głowy po stopy – cały jest porwany. W zakładzie widział już wiele, ale czegoś takiego – nigdy.

Co robić? Strażnicy mają przecież obowiązek mu pomóc. Muszą coś zrobić, żeby się nie wykrwawił. Każda próba wejścia do pomieszczenia kończy się jednak tym, że facet krew z pociętych rąk bierze do ust i pluje nią na oślep. W strażników, w pielęgniarkę, która przybiegła z ambulatorium. Po piętnastu minutach pojawia się pogotowie”.

\* \* \* \* \*

**Paweł Cwynar:** Jako grypsujący byłem głównym aktorem w spektakularnym widowisku. Widowisku, które zaczęło się jeszcze na wolności. Jako szef jednej z legnickich grup wdałem się w wojnę z konkurencją, na czele której stał – nazwijmy go X. Jako że zadyma była naprawdę duża, uznałem, że muszę go sprzątnąć. Jako że miałem dobre układy za Bugiem, postanowiłem poszukać ruskiego cyngla. No i faktycznie, jacyś znajomi z Kaliningradu znaleźli chętnego.



W tamtym czasie byłem bardzo poszukiwany przez policję – za napady i wymuszenia – moje zdjęcia nieustannie pojawiały się w gazetach czy w telewizji. Tak więc miałem do pewnego stopnia związane ręce, a tamten szefuńcio był czysty jak łąza. Oczywiście, dla organów ścigania. Nie dość że tropiły mnie psy, to jeszcze szukał mnie X.

Kopnąłem się do Kaliningradu – oczywiście, na lewym białku i z lewymi dolarami. Czyli pełna desperacja. Wróciłem do Polski z kilerem i zaczęliśmy polowanie na mojego przeciwnika. Niestety, policja była szybsza – cyngiel został zawinięty, ciężko pobity i deportowany, a mnie jakimś cudem udało się zniknąć. Pojechałem do Wrocławia i naprędce stworzyłem tam małą, ale ostrą ekipę. No i tam wpadłem, zresztą z nożem w rękę, bo akurat załatwiałem jakieś porachunki w okolicach dworca PKP. Trafiłem na Kleczkowską i X dowiedział się, że tam jestem. Pewnego dnia podjechali w kilka samochodów i zaczęli mnie wywoływać – oczywiście, wszyscy osadzeni ruszyli do okien, jak zawsze, kiedy coś się dzieje. Kiedy się pojawiłem w oknie, X krzyknął: „Zadarłeś nie z tym co trzeba, jak wyjdiesz, to już długo nie pożyjesz. Wiem, co chciałeś mi zrobić!”. A ja mu na to: „Posłuchaj, kurwo, to co zacząłem – dokończę. Już jesteś trupem”.

Oczywiście, nie miałem jak zrealizować swojej groźby, ale na takich rozkminkach zawsze padają mocne słowa. Pojechali, a ja zacząłem się zastanawiać, co zrobić. No, bo jednak nie mogłem tak sprawy zostawić. Postanowiłem się ukręcić z puchy. I przyszedł mi do głowy szalony pomysł – niedługo miałem jechać na sprawę do Złotoryi, jakieś sto kilometrów od Wrocławia, i nadarzała się okazja do ucieczki. W Złotoryi wrzucili mnie do sześćoosobowej celi, gdzie były łóżka z dechami – wyłamałem jedną z nich i odłamkiem szkła ze słoika wystrugałem sobie... pistolet. Osmaliłem go ogniem i na koniec posmarowałem margaryną, żeby się błyszczał. Wyglądał lepiej niż prawdziwy.

Wyjąłem gumkę z piżamy, przepasałem się nią na wysokości klatki piersiowej i zatknąłem pistolet. Kiedy wychodziłem do kabaryny, byłem spokojny, bo wiedziałem, że nie będzie żadnego przeszukania – gad poklepie mnie po plecach i pozwoli ruszyć dalej. Wtedy jeszcze nie było kładzenia rąk na ścianę – to się zmieniło po moim numerze. Mój plan był prosty – na sali sądowej wyjmę kopyto, skoczę do sędziego, przystawię lufę do głowy i go uprowadzę. A następnie puszcę go wolno, a sam zniknę. Ale zanim dotarłem do sądu, pojawili się antyterrorysty, położyli mnie na podłodze, giwery przy głowie, wyciągnęli moją atrapę, po czym skuli mi ręce i nogi. Co to oznacza? Oznacza to, że ktoś pewnie dostał albo warunek, albo przepustkę – zostałem zakapowany, bez dwóch zdań. W sześćoosobowej celi zawsze znajdzie się ktoś, kto połasi się na nagrodę od władz więzienia.

Zostałem wrzucony do suki i pojechaliśmy do sądu – wozem tak rzucało na zakrętach, że ciągle spadałem na podłogę. Po tej podróży byłem cały posiniaczony. Tam już czekał na mnie cały teatr – snajperzy na dachach, zamknięte ulice, wszędzie mundurowi. Zupełnie jakby wieźli Pablo Escobara. A przynajmniej szefów Pruszkowa. Na salę zostałem zaniesiony.

Rozprawa odbyła się bardzo szybko, po czym, w takich samych warunkach, wróciłem na Kleczkowską – tam już czekał na mnie kierownik ochrony z atandą. Poinformował mnie, że został mi przyznany status więźnia szczególnie niebezpiecznego! Zaniemówiłem – o takim statusie nigdy wcześniej nie słyszałem. A on wyjaśnił: „Szykujemy dla ciebie specjalną celę, a na razie przeniesiemy cię gdzie indziej”.



No i wrzucili mnie na celę, gdzie było pięciu niegrypsujących, a jedynym grypsującym miałem być ja. Tak się nie robi! Owszem, jak jest dwóch grypsujących, to od biedy można się zgodzić, ale w pojedynkę z ulungami (niegrypsującymi)? I kierownik ochrony doskonale o tym wiedział – to był rodzaj represji wobec mnie. Nie mogłem tam zostać, więc już pierwszej nocy zrzuciłem na podłogę koc i jakieś papiery i podpaliłem. Przybiegli, zgasili. Więc ja, już wkrótce, powybijałem szyby. Generalnie, narobiłem im takiego dymu, że zaczęli myśleć... Ale mimo wszystko powiedzieli mi, że muszę się pod tą celą pomęczyć, ale już niedługo wyrzucą mi nowe lokum, którego nie zapomnę do końca życia. To było dla mnie nie do przyjęcia. Uznałem, że najwyższy czas się pochlastać – wolałem już salę szpitalną niż celę z frajerami. Niestety, w chlastaniu nigdy mistrzem nie byłem. Owszem, znałem fachmanów, którzy doskonale wiedzieli, jak, gdzie i czym ciąć, żeby było dużo krwi, a jednocześnie żeby nie zrobić sobie zbyt wielkiej krzywdy, ale ja do nich nie należałem. Oczywiście, mimo wszystko podjąłem próbę – wyciągnąłem ostrze z maszynki do golenia i zacząłem się chlastać – poszła krew, ostrze zaczęło się ślizgać i lecieć mi z ręki, a rezultat nie był jakoś szczególnie spektakularny.

Tak się złożyło, że pod tą „frajerską” celą siedział jakiś Ruski. Jako że nieźle gawarilem w jego języku, poprosiłem go o przysługę: „Słuchaj, Wańka, weź tę mojkę i mi poderżnij gardło. Tylko z wyczuciem”.

Ale to nie był typowy ruski twardziel – pod Stalingradem pewnie by wydygał. Najpierw zrobił wielkie oczy, a potem uciekł do kibla. No, ale później okazało się, że miał powody, aby tak się zachować. Był bowiem podejrzany o to, że zabił dwóch Polaków, obcinając im głowy. Gdyby go złapali na tym, jak podcina mi gardło, nie wytłumaczyłby, że tylko spełniał moją prośbę. Przyznałby się do zarzutu.

Koniec końców trafiłem do szpitala – tam pospinali moje nacięcia jakimiś klamrami i tak odratowanego odesłali do więzienia. Znowu pod tę „frajerską” celę. Wtedy zadziałałem radykalnie – na jednym koju spał konfident, więc posmarowałem jego koc pastą do podłogi i podpaliłem. Gość ledwie uszedł z życiem! Ale trochę go przypiekło.

Wtedy już władze więzienia nie miały innego wyboru i w trybie przyspieszonym przeniosły mnie na „enkę”.

Tak wyglądała moja wierność zasadom.

\* \* \* \* \*

Temat wrocławskiego więzienia na Kleczkowskiej co jakiś czas powraca w medialnych doniesieniach. Choćby przy okazji rozprawy, która toczyła się

przeciwko kilku strażnikom podejrzanym o korupcję w zakładzie karnym. Mieli oni przemycać osadzonym telefony komórkowe, alkohol czy narkotyki – oczywiście w zamian za określone korzyści materialne. Kilka lat temu wybuchła afera, która była długo komentowana przez opinię publiczną – chodziło o tajemniczą śmierć osadzonego, wysoko postawionego w więziennej hierarchii, a więc teoretycznie – nietykalnego, odsiadującego karę dwudziestu pięciu lat więzienia za zabójstwo. Rafał M., pseudonim Gołota, trafił za kraty – jak to często bywa – za młodzieńczą głupotę. Miał niespełna dwadzieścia lat i ciągnęło go na złą stronę.

Wraz z kolegami zabił człowieka, który nie chciał się zgodzić na udział w jednym ze skoków. Trudno nawet powiedzieć, czy miała to być kara, czy raczej pozbycie się „słabego ogniwa” z obawy, że, przyciśnięty przez policję, mógłby ujawnić szczegóły działalności grupy. Bo najprawdopodobniej sporo o niej wiedział. Gołota nigdy nie przyznał się do zabójstwa, ale sąd dysponował na tyle mocnymi dowodami, że wieloletni wyrok był formalnością.

Rafał M. od razu przystąpił do grypsujących i szybko zaskarbił sobie mir wśród innych więźniów. Atletyczna postura, jakiej się dorobił, ćwicząc pod celą, wzmacniała ów szacunek. Dlatego dla wszystkich (czy na pewno dla wszystkich?) było zaskoczeniem, gdy znaleziono go o świcie nieprzytomnego w toalecie. Współosadzeni zaalarmowali strażników i wkrótce rozpoczęła się reanimacja, która jednak nic nie dała. Gołota zmarł.

Nie było na nim żadnych ran, można wręcz było odnieść wrażenie, że Rafał M. po prostu zmarł na zawał serca. Prokuratura po trzech latach umorzyła śledztwo, uznając, że doszło do nieszczęśliwego wypadku, a za zgonem nie stoją żadne osoby trzecie.

Jednak wątpliwości pozostały – zajęli się nimi reporterzy TVN-owskiego programu *Superwizjer*. Zwrócili uwagę na zapis monitoringu – wynikało z niego, że podczas gdy lekarze walczyli o życie więźnia, oddziałowy przechadzał się po korytarzu, zupełnie nie interesując się tym zdarzeniem. Tak skomentował to lektor: „Przez siedem minut funkcjonariusz zachowuje się tak, jakby nic szczególnego się nie działo”.

To, oczywiście, nie jest jeszcze żaden trop przeciwko funkcjonariuszowi SW – przecież wiedział, że nieprzytomny jest pod profesjonalną opieką i nie ma powodu, aby proponował pomoc w reanimacji. Duże zdziwienie jednak budzi kolejne odkrycie dziennikarzy – otóż w raporcie z sekcji zwłok znajduje się następujący wniosek eksperta: „wyniki sekcji zwłok i badań laboratoryjnych świadczą o tym, że przyczyną nagłej i gwałtownej śmierci denata były obrażenia głowy z następowym masywnym obrzękiem mózdzku i pnia mózgu. (...) Zmiany

urazowe powstały od działania z dużą siłą narzędzi tępych względnie tępokrawędzistych, najpewniej w mechanizmie czynnym”.

Mówiąc krótko, ktoś zadał Rafałowi M. silny cios – cios śmiertelny. Ktoś, kto znał się na zabijaniu. Jak do tego mogło dojść, skoro w celi było jeszcze pięć innych osób? I dlaczego prokuratura, znając wyniki sekcji zwłok, postanowiła umorzyć śledztwo?

I czy tak właśnie działa „seryjny samobójca”?

Bo samobójstwo to nie było z całą pewnością – Gołota miał dla kogo żyć. Starał się o warunkowe, przedterminowe zwolnienie, aby móc opiekować się sparaliżowanym bratem.

Czy jest możliwe – co zasugerował *Superwizjer* – że Rafał M., który dorobił się na handlu narkotykami sprowadzanymi z Holandii, pożyczał funkcjonariuszom więziennym pieniądze na wysoki procent? Zdaniem policjanta rozpracowującego sprawę niczego nie można wykluczyć.

Niedługo później rozpoczęły się wspomniane procesy strażników, ale oczywiście nikt nie odpowiedział za śmierć Gołoty.

## Cwel, rajer i cwaniaki

Jak to mówią, w więzieniu da się żyć, a nawet przeżyć, na całkiem przyzwoitym poziomie. Jeśli masz pieniądze, układy, dostęp do jakichś chodliwych towarów (na przykład do środków uspokajających, które schodzą lepiej niż narkotyki) – jesteś w stanie zapewnić sobie znośne życie. Ale są grupy, które o więziennych luksusach mogą jedynie pomarzyć – ich czas za kratami to niekończący się stan wojenny, to spacer po polu minowym, który może się skończyć bardzo różnie. Witajcie w świecie cweli i innych napiętnowanych.

O tym, kto jest najniżej w nieformalnej hierarchii zakładu karnego i jak wygląda rzeczywistość takich osadzonych, opowiada Grzegorz – nauczyciel akademicki oraz były funkcjonariusz SW.

**Artur Górski:** Którzy osadzeni należą do grupy największego ryzyka? Którzy narażeni są na największe szykany ze strony innych osadzonych?

**Grzegorz:** Przede wszystkim są to skazani za przestępstwa seksualne, zwłaszcza pedofilię. Oni od zawsze stali najniżej w nieformalnej stratyfikacji, czyli w hierarchii więziennej społeczności. Gwałciciele również nie zyskują aprobaty. Oczywiście antypatia jest mniejsza niż względem pedofilów, jednak także i oni muszą uważać na swoje poczynania. Inną kategorią skazanych narażonych na wykluczenie są osoby konfliktowe, ze skłonnością do postaw wrogich, agresywnych. Takie osoby są także narażone na wykluczenie. Dlaczego? Otóż lepiej jest skazanego wykluczyć ze społeczności, niż użerać się w celi z agresorem.

Oczywiście zeznawanie na niekorzyść innych osadzonych, zaciągnięte i niespłacone długi czy powiązania z organami ścigania również stanowią czynnik ryzyka. Osoby te z założenia wzbudzają antypatię, jednak w dużej mierze to od ich cech osobowych zależy, jak ułożą sobie życie w więzieniu.

**AG:** Czy rzeczywiście takie osoby są odizolowane od najbardziej agresywnych więźniów, w tym także od tak zwanych subkultur?

**Grzegorz:** Oczywiście. Jednak nie powinno to dziwić. Przecież osoby narażone na szykany muszą mieć zapewnione bezpieczeństwo. Wynika to z ustawy i nie

może być inaczej. Jeżeli osoba wykazuje cechy wskazujące na możliwość wykluczenia lub też odbywa już karę pozbawienia wolności i zdarzyło się coś, co może doprowadzić do degradacji, należy niezwłocznie zapewnić jej bezpieczeństwo. Zazwyczaj polega to na przemieszczeniu do innej, bezpieczniejszej celi.

**AG:** Czy osadzeni nienależący do subkultur, czyli niegrypsujący, też wykazują agresję wobec innych, słabszych, napiętnowanych?

**Grzegorz:** Tak, najprościej można ująć to w następujący sposób: wszystko jest kwestią indywidualną, jednak nieformalne zasady zabraniają kontaktu z takimi osobami. Uczestnicy podkultury z założenia więc nie będą z nimi mieć zażyłych relacji. Zdarzają się zachowania bardzo agresywne, ale są też i tacy, którzy zachowują jedynie dystans – ewentualnie przed grupą, aby pokazać wierność zasadom, obrażają zdegradowanych. Z kolei wśród osób, które nie deklarują udziału w nieformalnych subkulturach, także są agresorzy. To, że ktoś nie uczestniczy w drugim życiu więzienia, nie znaczy, że jest spokojny. Najwięcej jednak jest tych, którzy nie są ani agresywni, ani też nie spoufalają się z napiętnowanymi. Wynika to z prostej kalkulacji. Chcą w spokoju odbyć karę i wyjść na wolność. Agresja może skutkować wnioskami o ukaranie, a obcowanie z wykluczonymi – narazić na degradację.

**AG:** Jeśli dochodzi do agresji, to czym się ona głównie przejawia? Proszę o przykłady.

**Grzegorz:** Obecnie osadzeni wykluczeni są tak rozmieszczani w celach (tak zwanych ochronkach), że bardzo rzadko dochodzi do aktów przemocy. Zdarzają się takie incydenty, gdy osoba taka przebywa w celi na przykład z grypsującymi i w trakcie odbywania kary zostanie wykluczona. Zanim ktoś się zorientuje, może dojść do różnych czynów przemocowych. Może być to przemoc psychiczna, może być fizyczna, ekonomiczna czy też seksualna. Wówczas człowiek taki bywa bity, zmuszany do prania czyjejs bielizny, ubrań, jedzenia osobno (w kącie sanitarnym), bycia cicho, tatuowania czy przypalania jego ciała itp. Jednak, jak już wspomniałem, zazwyczaj kadra dobrze rozmieszcza takich skazanych i w „bezpiecznej” celi nic im nie grozi, poza wyzwiskami z innych cel, podczas spaceru itp.

**AG:** Co mogą, a czego nie mogą osoby o podwyższonym ryzyku (jedzenie przy wspólnym stole, korzystanie z ubikacji itp.)?



**Grzegorz:** Osoba taka musi być po prostu niewidoczna. Nie rozmawia się z nią, a wysługuje się nią. Jest cieniem lub czasem przedmiotem do znęcania się i upokarzania.

**AG:** Czy wśród grypsujących istnieje jeszcze praktyka „wkładania do wora” i „wyjmowania z niego”? Czy można stracić status grypsującego, za co i jak wygląda życie takiego osadzonego? Czy może on wrócić do subkultury?

**Grzegorz:** Podkultura więzienna to nie tylko osoby grypsujące. Są jeszcze cwaniaki, czyli grupa, która działa od około dwóch dekad. Warto zaznaczyć, że podkultura więzienna ulega modyfikacjom na wzór zmieniających się czasów. Zmieniają się zasady i normy. Nieformalna stratyfikacja istniała i istnieć będzie – jedynie jej forma ewoluuje. Nie jest to nowość, mówiło się o tym już w latach siedemdziesiątych.



Jednak udzielając odpowiedzi na pytanie – tak, nadal występuje zjawisko wykluczenia, wrzucania do wora, na dno hierarchii. Pedofile są w niej najniżej. Nawet w celi czy oddziale dla zdegradowanych są usytuowani na samym dnie.

Samo wykluczenie może mieć dwa oblicza. Degradacja z grypsującego do niegrypsującego (tak zwanego rajera; z oczywistych względów zjawisko to dotyczy jedynie członków podkultury) lub też do poszkodowanego, czyli cwela. Z tego ostatniego nie ma drogi na górę. Raz nabytego piętna nie da się wyzbyć. Inaczej może być w przypadku degradacji do niegrypsującego. Ponowny awans jest trudny, jednak możliwy.

**AG:** Czy traktowanie pedofilów czy majciarzy jakoś się zmieniło w ciągu ostatnich dziesięcioleci? Może są po prostu lepiej chronieni?

**Grzegorz:** Proszę się zastanowić, jakie cechy są pożądane, a jakie dyskryminowane w warunkach wolnościowych. W więzieniu jest identycznie, jednak bardziej kategorycznie. Nie toleruje się pedofila, gwałciciela, konfidenta, osoby zniewieściałej. Męskie środowisko jest tak jaskrawe, że wręcz karykaturalne.

Oczywiście mowa o postrzeganiu tych osób, nie zaś ich traktowaniu. Faktem jest, że osoby te są zdecydowanie lepiej chronione niż dawniej i dlatego rzadziej dochodzi do przemocy fizycznej czy psychicznego znęcania się. Częściej są to głośne obelgi z innych cel, kondygnacji czy pawilonów.

**AG:** Czy tacy osadzeni potrafią się bronić przed agresją?

**Grzegorz:** Niektórzy na obelgi odpowiadają obelgami. Wiedzą, że są chronieni i nie będą mieć bezpośredniej styczności z oprawcami. Ich sytuacja na oddziale czy w celi jest specyficzna. Są roszczeniowi, znają swoje miejsce i starają się to wykorzystać wobec kadry. Ale temat ten to odrębne, bardzo zresztą ciekawe zagadnienie.

Uważam, że swoje frustracje odreagowują względem kadry, chcą nią manipulować, stawiając się w roli ofiary.

**AG:** Cwel – jak się nim zostaje, czy jest partnerem jednej osoby, czy też jest wykorzystywany przez więcej osadzonych? Cwel to przecież nie tylko czynności seksualne – przecwelenie może nastąpić w wyniku innego rytuału. Czy cwele to głównie osoby homoseksualne czy heteroseksualne, zmuszane do określonych czynności?

**Grzegorz:** Nie, nie. To dawna nomenklatura. Podkultura więzienna dzieli skazanych na trzy grupy. Grypsujących, niegrypsujących i poszkodowanych.

Członkowie subkultury nazywają siebie ludźmi (pierwsza grupa), frajerami – druga, oraz cwelami – trzecia grupa. Nie dokonuje się już klasyfikacji jak dawniej, właśnie na cweli, parówy czy kurwy.

Jeżeli ktokolwiek świadczy usługi seksualne, to jest po prostu cwelem. Czasem jest zmuszany, czasem urobiony i „dobrowolnie” poddaje się takim czynnościom, sądząc, że nie ma wyjścia. Owszem, są też homoseksualiści. Czasem skazani nie stosują względem nich żadnej przemocy, a nawet zapewniają ochronę. Za co? To chyba oczywiste.

**AG:** Jak często zdarzają się samobójstwa wśród osób piętnowanych przez innych osadzonych? I z jakich grup są to osadzeni – mundurowi, pedofile, gwałciciele?

**Grzegorz:** To może być zaskoczeniem, ale napiętnowani najczęściej nie są depresyjni, ale roszczeniowi. Jak wcześniej wspomniałem, wykorzystują swoją sytuację. W obrębie sobie podobnych tworzą inną hierarchię, rządzą tam inne prawa. Zagadnienie to jest nawet bardziej skomplikowane niż sama stratyfikacja grypsujących. Wynika to głównie ze specyfiki tychże osób.

**AG:** Czy w ogóle jeszcze istnieje dawna „charakterność” osadzonych? Mam na myśli trzymanie się pewnych zasad honorowych, które wykluczają takie czy inne zachowania; unikanie kontaktu z ludźmi nienależącymi do więziennej subkultury. Wielokrotnie słyszałem, że osadzony, który ma pieniądze, a został skazany na przykład za gwałt, nie musi się obawiać żadnych szykan.

**Grzegorz:** Często błędnie utożsamiane są ze sobą dwa pojęcia, a mianowicie „podkultura więzienna nie istnieje” z „podkultura więzienna ulega modyfikacjom”. Wszelkie mody i trendy z wolności przenikają także do świata więziennego. Dawniej ważna była siła fizyczna, następnie intelekt, teraz rządzi pieniądz i koneksje. Analogicznie do świata wolnościowego. Skazani często są sprytni, wiedzą, jak obejść przepisy, aby osiągnąć swój cel. Jednak faktem jest, że zasobność finansowa może ułatwić życie w więzieniu. Niemniej, nie spotkałem się z tym, żeby pedofil takie bezpieczeństwo sobie wykupił.

## Porucznikom nie dała, a złodziejowi dała

**Artur Górski:** Gdzie poznałaś swojego partnera? W więzieniu?

**Marta:** Tak, ale żeby było jasne – z Jackiem związałam się dopiero wtedy, kiedy już nie pracowałam w Służbie Więziennej. Gdyby to się stało wcześniej, byłoby to wbrew zasadom.

**AG:** Jakim zasadom? Gdzie jest napisane, że funkcjonariusz SW nie może nawiązać kontaktów intymnych, uczuciowych z osobą osadzoną?

**Marta:** To nie musi być napisane, to jest oczywiste, przynajmniej dla mnie.

**AG:** Rozumiem, że kiedy zobaczyłaś go po raz pierwszy, nawet ci nie przemknęło przez myśl, że to może być „ten jedyne”?

**Marta:** W żadnym wypadku. Powiedziałabym, że wtedy wydawał mi się wręcz odpychający. Przez krótki czas byłam jego wychowawcą, ale on często zmieniał oddziały, wyjeżdżał z transportem, więc w więzieniu raczej mignął mi przed oczami, niż dał się dobrze poznać. Tak naprawdę, poznałam go wtedy od gorszej strony.

**AG:** Co to znaczy?

**Marta:** Mówiąc krótko, to był naprawdę trudny osadzony. Taki typowy młody, zbuntowany, nikogo nie szanujący, nikogo się nie bojący – przynajmniej pozornie. Tak jak ja był wówczas przed trzydziestką. Wielu facetów w tym wieku to jeszcze dzieci.

**AG:** Zanim wyjaśnisz mi, co znaczy „trudny osadzony”, powiedz, za co „wjechał”. Bo podejrzewam, że buntownik, który nikogo się nie boi, nie dostaje wyroku za przekręty na podatku VAT.

**Marta:** Oczywiście, że nie – posadzili go za pobicie. Natomiast po jakimś czasie doszedł jeszcze wyrok za rozbój. W czasie odsiadki wróciła do niego stara sprawa, sprzed dwunastu lat, i w efekcie dostał wyrok łączny – pięć lat,

uwzględniający już to, co odsiedział. Kiedy go poznałam – jako wychowawca – odbywał jedynie karę za pobicie: sześć lat.

**AG:** Sześć lat za pobicie? Surowy wyrok, bo chyba nie było ze skutkiem śmiertelnym?

**Marta:** Nie, zresztą poszkodowany nawet zeznał, że mój facet został w jakimś stopniu sprowokowany. Powiem tak: gdyby jego rodzinę stać było na lepszego prawnika, z pewnością wyrok byłby o wiele łagodniejszy. Zaufali obrońcy z urzędu i skończyło się tak, a nie inaczej.

**AG:** Sąd nie zawsze daje wiarę świadkom, czasami trudno się dziwić.

**Marta:** Tak samo sąd nie wziął pod uwagę zeznań świadków w tej drugiej sprawie, o rozbój, która toczyła się w sądzie w Otwocku. Na sali sądowej pojawiła się dziewczyna, która dwanaście lat wcześniej wskazała mojego faceta jako sprawcę rozboju – chodziło o kradzież radioodbiornika z samochodu. Tej kradzieży dokonał razem z trzema kolegami. Dziewczyna była w szoku – zupełnie nie pamiętała całej sprawy i nie wiedziała, po co ją wezwano. Miała wówczas mniej niż piętnaście lat i po tylu latach wszystko jej się zatarło w pamięci. Sędzia odszukał w aktach jej zeznania i wtedy dziewczyna przypomniała sobie sprawę – przyznała, że... to policja jej podpowiedziała, kogo ma obciążyć. Sędzia zapytał, czy widzi na sali sprawcę, a ona odparła: „Nie mam pojęcia, przecież nigdy go na oczy nie widziałam”. Potem było jeszcze ciekawiej – zeznania złożył sam pokrzywdzony. Również jemu sędzia musiał przypomnieć sprawę, bo twierdził, że od tamtego czasu zmienił już kilka samochodów i nie bardzo wie, o który z nich chodzi. Powiedział wprost, że nie widzi w tej rozprawie roli dla siebie, bo on nie czuje żadnego żalu do oskarżonego. Sąd nie miał innego wyjścia i wydał wyrok w zawieszeniu.

**AG:** No to skąd wyrok skazujący?

**Marta:** Bo prokuratorowi się to nie spodobało i złożył apelację. A w apelacji wyrok był już inny: rok bezwzględnego więzienia.

**AG:** A nie jest przypadkiem tak, że ty go trochę wybielasz i starasz się widzieć w nim kogoś, kto nie zasługuje na surową karę?

**Marta:** Nie, przecież nie zaprzeczam, że on faktycznie brał udział w tej kradzieży. Ja jedynie zrelacjonowałam to, co widziałam na procesie.

**AG:** Poczekaj! Co to znaczy „widziałam na procesie”?! Byłaś na sali sądowej?

**Marta:** Tak.

**AG:** Jako kto? Przecież chyba nie jako wychowawca? Wychowawcy nie jeżdżą na procesy swoich podopiecznych.

**Marta:** Już wtedy nie pracowałam w SW. Pojechałam na rozprawę jako, powiedzmy, osoba życzliwa.

**AG:** Dobrze, wrócimy jeszcze do tego. Powiedz teraz, na czym polegało to, że był „trudnym osadzonym”. Podejrzewam, że w zakładach karnych roi się od takich właśnie delikwentów.

**Marta:** Zawsze czuł się mocny: i psychicznie, i fizycznie. Zresztą jego postura kulturysty budziła respekt. Pamiętam, że kiedy oznajmiono mu, że zostaje przeniesiony do celi mieszanej (czyli takiej, w której siedzą grypsujący z ulungami), powiedział: „sami sobie, kurwa, idźcie do mieszanej celi”.

**AG:** I co on mógł na tym ugrać? Przecież chyba władze więzienia nie uginają się pod argumentami i groźbami osadzonych?

**Marta:** Oczywiście, że nie. Tyle że jeden osadzony akceptuje reguły gry i nie robi cyrków, a inny chce pokazać, jaki jest charakterny i bezkompromisowy. Ten mój był skrajną wersją tego drugiego rodzaju.

**AG:** Rozumiem, że jest grypsujący?

**Marta:** Wręcz przeciwnie, choć gdybyś go zobaczył i z nim porozmawiał, uznałbyś go za wzorzec z Sèvres grypsowania. Kiedy trafiał do celi mieszanej, nikt nie mógł uwierzyć, że nie jest częścią subkultury. Byłam w szoku, jak się dowiedziałam, że nie jest grypsujący – nawet dwa razy to sprawdzałam w jego dokumentach.

**AG:** Skoro tak dobrze pasował do tej grupy, czemu jej nie zasilił?

**Marta:** Myślę, że to też wynika z jego przekornej natury. Powiedział mi, że to nie sztuka zyskać szacunek grypsujących, będąc jednym z nich. Sztuka to zdobyć ich szacunek, nie należąc do nich.

**AG:** Na razie prawie same pozytywy. Powiedz mi o nim coś, co go trochę urealni.

**Marta:** Myślę, że facet, który ciągle się stawia gadom i tym samym naraża się na kary, a już na pewno – na brak nagród, należy do kategorii trudnych. Zresztą on jest taki sam wobec współwięźniów. Ma fioła na punkcie czystości – jeśli pod

celą coś nie jest złożone w kostkę, coś jest rozwleczone po podłodze, powieszono nie tam, gdzie trzeba – zaczyna się awantura, bywa, że bardzo gwałtowna. Czasami rozmowa o czystości kończyła się krwią i siniakami.

**AG:** No, ale pobicie pod celą nie jest przecież bezkarne – za to można dostać dodatkowy wyrok, i to liczony w latach.

**Marta:** To prawda, ale jakoś tak się składało, że wszyscy poszkodowani zapewniali, że poślizgnęli się na skórcie od banana. Bądźmy szczerzy – ten, który by zeznał na współosadzonego, nie miałby lekkiego życia w więzieniu. W tym czy innym – wszystko jedno.

**AG:** Rozumiem, że do funkcjonariuszy nie wyskakuje z rękami?

**Marta:** Nie – do nich wyskakuje ze słowami. Kiedy jest proszony o to, żeby skończyć już rozmowę telefoniczną, potrafi odpowiedzieć: „Sam sobie, kurwa, kończ, ja jeszcze rozmawiam i co mi zrobisz? Za twoje dzwonię?”. Mój pierwszy kontakt był z tej samej kategorii – awanturował się na korytarzu w kwestii kolejnych przenosin do innej celi. Kiedy próbowałam mu wytłumaczyć, że opór jest bezsensowny, spojrział na mnie z pogardą i rzucił: „A ty, kolorowa lalo, nie będziesz mi dyktować, do jakiej celi mam pójść”. Przykłady można mnożyć: gady były złe, żarcie złe, cela była zła, a jeśli cela była w porządku, to była nie po tej stronie burty, co potrzeba. Wszystko na nie.

**AG:** Niektórym dziewczynom podobają się zadziorne chłopaki – takie, które mają własne zdanie i których wszyscy wokół się boją.

**Marta:** Ale ja nie należę do tych dziewczyn. Wolę spokojnych, odpowiedzialnych i racjonalnych facetów. I jeśli spojrzalam na niego łaskawszym wzrokiem, to tylko dlatego, że zaczął się stopniowo zmieniać. Pamiętam, że jak przygotowaliśmy święta Bożego Narodzenia, to on, po raz pierwszy, włączył się do wspólnych działań – dekorował choinkę, pomagał przy robieniu ozdób świątecznych dla jakiejś fundacji czy przy sprzątaniu. Pokazał się z innej strony, co mu się zresztą opłaciło w postaci wniosków nagrodowych. A jak już się zaczął „cywilizować”, straciłam go z oczu – pojechał w transport. Bo osadzeni z dłuższymi wyrokami ciągle krążą po kraju, są przerzucani z miejsca na miejsce.

**AG:** Skoro straciłaś go z oczu, to jak zostaliście parą? Przecież wychowka nie przenosi się za osadzonym?

**Marta:** To była bardzo dziwna sytuacja. Akurat kończyłam wtedy studium w zakresie terapii uzależnień, byłam na zajęciach i zadzwoniła moja komórka.



Nie wiedziałam, kto dzwoni, ale odebrałam połączenie. „Dzień dobry, pani magister” – usłyszałam. Od razu poznałam jego głos. „Człowieku, czy ty jesteś normalny? Dzwonisz z więzienia do byłego wychowawcy z telefonu komórkowego? Od kiedy to wolno ci mieć pod całą telefon?” – spytałam. Ale on się tylko zaczął śmiać i powiedział, że bym nie udawała naiwnej. Fakt, dobrze wiedziałam, że osadzeni dysponują wieloma rzeczami, których teoretycznie nie mają prawa mieć. Poprosiłam, żeby więcej do mnie nie dzwonił, choć wiedziałam, że i tak zrobi, co będzie chciał.

**AG:** To, że miał telefon, to jedno, ale skąd miał twój prywatny numer? Przecież chyba mu nie podawałaś.

**Marta:** Dobre pytanie, takie dla domyślnych. Bądźmy szczerzy, bez pomocy ze strony więziennej administracji nie zdobyłby tego numeru. Telefonu komórkowego też. Zresztą on mi wyjaśnił: „Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz”.

**AG:** Po co zadzwonił?

**Marta:** Żeby zapytać, co słycać.

**AG:** E tam, myślę, że wpadłaś mu w oko. Zaczął podchody. Przyznaję, w bardzo niełatwych warunkach.

**Marta:** O to trzeba by jego zapytać, ale rzeczywiście, od tego telefonu wszystko się zaczęło. Bo potem był drugi, trzeci... Rozmowy coraz dłuższe, coraz bardziej emocjonalne.

**AG:** Przez telefon można zacząć, ale wiadomo, że obu stronom chodzi o coś więcej. A spotkać się niełatwo, szczególnie że już był w zakładzie karnym daleko od ciebie. W końcu jednak się spotkaliście?

**Marta:** Jakiś czas później, gdy już nie byłam pracownikiem SW. Wiem, że wśród funkcjonariuszy mojego więzienia poszła plotka, że romansowałam z nim już wtedy, gdy byłam jego wychowawcą. A to jest totalna nieprawda. Zaczęto mnie przedstawiać jako osobę, która nie ma żadnych zasad, a ja – może wbrew pozorom – pewnych zasad trzymam się sztywno. Tym bardziej że w środowisku zakładu karnego trudno cokolwiek ukryć. Kiedy do mnie wydzwaniał i mówił rzeczy, których przez telefon mówić nie powinien, przypominałam mu, że przecież jest nasłuch, a nasze rozmowy z pewnością są kontrolowane ze szczególną uwagą. Wracam do twojego pytania o nasze pierwsze spotkanie już po moim odejściu ze służby. Zaproponował mi, abym pojechała na jego proces do Otwocka – ten, o którym wcześniej wspominałam.

**AG:** Proces to kiepskie miejsce na randkę. Z oskarżonym nawet trudno zamienić dwa słowa.

**Marta:** To prawda, ale mnie zależało na tym, aby tam być. Zresztą jego eskorta pozwoliła mi zamienić z nim dwa, trzy słowa.

Ten proces traktowałam jako „być albo nie być” naszej dalszej znajomości, a może i związku. Uznałam, że jeśli dostanie kilkuletni wyrok, to inwestowanie w tę znajomość będzie kiepskim interesem. Dobiałam trzydziestki i byłam w najlepszym wieku – czekanie na kogoś przez lata, i to na kogoś, o kim naprawdę nic nie wiem, a jeśli już, to raczej złe rzeczy, wydawało mi się czymś absurdalnym.

**AG:** A jednak dostał pięć lat – dużo! To czym cię przekonał, że warto na niego poczekać?

**Marta:** Nie mam dobrej odpowiedzi na to pytanie, to po prostu jakoś samo popłynęło. Nie umiem powiedzieć, gdzie była ta granica, za którą już stałam się jego partnerką.



**AG:** Na jego rozprawę do Otwocka pojechałaś sama?

**Marta:** Nie, razem z jego matką, jednym samochodem.

**AG:** Myślisz, że patrzyła na ciebie jak na potencjalną synową?

**Marta:** Chyba czuła, co się kroi, a przynajmniej, co się może kroić, jeśli to jeszcze przez jakiś czas potrwa. To nie była szczególnie przyjemna podróż – miałam wrażenie, że chciała, żebym dała spokój jej synowi i zniknęła z jego życia. Zresztą, widziałyśmy się nie po raz pierwszy – znałam ją z wizyt u syna, gdy siedział jeszcze w Warszawie. Przeczuwała, że przeze mnie może mieć kłopoty. Jeszcze większe niż te, które miał.

**AG:** A miał kłopoty przez ciebie?!

**Marta:** Tak, i to dość szybko. Jeszcze zanim pojechał na rozprawę do Otwocka, został ciężko pobity na spacerunku w Siedlcach. Okazało się, że jedna kobieta, która pracowała w magazynie w Warszawie, została przeniesiona do Siedlec. Jak tylko wjechał, spojrzała na niego i powiedziała: „Masz przejebane, chłopie. Wszyscy będą wiedzieć, że się z nią puściłeś”.

**AG:** Przecież przed rozprawą w Otwocku nie mogło być nawet mowy o zbliżeniu intymnym! Skąd plotka, że już się z tobą puścił?

**Marta:** A kogo to obchodzi, jaka była prawda? Skoro pojawiła się plotka, że ze sobą rozmawiamy przez telefon, to znaczy, że jesteśmy parą, a skoro jesteśmy parą, to się puszczamy. Proste, prawda?

**AG:** A skąd ta plotka? Na jakiej podstawie powstała?

**Marta:** Myślę, że za sprawą nasłuchu telefonicznego. Ten, kto słuchał, interpretował, jak chciał, a potem rozpowiadał, co mu ślina przyniosła na język. Przecież to jest prawdziwy hit: złodziej się bzyka z gadem! Jak tu nie rozpowszechnić takiej wiadomości?

**AG:** Wróćmy do tego pobicia...

**Marta:** Prosta sprawa, został ukarany za „sprzeniewierzenie się wartościom”. Kiedy wyszedł na spacerunek, tam już czekało na niego sześciu grypsujących. No i potraktowali go bardzo ostro za „skurwienie się z gadem”. Osobiście sądzę, że zostali napuszczeni przez administrację więzienną. Obie strony uważały nasz romans, czy raczej pewną zażyłość, i to telefoniczną (bo jak to inaczej nazwać na tamtym etapie?), za coś karygodnego. Jakiś czas po tym pobiciu pojechałam na

rozmowę z panią dyrektor siedleckiego więzienia. Oczywiście, nie mogła przyznać, że pobicie było efektem jakiegoś spisku osadzonych i strażników, ale miałam wrażenie, że rozumie złożoność sytuacji, w jakiej znalazł się Jacek. A tak naprawdę – i on, i ja. Dlatego sama zaproponowała, żeby nasze spotkania odbywały się w czasie widzeń dla osób osadzonych tymczasowo, czyli w ramach aresztu śledczego. To było o wiele bezpieczniejsze. W praktyce wyglądało to tak, że dopóki Jacek był w Siedlcach, byliśmy na sali widzeń sami. Myślę, że pani dyrektor zdawała sobie sprawę, że taka decyzja uchroni ją przed dużo większymi problemami. Wcześniej czy później jakiś osadzony rozpoznałby mnie i zrobiłaby się awantura.

**AG:** Czyli decyzja pani dyrektor była prawidłowa?

**Marta:** Rozumiem, że nie muszę tego komentować. Z tą samą dyrektor odbyłam – już na początku – dziwną rozmowę, która miała mnie przekonać, że popełniam błąd, zadając się z niebezpiecznym recydywistą. Z kolei ja jej uświadomiłam, że Jacek siedzi po raz pierwszy i wystarczy pobieżna lektura akt, żeby się o tym przekonać. Wystarczy spojrzeć na pierwszą stronę dokumentacji. To, że widniała tam „erka”, czyli recydywa, wynikało z faktu, że został zakwalifikowany jako... recydywista sądowy. To znaczy – odsiadujący karę za dwie niezależne sprawy – za pobicie i rozbój. W zakładzie karnym nigdy wcześniej nie był. Słabe, ale tak się zdarza.

**AG:** Może pani dyrektor naprawdę chciała twojego dobra? Może chciała cię uchronić przed czymś, co w jej mniemaniu stanowiło dla ciebie zagrożenie?

**Marta:** Być może. Nie mogła zrozumieć, dlaczego zadaję się z kimś takim.

**AG:** A sama nie zadawałaś sobie takiego pytania?

**Marta:** Oczywiście, że zadawałam i, prawdę mówiąc, zadaję je sobie do dzisiaj. Zaryzykowałam, zobaczymy, co z tego wyniknie.

**AG:** Czy były jakieś reperkusje pobicia na spacerniaku?

**Marta:** Sytuacja wokół niego trochę się uspokoiła, bo władze więzienia zobaczyły, że mają klienta, który nie pozwoli tego zamieść pod dywan. W Otwocku na sali sądowej zeznał, że został skatowany i że ma problemy ze słuchem. Zresztą, na rozprawę pojechał z zabandażowaną głową. I potem już nie było podobnych akcji, ale nie oszukujmy się – Jacek wciąż ponosi konsekwencje związku ze mną. W Siedlcach było jeszcze jako tako, ale w Łowiczu, do którego został przetransportowany, demony wróciły, choć w innej,

nieoczekiwanej formie. Pewnego pięknego dnia na wizytację do Łowicza przyjechał mój były kolega z więzienia na Grochowie. Kiedyś był takim samym wychowkiem jak ja, a teraz objawił się jako wszechmocny funkcjonariusz Okręgowego Inspektoratu. Przyjechał, zorientował się, z kim ma do czynienia, i niemal następnego dnia Jacek stracił prawo do podejmowania pracy. Oczywiście sprawa była bardziej złożona – cofnięto prawo kilku osadzonym, argumentując to tym, że pracują w miejscu, w którym nie powinni pracować, ale potem przywrócono im prawo do pracy, z jednym wyjątkiem. Domyślasz się, kto był tym wyjątkiem. Zresztą, przeprowadzili to dość nieporadnie, bo najpierw zabrali prawo do pracy innemu osadzonemu – skazanemu na dwadzieścia pięć lat za głowę – bo jego nazwisko było bardzo podobne do nazwiska Jacka. No, ale naprawili swój błąd, kiedy ten pierwszy zaczął się domagać wyjaśnienia sytuacji.

**AG:** Odebranie prawa do pracy to chyba dotkliwa kara.

**Marta:** Oczywiście, i w tym wypadku wyjątkowo niesprawiedliwa. Zresztą, niedługo później dowiedziałam się, że już są wpisy, czyli że informacja o relacjach ze mną pojawiła się w jego aktach. Niby nic wielkiego, ale takie wpisy zawsze będą rzutowały na sytuację Jacka w kolejnych zakładach karnych.

**AG:** Opowiedz, jak wyglądały wasze spotkania na wolności, podczas przepustek.

**Marta:** Chyba żartujesz. Jacek nigdy nie dostał przepustki i nie mam wątpliwości, że to jest pokłosie „afery” ze mną.

**AG:** Przez tyle lat odsiadki żadnej przepustki? Przecież nawet zabójcy mają – po jakimś czasie – do nich prawo.

**Marta:** On ma „blachę” na wszystko – na każdą możliwą formę nagrody.

**AG:** Wobec tego inne pytanie: kiedy dotarło do ciebie, że jesteś jego dziewczyną? Że – jak w starej piosence – to się właśnie tak zaczyna?

**Marta:** Trudne pytanie, nie jestem w stanie określić momentu, w którym przestałam być jego byłym wychowkiem, jego dobrą znajomą czy wręcz – przyjaciółką, a stałam się tym, kim się stałam. Na pewno to nie było jakieś nagłe olśnienie – raczej powolne wsiąkanie w ten związek. Może to dziwnie zabrzmie, ale dotarło do mnie, że jestem w jakimś sensie za niego odpowiedzialna. Czyli – narobiliśmy ambarasu i teraz on nie może z tym zostać sam. Musimy przez to przejść razem, choć znajdujemy się w zupełnie odmiennych okolicznościach. Z pewnością jest mu łatwiej, wiedząc, że ma wsparcie z mojej strony.

Zapewniam, że facet bardzo się zmienił – już tylko w niewielkim stopniu przypomina tamtego „trudnego osadzonego”, wiecznie awanturującego się, butnego, nieustannie zbuntowanego. Poszedł do szkoły, postanowił zmierzyć się z prawdziwym życiem. I powiem ci – kiedy trafił do zakładu karnego w Płocku, jego przemiana została doceniona. Szef tamtejszego więzienia powiedział mi, że kibicuje nam, i wierzy, że wszystko skończy się dobrze. Powiedział, że Jacek jest w dobrych rękach, bo ja będę wiedziała, jak nim pokierować i jak przekonywać, żeby chciał wrócić do normalnego społeczeństwa. I tam nie było żadnych problemów, nigdy nie odmawiano mi widzeń.

**AG:** A gdzie indziej zdarzały się problemy z widzeniami?

**Marta:** Oczywiście! Nawet jeśli nie było odmowy, to fundowano mi takie atrakcje jak kontrole osobiste. Zupełnie jakbym przemycała mu coś niedozwolonego. To było upokarzające, bo takie przeszukania nie są na porządku dziennym. Szczególnie wnikliwie badano mnie w Łowiczu – tam, gdzie pojawił się wspomniany wcześniej mój dawny kolega z pracy. W efekcie zdarzało się, że na widzenie musiałam poczekać nawet do sześciu godzin. Odbierałam to nie tyle jako szykanowanie Jacka, ile jako prowokację wobec mnie. Administracja doskonale wiedziała, że będę zdenerwowana i roztrzęsiona i jak opowiem o tym Jackowi, on też wpadnie w szal. No i nasze widzenie nie będzie miało idyllicznego przebiegu. Cóż, musiałam ponieść karę. Za co? Najlepiej to podsumował kolega – inspektor z Łowicza, który ogłosił wszem wobec: „Porucznikom nie dała, choć bardzo się starali, a złodziejowi dała”. Oczywiście nikt z tych, którzy przy tym byli, nie odezwał się w mojej obronie. Wszyscy pewnie uznali, że taka suka jak ja musi dostać za swoje.

**AG:** A jak reagowali na twoje problemy dawni koledzy ze służby? No, bo rozumiem, że utrzymałaś z nimi kontakt.

**Marta:** Kiedy na jaw wyszła sprawa mojej relacji z Jackiem, odsunęli się ode mnie wszyscy. Dosłownie wszyscy – nawet ci, których uważałam za swoich prawdziwych przyjaciół.

Zrozumiałam, że z ich strony nie mogę liczyć na zrozumienie i mogę się zwierzać jedynie sama sobie. To odsuwanie się ode mnie zaczęło się wtedy, kiedy pani dyrektor w Siedlcach wpisała mnie na listę widzeń Jacka.

**AG:** A nie miała takiego obowiązku, żeby cię na niej umieścić?

**Marta:** Nie, nie musiała tego robić. Ale zrobiła, i to pozostało w kwitach. Pamiętam, że jak kiedyś przyjechałam na widzenie, dowódca zmiany spojrzął na

mnie i skomentował przy innych: „o, ten wychówek przyjechał”. Wracając do moich „przyjaciół” – kiedy zaczęli się ode mnie odsuwać, uznałam, że nie byli warci mojej uwagi. Dobrze, że zniknęli z mojego życia. Spośród całej rzeszy znajomych z pracy do dziś utrzymuję kontakt tylko z jedną osobą – ona nie widzi problemu w moim związku z osadzonym.

**AG:** Często jeździsz do Jacka?

**Marta:** Byłam u niego niedawno, ale po bardzo długiej przerwie. Ponadrocznej. To była słaba wizyta.

**AG:** Po ponadrocznej przerwie?!

**Marta:** Była pandemia, wszystkie odwiedziny zostały wtedy zawieszane. A kiedy je przywrócono, odbywały się na dość rygorystycznych zasadach sanitarnych. Bez zbliżeń, rzecz jasna. Przez ten czas nazbierało się sporo niewygodnych tematów, trochę się od siebie oddaliliśmy. Zaczęły się żale, że tyle czasu się nie widzieliśmy, że czas mija, a nic się nie dzieje, i wszystko zmierza w beznadziejnym kierunku. Tak naprawdę, było to widzenie, które nie powinno się było odbyć i nam obojgu wyszłoby to na zdrowie. Oczywiście, kontakt telefoniczny utrzymujemy cały czas, ale... dla mnie wyjazd do niego to ciężkie przeżycie. Ten, kto nie był nigdy na moim miejscu, nie zrozumie tego. Kiedy wychodzę z więzienia, czuję się potwornie, a łzy same cisną się do oczu. Jestem po prostu chora, rozbita, nie do życia.

**AG:** Co będzie dalej?

**Marta:** Nie wiem.

**AG:** Będzie dobrze...

**Marta:** Nie wiem. Może.



## Trzeciego dziecka już nie chciałam

- Trafiła tu pani za zabójstwo...
- Tak, wychowawco, zabiłam swoje dziecko.
- Jeśli nie chce pani o tym rozmawiać, nie musimy.
- A o czym tu gadać? Zabiłam, i już go nie ma. A ja jestem, chociaż tak jakby mnie nie było.
- Czy to było pani jedyne dziecko?
- Ależ skąd! Mam jeszcze dwójkę.
- Kocha je pani?
- Pewnie, że kocham – każda matka kocha swoje dzieci. I najbardziej wkurza mnie to, że one są tam, na wolności, a ja jestem tu. Nie wiem, jak sobie beze mnie poradzą.
- A czemu pani nie pokochała tego ostatniego?
- Bo chciałam mieć dwójkę, a nie trójkę. Zresztą, na wychowanie trójki mnie nie stać. Dlatego zabiłam.
- Pani mówi o tym bardzo chłodno. Nie żał pani tego dziecka?
- Powtarzam: żał mi tej dwójki, która została beze mnie. I żał mi siebie. A tego trzeciego to nie chciałam. To dlaczego miałoby mi być go żal? Zresztą, co ono pożyło? Kilka godzin? Śmiechu warte. Mogę już wracać do celi?

\* \* \* \* \*

Do końca PRL więzienie wydawało się miejscem wyłącznie dla facetów – i choć w zakładach karnych przebywało wiele kobiet, w świadomości społecznej był to jedynie margines penitencjarnej rzeczywistości. Ówczesne media nie pisały zresztą zbyt wiele o więzieniach, a jeśli już, to w kontekście najgłośniejszych spraw kryminalnych – seryjnych zabójców, szpiegów zachodnich wywiadów czy osadzonych z powodów politycznych. Tak się składało, że byli to niemal wyłącznie mężczyźni. W latach dziewięćdziesiątych to się zmieniło. Wtedy miało miejsce wiele drastycznych i szokujących zdarzeń kryminalnych, w których kobiety odgrywały główną rolę. Wystarczy wspomnieć choćby o Małgorzacie Rozumieckiej, Monice Osińskiej pseudonim Osa czy Monice Szymańskiej, które wciąż jeszcze odsiadują wieloletnie wyroki za udział w brutalnych zabójstwach.

Pierwsza, wraz z bratem, zamordowała dwóch pracowników sieci Era, druga, razem z kolegami, zabiła kobietę (Jolanę Brzeską), bo potrzebowała pieniędzy na studniówkę, a trzecia (wówczas matka trójki dzieci) – kierowała wyjątkowo sadystycznym zabójstwem maturzysty – Tomka Jaworskiego. Te trzy głośne sprawy rozegrały się na przestrzeni lat 1996–1997. Kilka lat później, w 2002 roku, doszła kolejna: zabójstwo matki prezesa PZPN Michała Listkiewicza Olgi Koszutkiej-Listkiewicz. Współsprawczynią brutalnej zbrodni okazała się młoda kobieta – Anita Barczuk, narkomanka, zresztą blisko związana z ofiarą. Podobne emocje opinii publicznej wywołała także sprawa Katarzyny Waśniewskiej z Sosnowca, która w 2012 roku zabiła własną sześciomiesięczną córeczkę Madzię i została skazana na dwadzieścia pięć lat za kratami. Nawiasem mówiąc, zainteresowanie Waśniewską ze strony mediów przybierało niekiedy kuriozalną postać – kiedy zapadł wyrok, w jednym z tabloidów ukazał się rysunek przedstawiający skazaną za dwadzieścia pięć lat; wizerunek kobiety zniszczonej, starej, pokrytej tatuażami. W artykule poniżej znalazły się takie oto złote myśli: „Brak słońca, stres i przygnębienie przez ćwierć wieku. Nie ma organizmu, który przetrwałby to bez uszczerbku na zdrowiu i wyglądzie. Do tego wszystkiego dojdzie brak szacunku wśród współwięźniarek, bo w więziennym rankingu morderczynie niemowląt są traktowane wyjątkowo źle. Do prawidłowego funkcjonowania organizm potrzebuje odpowiedniej ilości snu i promieni słonecznych. O ile z tym pierwszym problemem z pewnością nie będzie, to już o długich spacerach czy opalaniu nie ma mowy. To wszystko spowoduje, że morderczynie z czasem zaczną wyglądać niezdrowo i przez 25 lat postarzeje się o wiele bardziej niż jej rówieśniczki. Niemal pewne są też problemy z uzębieniem”.

Podobnie łakomy kąsek dla dziennikarzy brukowców stanowiła sprawa Katarzyny Plichty. Kobieta – tak jak jej mąż Marcin trafiła do aresztu śledczego w związku z zarzutami w tak zwanej aferze Amber Gold. Jednak to nie udział w finansowym przekręcie (przypominanie jego szczegółów nie ma w tym miejscu sensu – zainteresowanych odsyłam do internetu) stał się medialną pożywką: głośno wokół pani Katarzyny zrobiło się wówczas, gdy zaszła w ciążę z funkcjonariuszem Służby Więziennej. Początkowo pisano o romansie tej dość niezwykłej pary, a potem kobieta i jej obrońca zaczęli utrzymywać, że tak naprawdę chodziło o molestowanie, a w jakimś sensie „ubezwłasnowolnienie” przez funkcjonariusza. Popularny portal Pudelek grzmiał wówczas: „Wdała się w romans, bo liczy na zmniejszenie kary? Grozi jej do 15 lat więzienia... Oszukała z mężem ludzi na prawie 900 milionów złotych!”. Niezawodny „Super Express” opakował newsa w bardziej romantyczną formę: „Katarzyna P. jest w zaawansowanej ciąży. To jednak nie cud. Ale efekt intymnych schadzerek

z jednym ze strażników” (Katarzyna P. zaszła w ciążę z wychowawcą, a nie strażnikiem – przyp. AG). „Dziennik Łódzki” ustalił, że „spotykali się w pokoju wychowawcy. I tam dochodziło do seksualnych zbliżeń. (...) Być może jednak Katarzyna P. liczy na to, że weźmie sąd na litość i dzięki temu uzyska niższy wyrok lub wyjdzie z więzienia?”.

Sprawa przycichła, gdy sąd uznał, że nie ma podstaw, aby uważać osadzoną za ofiarę, tym bardziej że do prokuratury nie wpłynęło żadne oskarżenie, a wychowawca – za naruszenie regulaminu SW – został „przesunięty do innych obowiązków”.



Tak czy inaczej, nagle okazało się, że panie potrafią być nie mniej bezwzględne i brutalne niż mężczyźni, a więzienia dla kobiet stały się atrakcyjnym tematem dyskusji dla psychologów, socjologów, mediów, a także dla świata filmu.

Jakiś czas temu wydałem (wspólnie z Moniką Banasiak) książkę *Słowikowa o więzieniach dla kobiet* – ujawniliśmy tam sporo ponurej prawdy o realiach odbywania kary ograniczenia wolności przez kobiety. Dziś jednak mam świadomość, że temat nie został wyczerpany – wciąż odkrywam jego nowe i zaskakujące aspekty.

\* \* \* \* \*

**Artur Górski:** Jakie kobiety trafiają za kraty?

**Dorota:** Nie ma reguły – są i menelice, i intelektualistki z dyplomami najlepszych uczelni. Przekrój jest bardzo szeroki.

**AG:** To inaczej: za co najczęściej idą do więzienia?

**Dorota:** Są dwa główne powody, ale oczywiście niejedynie: kradzieże i narkotyki. Mam na myśli narkomanki, a nie handlujące substancjami odurzającymi. Poza tym wiele osadzonych ma wyroki za pobicia, za zabójstwa. Niestety, w tej ostatniej grupie jest sporo dzieciobójczyń.

**AG:** Kto częściej zabija swoje dzieci – mężczyźni czy kobiety?

**Dorota:** Zdecydowanie kobiety. Przyznam ci się, że dla mnie zetknięcie się z takimi osobami stanowiło prawdziwy szok. Jeszcze zanim trafiłam do Służby Więziennej, pracowałam w klinice leczenia niepłodności. I zderzenie tych dwóch doświadczeń było dla mnie traumatyczne: z jednej strony – kobiety, które pragną mieć dziecko za wszelką cenę, które modlą się o nie i o nim marzą, a z drugiej – te, które zabijają swoje dzieci. Te, które wzruszają ramionami, gdy je pytam, czemu zostawiły dziecko w reklamówce na torach. Te, które mówią z wielkim spokojem, że chciały mieć dwójkę, a nie trójkę. Ja sama nie chcę mieć dzieci, nigdy tego nie ukrywałam, a jednak zabójstwo dziecka jest czymś, czego po prostu nie jestem w stanie pojąć.

**AG:** Zawsze mówią o tym na chłodno? Może grają przed tobą rolę twardzielek, a tak naprawdę wewnątrz się rozsypują.

**Dorota:** Jeśli się rozsypują, to tylko dlatego, że uświadamiają sobie swój dramat – kolejne lata przyjdzie im spędzić w ciemnej, kilkuosobowej celi.

Zapewniam cię, że sam powód, dla którego usłyszały taki, a nie inny wyrok, nie stanowi dla nich problemu. Zabiły, bo chciały zabić; bo były przekonane, że to jest najlepsze wyjście. W ich relacjach nie ma żalu, nie ma poczucia winy. Ta, która zostawiła dziecko na torach, prawdopodobnie od samego początku ciąży miała jeden cel: pozbyć się tego niespodziewanego daru od losu. Ukrywała ciążę, nosiła bardzo luźne stroje i liczyła na to, że nikt nie zobaczy jej brzucha. Urodziła dziecko w domu i sądziła, że nikt się nie domyśli. No, ale sąsiedzi przeczuwali, że dzieje się coś dziwnego, i dali znać policji.

**AG:** Rozumiem, że była sądzona z paragrafu 149 Kodeksu karnego – „matka, która zabija dziecko w okresie porodu pod wpływem jego przebiegu”? Za to grozi do pięciu lat więzienia.

**Dorota:** Być może, już nie pamiętam dokładnie jej sprawy. Pamiętaj, że dzieciobójstwo bywa też karane z paragrafu 148, czyli za zabójstwo człowieka, a tam jest przewidziana znacznie wyższa kara. Nie mnie oceniać, czy kara jest adekwatna do czynu, często popełnionego w warunkach ograniczonej poczytalności, w szoku, w poczuciu bezradności. Odbyłam wiele rozmów z dzieciobójczyniami i zawsze to były dla mnie trudne spotkania. Jedna z nich przekonywała mnie, jaka to z niej cudowna matka, jak co noc rwie sobie włosy z głowy, myśląc o swoim pięcioletnim synku, którego pozostawiła na wolności. A zapytana o to, które zgładziła, zawsze odpowiadała: nie ma tematu, to nie moje dziecko. I wtedy zawsze przychodziło mi do głowy pytanie: czy ona naprawdę wierzy w to, co mówi? Ale chyba wierzyła.

**AG:** A jak dzieciobójczynie są traktowane przez inne osadzone? Czy da się to porównać do sytuacji, jaką mają – powiedzmy – pedofile czy zabójcy dzieci na oddziałach męskich?

**Dorota:** Są traktowane jak podludzie, jak najgorsza kategoria. Dzieciobójczyń raczej nie wrzuca się do cel z osadzonymi za inne czyny, ewentualnie do tych, które trafiły za „znęty”. Po prostu nie miałyby tam życia, miałyby „przewalone”.

**AG:** Co to znaczy?

**Dorota:** Nieustanne wyzwiska byłyby najmniejszym wymiarem kary. Byłyby ostatnie w kolejce do mycia się, do odebrania jedzenia, nie miałyby możliwości jedzenia przy wspólnym stole. Oczywiście, represje nie byłyby tak spektakularne jak u facetów, ale do pobić też mogłoby dojść. Zresztą bójki w damskich celach nie są rzadkością i często przybierają bardzo dramatyczny przebieg. Dlatego

dzieciobójczynie mają osobne grupy spacerowe, bo przecież podczas rekreacji też może coś się wydarzyć.

**AG:** Wiesz, zawsze mnie fascynowało to więzienne poczucie sprawiedliwości, to dzielenie na dobrych i złych czy raczej – mniej złych i bardziej złych. Tak jakby zabójca staruszki był w czymś lepszy od tego, kto skrzywdził dziecko. Oczywiście, ja sam mam poczucie, że są przestępstwa bardziej bądź mniej plugawe, ale mam wrażenie, że ten podział jest szczególnie wyraźny w warunkach więziennej izolacji. Gangster – elita, pedofil – ścierwo. Co ciekawe, całe społeczeństwo żyje w przekonaniu, że prawdziwą karę za przestępstwo dostaje się nie z rąk sądu, ale z rąk... więźniów.

**Dorota:** Mnie też to zawsze zastanawiało – jak to się dzieje, że groźni bandyci, mając przed sobą osadzonych za „majty”, nagle czują się tymi niepokalanymi, upoważnionymi do wymierzania sprawiedliwości. No, ale tak jest i nic tego raczej nie zmienia.

**AG:** Może to po prostu wynika z tego, że człowiek, który znalazł się w więzieniu, a więc w jakimś sensie na dnie, bardzo chce mieć poczucie, że pod jego dnem są jeszcze kolejne poziomy dna. Że może i jest postrzegany przez społeczeństwo jako zły, ale są jeszcze gorsi od niego. Że w społecznej hierarchii nie jest jeszcze najniżej.

**Dorota:** To prawda. Mnie z kolei ciekawi, jak to się dzieje, że w przypadku głośnej medialnej sprawy skazany czy skazana jeszcze nie wie, gdzie trafi, ale tam już wszyscy wiedzą i czekają z „uroczystym przyjęciem”.

**AG:** Uroczystym?

**Dorota:** Pewnie nie raz widziałeś na filmie, jak skazaniec „wjeżdża” do puchy i wita go buczenie, gwizdy i tupanie nogami. Tak to naprawdę wygląda – jeszcze nieszczęśnik nie zdąży się zorientować, gdzie jest, ale już wie, co inni osadzeni najchętniej by mu zrobili. I przez pierwsze dni naprawdę będzie się bał o swoją głowę. A jeśli nawet nie głowę, to o jakąś inną część ciała. Żeby było jasne, taka sytuacja jest ciężka nie tylko dla więźnia, ale także dla służby, która musi mu zapewnić bezpieczeństwo i spokój w jednostce.

**AG:** A potem taka dzieciobójczyni trafia do ciebie. Czy zdarza się, że nachodzi ją refleksja, że popełniła straszny czyn, i próbuje cię przekonać, że nie jest złym człowiekiem; że to, co zrobiła, stało się w szoku, w chwili zaćmienia świadomości?

**Dorota:** Nie przypominam sobie takiej sytuacji. Jeśli przychodzi do mnie dzieciobójczyni, to z jakąś konkretną sprawą natury bytowej, ale na pewno nie po to, żeby się spowiadać. Był jeden wyjątek. Do zakładu karnego trafiła młoda dziewczyna, z Warszawy, która rodziła w domu i w czasie porodu dziecko uderzyło głową o konstrukcję łóżka i zmarło. To znaczy, raczej wtedy, bo niewykluczone, że stało się to jeszcze wcześniej. Dziewczyna była w totalnym szoku, nie wiedziała, co zrobić, i wyniosła zwłoki noworodka do śmietnika. Panicznie się bała, że zostanie oskarżona o zabójstwo. Sprawa szybko wyszła na jaw, a biegli orzekli, że była w pełni władz umysłowych, doskonale wiedziała, co robi, i w czasie procesu nie może być zastosowana żadna taryfa ulgowa. I kiedy już trafiła na oddział, było jej naprawdę ciężko, dość często przychodziła do mnie, żeby rozmawiać o tym dramacie.

**AG:** Znam tę sprawę jedynie z doniesień medialnych, nie bardzo mam prawo wypowiadać się na ten temat, ale wydaje mi się, że to nie był typowy przykład dzieciobójstwa – nie ma pewności, czy dziewczyna chciała zabić. Pewnie wiele da się jej zarzucić, w tym także znieważenie zwłok, ale czy na pewno powodowała nią intencja zabójstwa dziecka?

**Dorota:** Pewnie dlatego zachowywała się zupełnie inaczej niż pozostałe kobiety skazane z tego paragrafu, które nie miały żadnych skrupułów. Psychicznie radziła sobie bardzo kiepsko.



## Kochała tyrana, zabiła tyrana

Zakroczym to ciche, senne mazowieckie miasteczko, położone na wiślanej skarpie. Tak naprawdę jedynymi atrakcjami są stare kościoły położone na dwóch krańcach miejscowości – klasztor kapucynów niedaleko wjazdu od szosy numer 62 i renesansowa świątynia pod wezwaniem św. Józefa. Kilkanaście kroków przed klasztorem znajduje się Ośrodek Apostolstwa Trzeźwości. Tam trafiają ci, dla których alkohol stał się jedyną ucieczką od lokalnej beznadziei.

W 2016 roku miasteczkiem wstrząsnęła zbrodnia – 47-letnia Halina W. śmiertelnie ugodziła nożem swojego męża, Zbigniewa. Wprawdzie początkowo kobiecie groziło długoletnie więzienie, ale w czasie śledztwa wyszły na jaw okoliczności, które pokazały, że zabójstwo było aktem desperacji. Okazało się, że związek Haliny W. był koszmarem – mąż znęcał się nad nią, bił pod wpływem alkoholu. Pił dużo, szczególnie od czasu, gdy stracił pracę i zaczęła w nim narastać frustracja. To ona była jedyną żywicielką rodziny – on zaś... rządził.

W 2013 roku Zbigniew W. trafił na pół roku do więzienia, ale gdy wrócił, sytuacja się pogorszyła. Jego żonie pewnie nawet nie przyszło do głowy, żeby odejść od przemocowego małżonka – uważała, że mąż to mąż i bez względu na wszystko powinna przy nim pozostać. Kobieta próbowała szukać wsparcia u policji, ale mundurowi nie reagowali. Być może uważali, że Halina W. przesadza – że mąż, który odsiedział karę, z pewnością musiał się zmienić.

Nie zmienił się, dlatego kobieta wzięła sprawę w swoje ręce. A konkretnie – wzięła do ręki nóż. Stało się to sierpniowego poranka, podczas śniadania, w obecności 17-letniego syna tej pary. Gdy mąż zaczął – rutynowo – wyzywać Halinę W., ta pchnęła go w bok. Jak później zeznała, nie chciała zabić, a jedynie nastraszyć. Pech chciał, że trafiła prosto w serce. Zbigniew W. zmarł w szpitalu.

Sąd okręgowy uznał, że w tej sprawie było wiele okoliczności łagodzących, i skazał Halinę W. na rok więzienia w zawieszeniu.

\* \* \* \* \*

**Dorota:** Kolejna kategoria osadzonych to zabójczynie przemocowych mężów czy konkubentów.

**AG:** Takie jak Halina W.? Jej akurat udało się uniknąć odsiadki, bo sąd uwzględnił cały kontekst tego zabójstwa czy raczej – nieszczęśliwego wypadku ze skutkiem śmiertelnym.



**Dorota:** Wielu innym to się nie udaje i trafiają, czasami z długimi wyrokami, do więzienia. Większość z nich to panie, które znosiły męża-tyrana przez dziesięć, czasem nawet dwadzieścia lat i w końcu przyszedł ten jeden dzień, w którym nie wytrzymały. Być może, gdyby nie ten jeden silny impuls, który je popchnął do zbrodni, dalej pokornie tkwiłyby w chorym związku. Bardzo wiele takich kobiet odsiadyuje kary w więzieniach. Co ciekawe, w przeciwieństwie do dzieciobójczyń te kobiety bardzo żałują tego, co zrobiły. Mają skłonność do samooskarżania się, zapewniają, że ciągle kochają tyrana, choć tyran już jest w zaświatach, i powtarzają, że gdyby mogły cofnąć czas, nigdy nie sięgnęłyby po nóż.

**AG:** Czyli tak naprawdę wcale nie uwolniły się od przemocowego męża? Bo on ciągle w nich tkwi, ciągle je oskarża, a one same jeszcze muszą odbyć karę za swój czyn. Z ich punktu widzenia nic na lepsze się nie zmieniło.

**Dorota:** Tak, te kobiety mają w sobie bardzo głębokie poczucie winy. Bez względu na to, czy ofiarą był mąż, czy konkubent, czy (to też się zdarza) ojciec. W rozmowach ze mną wciąż wracają do tych samych kwestii: a może trzeba było dać mu jeszcze szansę, może on naprawdę chciał się zmienić, może ja przesadzałam i on wcale nie był taki zły? No, bo przecież chłop, jak to chłop – jak popije, to czasem machnie ręką. Co ciekawe, te kobiety, kiedy już pchną nożem, od razu przechodzą do pierwszej pomocy. Za wszelką cenę starają się pomóc poszkodowanemu, uratować go, zatamować potok krwi. To nie jest tak, że kobieta zada śmiertelny cios, po czym robi sobie herbatę i będzie patrzyła na agonię swojego partnera. One przeżywają takie emocje, jakie trudno zrozumieć komuś, kto nie był w takiej sytuacji.

**AG:** Rozumiem, że sąd traktuje takie sprawy jako zabójstwo w afekcie?

**Dorota:** Czasami tak, czasami nie. Pamiętaj, że zawsze chodzi o artykuł 148, czyli „kto zabija człowieka” – na zabójstwo pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami nie ma żadnego innego artykułu. Tu grozi kara do dziesięciu lat więzienia, oczywiście, jeśli sąd przyjmie, że to było zabójstwo pod wpływem silnego wzburzenia, a nie przeprowadzone „na chłodno”. A wcale nie musi tego przyjąć. Nie mnie oceniać, czy dziesięć lat to odpowiednia kara. Czasami słyszałam, jak więźniowie mówią: zabijesz śmiecia, a posiedzisz jak za człowieka. Powiem tak: w praktyce większość tych pań dostała „szóstkę”, a czasami – więcej. I to jest chore, bo cierpisz z rąk bydlaka przez powiedzmy dziesięć lat i potem jeszcze musisz przez niego drugie tyle odsiedzieć.

**AG:** Niestety, przemoc trudno udowodnić, szczególnie jeśli wszystko rozgrywa się w czterech ścianach, bez świadków, bez wcześniejszych zgłoszeń na policję. Przecież nie wszystkie żony donoszą na swych mężów – uważają, że lepiej znosić ból i upokorzenie, niż upubliczniać swój dramat. Wspomniana Halina W. miała w ręku atut w postaci wcześniejszej odsiadki swojego męża. Inne przeważnie takimi argumentami nie dysponują.

**Dorota:** Jedna z moich podopiecznych dostała stosunkowo łagodny wyrok, czyli cztery i pół roku, ale historia jej związku była bogato udokumentowana. Była niebieska karta (procedura mająca zapewnić bezpieczeństwo osobie, wobec której stosowana jest przemoc w rodzinie – przyp. A.G.), były liczne interwencje policyjne, zeznania sąsiadów, opieki społecznej, ślady pobić, obdukcje lekarskie. To był dowód na to, że ta kobieta, na przestrzeni bardzo wielu lat, przeżyła prawdziwy dramat.

**AG:** A czy miałaś kogoś, kto popełnił zabójstwo nie pod wpływem impulsu, ale z premedytacją? Zaplanował zbrodnię i zrealizował ją od A do Z?

**Dorota:** Oczywiście, było kilka takich osadzonych. Jedna z nich zabiła męża młotkiem – silny cios w głowę i po wszystkim. To nie było działanie w stanie silnego wzburzenia czy szału – ona to sobie wcześniej wymyśliła. Przekalkulowała, że bardziej się jej opłaca trafić do więzienia, odsiedzieć karę i potem znów ułożyć sobie życie, niż czekać na kolejne udręczenie ze strony tyrana. Ona doskonale wiedziała, że nie uda się jej ukryć dowodów swojej winy, że nie przechytry policji – po prostu wolała życie za kratami niż życie z potworem.

**AG:** A nie prościej byłoby po prostu uciec? Jeśli miała gdzieś jakąś rodzinę, jakichś przyjaciół, może udałoby się jej skutecznie zniknąć mu z pola widzenia? Przy okazji nie byłoby długoletniej odsiadki.

**Dorota:** Tak się składa, że kobiety z przemocowych związków nie uciekają z domu, nie opuszczają swoich partnerów. Są z nimi do samego końca, cokolwiek ów koniec oznacza. Przez jakiś czas pracowałam w fundacji, która zajmowała się takimi problemami, i miałam okazję poznać wiele podobnych historii. Powiem ci szczerze – to było nie na moje nerwy! Nie byłam w stanie zrozumieć tych kobiet, które mogły po prostu odejść od agresywnych facetów, ale one ciągle się czuły za nich odpowiedzialne. Chciały przy nich być, czy raczej – trwać. No, bo przecież obiecały kiedyś, przed ołtarzem, przed Bogiem, że dopiero śmierć ich rozłączy. Pokazujesz takiej kobiecie cały wachlarz możliwości, z których ma prawo skorzystać, argumentujesz, że da się wyjść z zaklętego kręgu, a ona bezradnie

rozkłada ręce i mówi: „nie da się”. Takiej nie przekonasz. Chcesz nią potrząsnąć, krzyknąć: „obudź się, kobieto!”, ale ona nie jest na to gotowa i nigdy nie będzie. Im się wydaje, że bez faceta – tego konkretnego faceta – nigdy sobie nie poradzą. Czyli ta bezradność jest o wiele silniejsza od strachu. Błędne koło.

**AG:** Wolą same wymierzyć sprawiedliwość.

**Dorota:** Tak. Do tego dochodzi brak wsparcia, nie tylko ze strony rodziny. Wiele osób po prostu nie chce słuchać zwierzeń nękaney kobiety, bo „po co mi o tym opowiadasz? Brudy pierz sama, we własnym domu”.

**AG:** Z drugiej strony, nie dziwię się tym kobietom, które nie chcą trafić do domu samotnej matki – bo to też jest dla nich upokorzenie. Dowód na to, że życie rodzinne po prostu się nie udało. Byłam panią domu, a teraz mieszkam kątem na garnuszku państwa.

**Dorota:** Dlatego osadzone za zabójstwo mężów czy partnerów nie są w stanie postrzegać swojego problemu w kategoriach czarno-białych. To zbyt skomplikowane. Opowiem ci o innym przypadku osadzonej, która zaplanowała zabójstwo męża i realizowała je przez długi czas. Pamiętam, że kiedy trafiła do więzienia z wyrokiem dwudziestu pięciu lat więzienia, wszyscy się śmiali, że dostała dożywocie. Bo „wjechała” już jako pani pod siedemdziesiątkę. Ona męża otruła, ale nie jedną śmiertelną dawką – podawała mu truciznę przez kilka miesięcy. Posypywała mu nią kanapki, które zabierał do pracy. On myślał, że to sól, a była to jakaś trutka, być może nawet jakiś nawóz ogrodowy. Coś, co miało szansę osiągnąć skutek dopiero po długotrwałej aplikacji.

**AG:** Jezu, jaki kraj, taki *Arszenik i stare koronki!* Przepraszam, nie jest mi wcale do śmiechu.

**Dorota:** Bo w tym nie ma niczego wesołego. W spisek też został zaangażowany niepełnosprawny syn – on o wszystkim wiedział i pomagał matce. Zresztą w początkowej fazie śledztwa to on coś chlapnął, co dało do myślenia prowadzącym sprawę. Badanie toksykologiczne zwłok potwierdziło wersję o otruciu. Dlatego syn dostał piętnaście lat więzienia. Kobieta od samego początku zapewniała, że niczego nie żałuje – przez czterdzieści lat mąż tak się dał im we znaki, że dostał jedynie to, na co zasłużył. Zresztą wyglądała na kilkanaście lat więcej, niż w rzeczywistości miała.

**AG:** A jak traktowane są takie kobiety przez współosadzone? Czy tak samo jak dzieciobójczynie?

**Dorota:** Ależ skąd! Są o wiele bardziej szanowane. Powiem ci – zabójcy z reguły cieszą się sporym poważaniem. Mówię ogólnie, nie tylko o kobietach, które pozbyły się mężów. Skazani z artykułu 148 nie są w celach potępiani. Wręcz przeciwnie. Ostatecznie nie każdy jest w stanie zabić. Ci, którzy mają na koncie „głowę”, stanowią dla wielu więźniów kogoś w rodzaju superherosa – przełamali barierę, która dla wielu jest nieprzełamywalna. Czy to z powodów moralnych, czy religijnych, czy choćby tylko logistycznych. Dlatego ta, która „zadźgała dziada”, wzbudza pod całą pozytywnie reakcje.

\* \* \* \* \*

W 2016 roku francuską opinią publiczną wstrząsnęła sprawa Valérie Bacot – kobiety, która nie wytrzymała przemocy ze strony męża i sięgnęła po broń. Daniel Polette początkowo był ojczymem kobiety, a później się z nią ożenił. Od dzieciństwa była przez niego maltretowana, gwałcona i zmuszana do uprawiania seksu z kompanami Daniela. Pierwsze dziecko urodziła swemu przyszłemu mężowi, mając siedemnaście lat. Potem urodziła córkę. Obawiając się, że w przyszłości to ona stanie się celem agresji męża, zdecydowała się na drastyczny krok. Prokurator, który domagał się kary pięciu lat więzienia dla zabójczyni (sąd skazał ją na cztery lata), powiedział: „Gdy ktoś zaczyna wymierzać sprawiedliwość na własną rękę, wówczas wszyscy jesteśmy na wojnie ze sobą nawzajem”.

## Sprawa Adama Dudały

„Wjazdy” do więzienia bywają różne – jedni docierają we własnym zakresie, drugich dowozi policyjna furgonetka. Ci pierwsi, najczęściej, odpowiadali przed sądem z tak zwanej wolnej stopy, drudzy całe postępowanie spędzili za kratami (na dołku, w areszcie śledczym, w końcu, w więzieniu). W większości przypadków zniewolenie nie jest dla zatrzymanego zaskoczeniem – nawet jeśli o świcie budzą go antyterrorysty, kładą na podłogę, a potem wywlekają z domu, aresztowany wie, za co przyjdzie mu odpowiedzieć.

Zatrzymanie, aresztowanie, a w efekcie ponaddwudziestoletnia odsiadka Adama Dudały, jednego z najgłośniejszych więźniów III RP, wyglądały zupełnie inaczej – jego zderzenie z organami ścigania, a następnie z wymiarem sprawiedliwości mogłoby posłużyć za scenariusz filmu, który doskonale by się oglądało, ale nikt nie uwierzyłby, że takie rzeczy dzieją się naprawdę. Sprawa Dudały, skazanego za dwa zabójstwa, do których doszło latem 1999 roku w mazurskim Wiartlu i w Olsztynie, z pewnością będzie przez wiele lat analizowana na wykładach z kryminologii i kryminalistyki jako przykład postępowania, które wymyka się racjonalnej ocenie.

W tej książce nie zamierzam podważać zasadności zatrzymania, a następnie skazania Adama Dudały – to nie jest zadanie dla dziennikarza. Skoro sąd wydał taki, a nie inny wyrok – z pewnością musiał dysponować wystarczająco mocnymi dowodami. A to, że zdaniem skazanego i jego bliskich dowody te nie miały żadnej wartości, nie pomaga w próbie samodzielnego rozstrzygnięcia o winie. Każda ze stron ma swoje racje i swoją opowieść. Spróbujmy po prostu prześledzić wypadki. Zacznijmy nie od zabójstw w Wiartlu, ale od zatrzymania Dudały, bo dla niego – jak zapewnia – cała sprawa zaczęła się właśnie wtedy.

\* \* \* \* \*

To, że coś jest na rzeczy, Adam Dudała wyczuwał już od pewnego czasu. Jak sam napisał w liście, który otrzymałem od jego przyjaciół na wolności: „Pierwsze sygnały, że coś się dzieje, pojawiły się na tydzień przed moim zatrzymaniem. W pubie, który prowadziłem, zaczęły pojawiać się dziwne postacie – nieznanymi klientami. Uśmiech politowania wywoływali u pracowników funkcjonariusze w tzw.



przebraniu, zamawiający alkohol, a następnie, dyskretnie, w swoim mniemaniu, go wylewający w ogródku piwnym. Robiący mi zdjęcia i filmujący mnie policjanci wystawali w krzakach niczym w serialu komediowym. Nie znając ich zamiarów; nie zdając sobie sprawy z tego, jaki los mi szykują i że gotowi są na każdą podłość, aby zmusić mnie do współpracy, traktowałem wtedy ich pojawienie się lekceważąco. Na wszelki wypadek skontaktowałem się z moim adwokatem, który mnie uspokoił: »Gdyby chcieli cię aresztować, rzuciliby cię na chodnik, a nie robili takie podchody«”.

Wkrótce jednak miało się okazać, że nie miał racji. Czemu służyły te podchody? Czy policja starała się wzbudzić niepokój w Dudale, wymusić na nim jakiś pożądany ruch, a może po prostu funkcjonariusze czekali na sygnał do rozpoczęcia akcji? A może to w ogóle nie była policja, a Dudała, analizując wszystko już po zatrzymaniu, po prostu wziął ich za przedstawicieli organów ścigania? Wygląda na to, że jednak była.

Na dzień przed zatrzymaniem, wcześniej rano Dudała pojechał na zakupy – telefon komórkowy zostawił w aucie i spędził w sklepie mniej więcej pół godziny. Po powrocie zorientował się, że miał w tym czasie dziesięć połączeń od matki. Zadzwoił do niej i dowiedział się, że szuka go policja – byli u niego w domu i zostawili wezwanie na komendę na następny dzień. Podali też numer telefonu, na wypadek gdyby chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Natychmiast zadzwonił i potwierdził, że stawi się na komendzie o siódmej rano. Sam zaproponował tak wczesną porę, żeby mieć temat jak najszybciej z głowy.

Na pytanie, o co chodzi, usłyszał krótkie: „wszystkiego dowie się pan na miejscu”. To standardowa praktyka, niezwykle skuteczna wobec osób bez doświadczenia w kontaktach z policją – miękną w mgnieniu oka i w czasie przesłuchania mówią to, co funkcjonariusze chcą usłyszeć.

Adam Dudała nie należał do tej kategorii – znał wielu głośnych gangsterów, ocierał się o świat zorganizowanej przestępczości, więc policyjne zagrywki nie wywoływały w nim strachu. Jednak poczucie niepewności, oczywiście, towarzyszyło mu przez cały dzień. „Czego ode mnie chcą?”

Stawił się na komendzie na warszawskich Jelonkach (dzielnica Bemowo), wierząc, że przesłuchanie nie potrwa dłużej niż godzinę. Zaplanował, że wróci do domu na tyle wcześnie, że jeszcze zje śniadanie ze swoją partnerką, Patrycją. Początkowo funkcjonariusze zachowywali się tak, jakby w ogóle nic nie wiedzieli o przesłuchaniu Dudały, ale gdy powiedział, że chodzi o wezwanie od białostockiego Centralnego Biura Śledczego, został wciągnięty do jednego z pokoi, obezwładniony i skuty. I to było dla Dudały zupełnie niezrozumiałe – skoro był na tyle niebezpieczny, że należało go unieruchomić, dlaczego nie wysłano po niego antyterrorystów, dlaczego nie zatrzymano go w jego własnym

domu, tylko pozwolono mu osobiście dotrzeć na komendę? No, ale kto powiedział, że zachowania instytucji, mających prawo do stosowania przymusu bezpośredniego, zawsze mają być racjonalne?

Jak wspomina główny zainteresowany: „Niczego mi nie odczytano, nie przedstawiono powodów zatrzymania. Funkcjonariusz CBS Białystok zapytał mnie, czym przyjechałem, i poprosił o zgodę na przeszukanie samochodu, a także mieszkań, w których przebywałem. Utrzymywał, że czekają na nakazy prokuratorskie z prokuratury w Białymstoku, a moja ewentualna zgoda przyspieszy zaplanowane czynności, pozwoli szybciej zakończyć sprawę. Po chwili zawahania zgodziłem się, a funkcjonariusze podzielili się na dwie grupy, które pojechały dokonać przeszukań, a ja zostałem z jednym z nich w pokoju.

Podczas luźnej rozmowy wypytywał mnie o moich kolegów i utwierdzał w przekonaniu, że cała historia niedługo się zakończy. Mój telefon bezlitośnie dzwonił, bo Patrycja próbowała się ze mną skontaktować. Policjant pozwolił mi w końcu go odebrać, żebym mógł potwierdzić, że zgodziłem się na przeszukanie.

Po około dwóch godzinach policjanci wrócili, a zaraz po nich przybyła Patrycja, która została poproszona o odebranie auta, którym przyjechałem. Od niej dowiedziałem się, że podczas przeszukań zabezpieczono jedynie zdjęcie z wakacji, na którym byłem wraz z kolegami, co tylko utwierdzało mnie w przekonaniu, że sprawa dotyczy moich powiązań z grupą ożarowską”.

Wkrótce Dudała – oczywiście już autem policyjnym – pojechał do Białegostoku. Pewnie nawet nie przeszło mu przez myśl, że właśnie stracił wolność, i to na grubo ponad dwadzieścia lat. I zazna jej dopiero za jakiś czas, podczas przepustki. No, ale nie mógł się tego domyślić, bo nie zakładał, że już niedługo usłyszy zarzut zabójstwa. Na razie transportujący go policjanci uspokajali, że w Białymstoku wszystko się wyjaśni, a on sam, po przesłuchaniu, wróci pociągiem do domu. Podczas jazdy temat rozmowy zszedł na słynnego jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego – policjanci pytali Dudałę o to, czy Jackowski utrzymywał jakieś kontakty z jego kolegami. Dla przypomnienia – jasnowidz był osobą dość popularną wśród przedstawicieli półświatka. Szczególną atencją darzył go jeden z bossów grupy pruszkowskiej Andrzej K. Pershing. Pod koniec życia gangster odwiedził jasnowidza – czuł, że zaciska się wokół niego pętla wrogości ze strony innych bossów, i chciał się dowiedzieć, jaka przyszłość go czeka. Mówiąc krótko, czy nie grozi mu najgorsze. Jasnowidz, owszem, przewidział problemy, ale miało do nich dojść w Warszawie. Boss chyba nie za bardzo się przejął tą prognozą, choć stał się ostrożniejszy i rzadziej bywał w stolicy.

Niedługo później, 5 grudnia 1999 roku, został zabity na parkingu jednego z hoteli w Zakopanem. Ale to temat na zupełnie inną opowieść. W czasie, gdy

zostały popełnione zabójstwa, o które oskarżono Dudalę, Andrzej K. żył i planował wielkie interesy.

Gdy Dudała przyjechał do Białegostoku, dostał do przeczytania postanowienie o zatrzymaniu – to z niego dowiedział się, że jest podejrzany o zabójstwo. Oczywiście, od podejrzania do skazania daleka droga, ale już wtedy stało się jasne, że nie wróci pociągiem do Warszawy. Ani tego, ani następnego dnia. Nie miał pojęcia, o jaką zbrodnię chodzi i dlaczego akurat to jego wytypowano na podejrzanego.

Jeszcze tego samego dnia doszło do okazania – miał stanąć w jednym szeregu z innymi mężczyznami, a ktoś, kto znajdował się za weneckim lustrem, miał wskazać tego, który, jego zdaniem, brał udział w zabójstwie. Obok Dudalę ustawiono trzech chudych nastolatków w dresach, podczas gdy on był dużo starszy od nich i znacznie lepiej zbudowany. Jeśli dodać do tego garnitur, w który się ubrał, jadąc na komendę, wyróżniał się jak ktoś z innej planety. Pewnie chodziło o to, żeby ułatwić świadkowi wskazanie właściwej osoby. Potem Dudała stanął oko w oko z prokuratorem – ten drugi niewiele mówił o zabójstwie, a jedynie koncentrował się na kontaktach podejrzanego z Pershingiem – owszem, znali się, może nawet lubili, ale przecież to nie mogło być żadnym dowodem w przedmiotowej sprawie. Tymczasem zarówno dla organów ścigania, jak i dla sądu takie znajomości nie były bez znaczenia, bo budowały pewną narrację – skoro Dudała znał szefów polskiej mafii, to znaczyło, że jest bardziej podejrzany od innych. Poza tym, jak się okazało, bywał w Wiartlu od dzieciństwa, dobrze znał to miasto, więc stanowiło dla niego naturalny grunt do przestępczej działalności.

Posiedzenie przed sądem odbyło się następnego dnia – trzy godziny wcześniej, niż zaplanowano, więc adwokat Dudalę nie był na nim obecny – po prostu nie zdążył dojechać. Sędzia odczekał „kwadrans akademicki”, po czym rozpoczął posiedzenie – padły pytania o kolegów ze środowiska przestępczego, o Pershinga. Na koniec sędzia zapytał, czy podejrzany przyznaje się do winy, i gdy usłyszał, że nie, zasądził areszt tymczasowy. Tak Dudała trafił do białostockiego Aresztu Śledczego, z którego jakiś czas później został przewieziony na Białą, czyli na warszawską Białołękę. Zanim za Dudalę zatrzasnęła się więzienna brama, funkcjonariusze CBS poradzili mu, żeby dobrze przemyślał swoją sytuację. Czyli, w formie pewnego niedopowiedzenia, zasugerowali mu, że jeśli zacznie sypać, może mu się to opłacić. A wyłgać się od odpowiedzialności za zabójstwo, i to podwójne, nie będzie łatwo – trzeba podrzucić coś naprawdę wartościowego. Najlepiej jakąś wiedzę na temat wydarzeń z pierwszych stron gazet.

Był 2001 rok – wprawdzie bossowie tak zwanego starego Pruszkowa siedzieli już za kratami, ale Polskę wciąż wstrząsały mafijne wojny, a porachunki były

jeszcze bardziej krwawe niż przed 2000 rokiem. W siłę rosły nowe grupy i walka z nimi wymagała niekonwencjonalnych metod. Ale czy Dudała naprawdę wiedział tyle o nowym podziale gangsterskiego podziemia, żeby zaoferować policji coś rzeczywiście wartościowego?

Dla organów ścigania najważniejsze było to, że znalazł się w potrzasku. Teraz wystarczyło zwiększyć nacisk i czekać na efekt...

\* \* \* \* \*

O sprawie Adama Dudały napisano już niemało – ci, których interesują szczegóły dotyczące procesu i racji, którymi kierował się sąd, wydając wyrok, bez wątpienia znajdą wiele materiałów w internecie. Inna rzecz, że sprawa jest na tyle pogmatwana, iż rzadko kiedy można dotrzeć do pełnego opisu zdarzenia, a raczej – całej serii zdarzeń.



Nazwisko skazanego powróciło choćby przy okazji uniewinnienia Tomasza Komendy, który spędził w więzieniu osiemnaście lat za rzekomy gwałt i zabójstwo piętnastoletniej dziewczyny. Sprawa ta odbiła się głośnym echem, które wybrzmiało szczególnie mocno po premierze filmu *25 lat niewinności*. *Sprawa Tomasza Komendy* – jego twórcy nie wahali się pokazać w najdrobniejszych detalach koszmaru, przez jaki musiał przejść skazany za gwałt i zabójstwo nastolatki. Koszmaru, przez który Komenda trzykrotnie próbował odebrać sobie życie. Niedługo potem wolność odzyskał inny więzień, odsiadujący dwadzieścia pięć lat za podwójne zabójstwo, którego nie popełnił – Arkadiusz Kraska. Dopiero po prawie dwudziestu latach odsiadki wymiar sprawiedliwości uznał, że skazany został nie ten, co trzeba. Wydawało się, że na wokandę wróci wiele podobnych spraw – spraw, które budzą wątpliwości zarówno ekspertów, jak i szeroko rozumianej opinii publicznej. Tak się składa, że sprawa Adama Dudały należała, bez wątpienia, do najgłośniejszych. Kiedy pojawiła się informacja, że Tomaszowi Komendzie zostało przyznane odszkodowanie za czas spędzony za kratami w wysokości ponad 18 milionów złotych, wielu zaczęło się zastanawiać, czy budżet państwa wytrzyma obciążenie, jeśli wszyscy niesłusznie osadzeni zaczną się domagać rekompensaty. Temat nagle ucichł... W czasach powszechnego naporu sensacyjnych informacji niezwykle łatwo zamieść pod dywan jakiś niewygodny temat. Żywotność medialnego newsa jest bardzo krótka i przedstawiciele władz doskonale zdają sobie z tego sprawę. I nawet nie chodzi o to, że Adam Dudała pozostał w zakładzie karnym (ostatecznie, nie da się uwolnić człowieka bez procesu, bez udowodnienia jego niewinności), ale o to, że zniknął z głównych stron gazet i internetowych portali. Był Komenda i jemu podobni, teraz jest afera wokół *Dziewczyn z Dubaju* i społeczeństwo zmieniło obiekt swych zainteresowań.

Przypomnijmy w skrócie sprawę Adama Dudały. Został skazany za dwa zabójstwa, jakich miał się dopuścić w 1999 roku. W nocy z 19 na 20 lipca miał zastrzelić (a wcześniej torturować) Mirosława K. pseudonim Kozyr – ochroniarza agencji towarzyskiej Czar Tygrysicy, a dwa tygodnie później – właściciela tego przybytku, Jana B. Zabójstwa te miały związek z wojną o wpływy, jaka wybuchła pomiędzy grupami przestępczymi z Łomży i z Olsztyna.

Dudała – według śledczych – miał stać po stronie tych z Łomży i współpracować z nimi (zabójca nie działał w pojedynkę, ale w większej ekipie).

Niedługo po tych krwawych zdarzeniach policja rozbiła ekipę z Łomży, a jej członkowie zaczęli się wzajemnie pogrążyć. Głównym – by nie rzec jedynym – świadkiem obciążającym Dudałę był Sławomir R. pseudonim Woźny. Ten sam, który stał się jednym z głównych aktorów w procesie mecenasa i polityka Jana Widackiego, któremu prokuratura zarzuciła, że nakłaniał R. do składania

falszywych zeznań, korzystnych dla jednego z szefów zarządu Pruszkowa – Mirosława D. Malizny, oskarżonego o udział w zabójstwie Andrzeja K. Pershinga. Organy ścigania miały zamiar udowodnić istnienie całego układu, chroniącego polską mafię. To jednak temat na osobną książkę.

Wracając do sprawy Dudały – to Woźny ujawnił wszystkich uczestników obu egzekucji (przy czym zabójstwo Kozyra było przypadkowe – ponoć chodziło nie o śmierć, ale nastraszenie ochroniarza). Tylko jedną osobę opisał niezbyt precyzyjnie – chodziło o jakiegoś Adama z Warszawy, którego wcześniej nie znał. No i to właśnie ten Adam miał być cynglem. I w tym momencie coraz więcej elementów przestaje pasować do układanki. Adam, wskazany przez Woźnego, poruszał się po mazurskich drogach czerwonym mercedesem, podczas gdy Dudała nigdy nie dysponował pojazdem tej marki ani w tym kolorze (w czasie śledztwa nieoczekiwanie mercedes zamieni się w inną markę).

Świadek zapamiętał kilerą jako osobę średniego wzrostu i raczej drobnej budowy ciała. Tymczasem Dudała ma znacznie powyżej 180 centymetrów wzrostu i zgodnie z duchem tamtego czasu pracował nad swoją sylwetką w siłowni – to rzucało się w oczy. Poza tym, Woźny nie zapamiętał żadnych znaków szczególnych na twarzy podejrzanego, a przecież Dudała ma wyraźne znamię w okolicach skroni. A jednak, gdy doszło do wspomnianego wcześniej okazania – rozpoznał winnego bez pudła. Inni współoskarżeni twierdzili, że widzą Dudałę po raz pierwszy w życiu. To jednak nie dało do myślenia organom ścigania.

Wiarygodność Woźnego została zresztą potwierdzona przez biegłą psycholog – uznała ona, że nawet jeśli się myli w zeznaniach, to wynika to z naturalnych procesów pamięciowych, a nie ze skłonności do konfabulacji. Podczas procesu Dudała zapytał biegłą, czy uważa, że Sławomir R. jest wiarygodny, kiedy to w innym procesie – a mianowicie o gwałt i próbę zabójstwa pięcioletniej dziewczynki – tłumaczył się i wyjaśniał, że „pomylił się” i „myślał”, że obcuje seksualnie z dorosłą kobietą.

Odpowiedzi nie było. Zresztą, jaka mogłaby być?

Najlepsze jest to, że Dudała w momencie popełnienia pierwszej zbrodni był... w Ustce, na uroczystości otwarcia jednego z hoteli. Ten, kto choć trochę zna realia lat dziewięćdziesiątych, doskonale wie, że takie imprezy nie mogły się obyć bez przedstawicieli mafijnego półświatka. Obecność bossów przestępczości zorganizowanej była niemal zastępstwem poświęcenia obiektu przez proboszcza. Imprezę w Ustce uświetniły prawdziwe tuzy Pruszkowa: był Pershing, był Masa oraz wielu innych gangsterów. Tak więc premiera hotelu stała się wydarzeniem towarzyskim, obfotografowanym nie tylko przez oficjalnych uczestników, ale także służby, które deptały po piętach mafiosom. Dudała dobrze znał Pershinga

(ten był dla niego niemal idolem) i często bywał tam, gdzie boss. I to, że kręcił się przy niewłaściwych ludziach, stało się prawdopodobnie przyczyną jego dramatu. Facet, który pije wódkę z takimi ludźmi jak Pershing, niejako z automatu musi być podejrzany. A właściwie – winny.

W każdym razie wiele osób widziało w Ustce Dudałę. A jednak prokuratura uznała, że był na Mazurach i zabijał człowieka.

Z kolei ekspert balistyki w opinii dla sądu stwierdził, że zabójstw mogła dokonać wyłącznie osoba praworęczna, tymczasem Dudała jest od dzieciństwa leworęczny.

Na tym nie koniec – jeden z oskarżonych w tej sprawie, Jarosław K., zapewnił, że Dudały nie było podczas akcji w Wiartlu. Był natomiast Adam Ch., pseudonim Pryszcza, człowiek niebezpieczny, związany z grupą wołomińską, którego inni uczestnicy tego zdarzenia po prostu się bali. Rzecz w tym, że jakiś czas później Adam Ch. został zabity w gangsterskich porachunkach. Zastrzelił go podczas imprezy alkoholowej w Warszawie jego były wspólnik Wiesław B. Zabójca wywiózł zwłoki Pryszcza do Zambrowa i tam je podpalił. Sam Wiesław B. też niedługo później rozstał się z życiem. Również w porachunkach. Tyle że zginął nie od broni palnej, ale od młotka.

Dopóki Adam Ch. żył, nikt nie chciał zeznawać przeciwko niemu.

Ale czy gdyby nie zginął tragicznie, prokuratura zajęłaby się jego udziałem w egzekucjach? Tego się już nie dowiemy.

\* \* \* \* \*

W kwietniu 2021 roku (a więc już po uwolnieniu Komendy i Kraski), po dwudziestoletniej odsiadce, sąd penitencjarny odrzucił wniosek Adama Dudały o przedterminowe, warunkowe zwolnienie z odbywania kary. Sąd uznał, że sformułowanie pozytywnej prognozy kryminologiczno-społecznej wobec osadzonego, pomimo jego stabilnej postawy penitencjarnej, nie jest możliwe.

Tytułem wyjaśnienia, stabilna postawa to ocena, jaką wystawiło Dudale kierownictwo zakładu karnego. Mówiąc krótko, szefowie więzienia uważają, że osadzony mógłby dostać szansę, bo nadaje się do życia w normalnym społeczeństwie. W opinii jednego z zakładów karnych, w których przebywał Dudała, czytamy: „Względem osadzonego nie używano środków przymusu bezpośredniego, nie podejmował zachowań agresywnych ani autoagresywnych. Jest w wysokim stopniu zaangażowany w proces resocjalizacji, dotychczas brał udział w wielu programach readaptacji społecznej, m.in. Nowa Droga – uwzględniającym uwarunkowania i szkodliwość działań agresywnych (...), Tolerancyjne Forum Dyskusyjne, Przeciwdziałanie prokryminalnym postawom



na stadionach piłkarskich i poza nimi. (...) Czas spędzony na przepustkach i na przerwie wykorzystywał właściwie, co potwierdziły pozytywne wywiady środowiskowe”. I tak dalej – lista pochwał jest naprawdę długa.

Jednak sąd nie podziela tego punktu widzenia: Adam Dudała jest osobą silnie zdemoralizowaną, utożsamia się ze środowiskiem przestępczym poprzez uczestnictwo w podkulturze więziennej.

Tytułem wyjaśnienia – jest grypsujący. Trzeba jednak pamiętać, że jeżeli Dudała został uwięziony niewinnie, to znaczy, że zrobiono z niego przestępcę. W tym również grypsującego.

Sąd uważa, że Dudała w dalszym ciągu wymaga intensywnych działań readaptacyjnych w zakładzie karnym, zważywszy na brak krytycznej postawy wobec popełnionych czynów o dużej społecznej szkodliwości. O co chodzi? Wyobraźmy sobie taką rozmowę przedstawiciela sądu penitencjarnego z osadzonym.

– Osadzony miał wystarczająco dużo czasu, aby przemyśleć swoją sytuację i czyny, za które został skazany.

– Czyny, których nie popełniłem! Wysoki Sąd doskonale wie, że zostałem skazany praktycznie bez żadnych dowodów.

– Przypominam osadzonemu, że nie jest zadaniem sądu penitencjarnego orzekanie o winie bądź niewinności osoby odsiadującej karę. Wina została bezspornie udowodniona, a wyrok zapadł prawomocnie. Tu nie ma pola do dyskusji. Sąd penitencjarny jedynie ocenia, czy ewentualna zgoda na warunkowe zwolnienie z odbywania kary jest zasadna. I czy kara zaspokoiła społeczne poczucie sprawiedliwości.

– To, że sąd wydał wyrok, nie oznacza, że jestem zabójcą. I do końca życia będę starał się oczyścić moje dobre imię.

– A to oznacza, że stosunek osadzonego do popełnionych czynów w dalszym ciągu jest bezkrytyczny. Osadzony nie spełnia wymogów opisanych w art. 77, paragraf 1 Kodeksu karnego. Cytuję: „Skazanego na karę pozbawienia wolności sąd może warunkowo zwolnić z odbycia reszty kary tylko wówczas, gdy jego postawa, właściwości i warunki osobiste, okoliczności popełnienia przestępstwa oraz zachowanie po jego popełnieniu i w czasie odbywania kary uzasadniają przekonanie, że skazany po zwolnieniu będzie stosował się do orzeczonego środka karnego lub zabezpieczającego i przestrzegał porządku prawnego, w szczególności nie popełni ponownie przestępstwa”.

– Jak mogę mieć krytyczny stosunek do czegoś, czego nie popełniłem? Mam powiedzieć, że bardzo żałuję zabójstwa, które popełnił ktoś inny?

– Przykro mi, ale w tej sytuacji sąd penitencjarny musi odrzucić wniosek o zwolnienie przedterminowe.

– Czyli następnym razem mam się przyznać do zabójstwa i wyrazić skruchę? Jednym słowem, mam potwierdzić nieprawdę?

– O prawdzie zadecydował sąd. Osadzony musi mieć krytyczny stosunek do swojej niechlubnej przeszłości. A póki co, osadzony wciąż wymaga intensywnych działań readaptacyjnych w zakładzie karnym.

Oczywiście, rozmowa ta jest fikcją literacką, ale powstała na podstawie relacji osadzonych, którzy starali się o warunkowe zwolnienie. Kto szedł w zaparte, że nie zrobił tego, za co został skazany, wracał pod celę na tarczy.

\* \* \* \* \*

Dyrektor zakładu karnego w Iławie nie wyraził zgody na moje spotkanie z Adamem Dudałą. Taka odmowa zdarzyła się po raz pierwszy w mojej pracy dziennikarskiej. Rozumiem tę decyzję, szanuję ją i nie dyskutuję z nią.

Podobno nieufność wobec mediów wzrosła po rozgłosie, jaki zdobyła sprawa uwolnienia Tomasza Komendy. Ostatecznie, nikt nie chce być częścią systemu, który więzi ludzi, co do których zachodzi podejrzenie, że siedzą niewinnie. Ćwierć wieku za kratami to nie jest dzień czy miesiąc – to jest, przynajmniej w wypadku Dudały, najlepszy (teoretycznie) i najważniejszy czas życia. Czas, który został bezpowrotnie zmarnowany. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że za życie tych dwóch mężczyzn z Mazur Adam Dudała musiał zapłacić własnym życiem. I tego nie da się cofnąć.

Oczywiście, zakład karny nie jest tu niczemu winny, ale po co prowokować dziennikarzy do utrudniania pracy?

Dyrektor ZK w swym uzasadnieniu zasugerował, że wywiad z osadzonym mogę przeprowadzić drogą telefoniczną. Spędziliśmy na łączach kilka godzin, podzielonych na dziesięciominutowe rozmowy. Ten wywiad trwał więc wyjątkowo długo.

**Artur Górski:** Co czuje człowiek, który niewinnie spędza połowę swego życia za kratami?

**Adam Dudała:** To jest po prostu tragedia, to jest coś, czego nie jestem w stanie opisać. W jakimś sensie ciągle jestem „w śledztwie”, ciągle czekam na to pozytywne rozstrzygnięcie. Obserwuję innych chłopaków, którzy siedzą razem ze mną – oni wiedzą, za co ponoszą karę, pogodzili się z tym, gdzie są, a dla mnie wciąż trwa śledztwo, choć tak naprawdę – nie ma żadnego śledztwa.

**AG:** Cofnijmy się o kilkanaście lat. Co pan czuł, kiedy usłyszał pan, że sąd apelacyjny utrzymał w mocy wyrok skazujący?

**AD:** Świat mi się zawalił, to oczywiste. Stało się coś, czego nie spodziewałem się ani ja, ani moi prawnicy, ani moja rodzina. Jadąc na proces, miałem pewność, że kończą się moje problemy i wracam wreszcie do domu. Po czterech latach aresztu śledczego! Tak się złożyło, że na rozprawę apelacyjną dowozili mnie ci sami funkcjonariusze, którzy eksportowali mnie na rozprawę w sądzie okręgowym. I oni już nawet nie chcieli mnie skuwać, bo uważali, że nie warto – tak jak ja byli przekonani, że za chwilę będę wolny. Kiedy podeszła do mnie rodzina, dowódca konwoju powiedział do Patrycji: „A pani to niech już jedzie domu kotlety smażyć, bo pewnie pan Adam ma ochotę na jakiś porządny obiad”. Jednym słowem, pełna sielanka. Byłem pewien pozytywnego rozstrzygnięcia, bo inni oskarżeni przekonywali, że nie było mnie z nimi w tamte feralne dni. Co ciekawe, sąd nie ogłosił wyroku na sali, ale dopiero po tygodniu od rozprawy.

**AG:** Te cztery lata aresztu śledczego spędził pan w różnych jednostkach?

**AD:** Zasadniczo w Białymstoku, ale co jakiś czas byłem wożony po Polsce, trochę czasu spędziłem na Białoleśce. Często odwiedzali mnie funkcjonariusze CBŚ próbujący skłonić mnie do współpracy.

**AG:** Czy chodziło im wyłącznie o przyznanie się pana do zabójstw na Mazurach?

**AD:** Powiedziałbym, że to ich najmniej interesowało. Rzucali różne hasła i czekali, jaka będzie moja reakcja. Na przykład Baranina, zabójstwo ministra Jacka Dębskiego, grupa pruszkowska – same wielkie sprawy.

**AG:** A miał pan wiedzę na temat Jeremiasza B. Baraniny i jego udziału w zabójstwie ministra Dębskiego?

**AD:** Oczywiście, że nie! Ja naprawdę nie byłem członkiem grupy przestępczej – po prostu znałem wielu gości z półświatka, ale to jeszcze nie znaczy, że cokolwiek wiedziałem o najgłośniejszych sprawach.

**AG:** Dębski zginął w tym samym roku, w którym pan został zatrzymany. Może uważali, że za spust w mafijnych egzekucjach – i tych większych, i tych na lokalną skalę – pociąga ten sam palec.

**AD:** Aż tak naiwni nie byli. Mówili mi: „Adam, my wiemy, że to lewizna i na pewno nikt cię nie będzie ciągał po sądach za te sprawy, ale musisz zacząć myśleć o sobie. Musisz nam coś podrzucić, inaczej będziesz tu gnić latami”.

**AG:** Niezły sposób na pozyskiwanie dowodów. Myślę, że niejeden w pańskiej sytuacji, coś by sobie „przypomniał”.

**AD:** Z pewnością. Kiedyś przyjechali do mnie do Białegostoku funkcjonariusze z „pezetów”, czyli z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. I oni też próbowali mnie wmanewrować w sprawy, o których nie miałem zielonego pojęcia. I też cały czas powtarzali, że powinienem zacząć myśleć, bo z myślenia wynikają same dobre rzeczy.



**AG:** Rozumiem, że Pershing, a raczej sprawa zabójstwa Pershinga, też policję interesował?

**AD:** Naturalnie, oni wszyscy bardzo podkreślali, że miałem bliskie relacje z Andrzejem, więc muszę wiedzieć bardzo dużo i o nim, i o tych, którzy mu życzyli jak najgorzej. Oczywiście, znałem Pershinga od małolata, włóczyłem się z nim po mieście, po kasynach, po knajpach, między innymi bywaliśmy w Szampańskiej (nieistniejąca bardzo popularna restauracja w warszawskich Domach Centrum – przyp. AG). Byłem z nim również na imprezie w Ustce, ale to mniej interesowało organy ścigania, bo stanowiło dowód na to, że nie zabiłem tych ludzi na Mazurach.

**AG:** W jakimś więc sensie oczekiwano od pana odegrania określonej roli. Do aresztu „wjechał” pan jako podejrzany o zabójstwo. Czy próbował pan przekonywać zarówno funkcjonariuszy SW, jak i współosadzonych, że jest pan niewinny?

**AD:** Takie przekonywanie nie ma najmniejszego sensu, bo co można na tym ugrać? I u kogo? SW nie ocenia tego, kto i za co tam się znalazł, tylko realizuje swoje zadania. Zresztą, w zakładach karnych siedzą prawie sami niewinni. Oczywiście żartuję. Mało kto się przyznaje do tego, co zrobił – wszyscy są przyzwyczajeni do skarg na błędy wymiaru sprawiedliwości. Dlatego uznałem, że lepiej będzie dobrze przygotować się do rozprawy, niż marnować czas na uzalanie się. Ci osadzeni, którzy byli przekonani o mojej winie, traktowali mnie nawet z pewnego rodzaju szacunkiem. Wielu z nich, już po wyjściu na wolność, dowiadywało się czy to z mediów, czy z relacji osób znających moją sprawę całej prawdy. I wtedy byli w prawdziwym szoku. To on naprawdę siedzi niewinnie?!

**AG:** Rozumiem, że jako podejrzany o brutalne zabójstwo trafił pan na „enkę”?

**AD:** O dziwo, nie! Po dwóch tygodniach spędzonych na przejściówce wrzucono mnie na zwykły oddział – półotwarty, do trzyosobowej celi. Nie byłem zatem traktowany jak więzień niebezpieczny.

**AG:** No, ale więzienie to więzienie – nowe doświadczenie...

**AD:** Niezupełnie – za kratami znalazłem się po raz trzeci, przy czym dwa poprzednie pobyty również były aresztem śledczym, bez wyroku. Pierwszy raz, za małolata, przesiedziałem sześć miesięcy, ale w końcu uznano, że zostałem niesłusznie podejrzany, i wyszedłem na wolność. Za drugim razem, wiele lat później, byłem podejrzany o udział w napadach na hurtownie – ta sprawa została

zawieszona. O dziwo, kiedy już znalazłem się w areszcie z zarzutem zabójstwa, przypomniano sobie o sprawie i ją wznowiono. Ja oraz inne osoby, które dostały zarzuty, poddaliśmy się dobrowolnej karze. Tu wyrok był raczej niewielki, ale wykorzystano tę okoliczność przeciwko mnie – uznano, że należy mnie traktować jak recydywistę. Kiedy już siedziałem za dwa zabójstwa i starałem się o zgodę na udział w zajęciach kulturalno-oświatowych poza terenem zakładu karnego, wychowawca powiedział mi, że jeszcze się do tego nie kwalifikuję. Byłem zdumiony: dlaczego? Czy sprawiam jakieś problemy? Odparł mi, że miałem kiedyś „niepowrót” do jednostki i władze zakładu karnego obawiają się, że znowu zniknę.

**AG:** A rzeczywiście miał pan na koncie „niepowrót”?

**AD:** Nie miałem. I rzekomo dotyczyło to mojego drugiego pobytu w areszcie śledczym w 1995 roku. Zapisalem się na rozmowę z funkcjonariuszem SW, z którym chciałem wyjaśnić tę sprawę. Zapoznał się z dokumentami i uznał, że to nonsens. Okazało się, że nie było żadnego „niepowrotu”, a po prostu uchylono mi sankcję i wyszedłem z aresztu. Niestety, ten „niepowrót” ciągnął się za mną latami, bo jak coś raz znajdzie się w kwitach, to tego już się nie da wymazać.

**AG:** O ile wiem, „niepowrót” z sankcji, czyli aresztu śledczego, jest po prostu niemożliwy, bo osoby tymczasowo aresztowane nie wychodzą na przepustki czy do pracy na zewnątrz.

**AD:** Nie chcę tego komentować – czasami ci, którzy mają pomagać, bardziej szkodzą. Problem też mam z wpisem, że do aresztu zostałem doprowadzony siłą. A przecież ja się dobrowolnie zgłosiłem na policję! I do tej pory nie wróciłem do domu. No, ale to jest tylko słowo przeciwko temu, co zostało napisane.

**AG:** Kiedy pozwolono panu na spotkania z rodziną? Wiem, że niektórzy osadzeni w areszcie mają problemy z uzyskaniem na to zgody.

**AD:** Ja też musiałem trochę poczekać – dopiero po trzech miesiącach zobaczyłem się z moją żoną, Patrycją. Oczywiście, na początku mogliśmy rozmawiać wyłącznie przez szybę z pleksiglasu, ale dzięki dobremu adwokatowi z Białegostoku udało się zmienić okoliczności naszych widzeń. Miesiąc później już spotykaliśmy się na sali widzeń, przy stoliku.

**AG:** Związek z Patrycją, wówczas narzeczoną, nie wytrzymał próby czasu. Dwie dekady za kratami to wystarczająco dużo czasu, żeby zawaliło się wszystko, co nie musiałyby się zawalić, gdyby był pan na wolności.

**AD:** To, co straciłem, można wyliczać w nieskończoność. Zmarła moja siostra, Ewa – osoba, która bodaj najbardziej walczyła o moje uwolnienie i o moje dobre imię. Umierała na raka przez ponad dwa lata, ale do samego końca próbowała coś zdziałać w mojej sprawie. Kiedy odeszła, pozwolono mi na udział w pogrzebie, ale przywieziono mnie jak jakiegoś potwora: nogi i ręce skute, w więziennym uniformie, obok uzbrojeni funkcjonariusze Grupy Interwencyjnej Służby Więziennej. Nie pozwolono mi podejść do trumny – musiałem stać na uboczu i z odległości patrzeć na ceremonię pogrzebową.

**AG:** Może takie są procedury.

**AD:** Może są, a może wszystko zależy od decyzji dowódcy konwoju. Nie chcę tego oceniać, to było straszne przeżycie. Śmierć siostry pociągnęła za sobą dalsze skutki – ona opiekowała się moimi rodzicami, którzy są ludźmi starymi i niedołącznymi. Mój ojciec cierpi na zaniki pamięci, a matka – po tylu przeżyciach – jest w tragicznym stanie psychicznym. Są też w bardzo złej sytuacji materialnej – często nie stać ich nawet na wykupienie lekarstw. Próbuję jakoś ogarniać ich sprawy, ale jest to bardzo trudne zza krat. Właściwie niewykonalne. Kiedy dzwoni do mnie matka, wciąż błaga, żebym napisał kolejne podanie o zwolnienie, bo jeśli nadal mam być za kratami, to ona już nie chce żyć. Takie rozmowy są dla mnie bardzo ciężkie.

**AG:** Wiem, że rozmowa o rozpadzie małżeństwa też nie będzie lekka, ale...

**AD:** Z takim obrotem spraw mogłem się liczyć. Kiedy nie ma bliskości, codziennego obcowania dwojga ludzi, to związek wcześniej czy później musi się skończyć.

**AG:** Kiedy pana aresztowano, Patrycja była jeszcze narzeczoną?

**AD:** Tak, nieco wcześniej oświadczyłem się jej, ale terminu ślubu nie zdążyliśmy ustalić. Pobraliśmy się już w zakładzie karnym w Białymstoku. Oczywiście, nie od razu – cały czas żyliśmy w przekonaniu, że koszmar się skończy, wyjdę na wolność i wtedy staniemy przed ołtarzem. No, ale kiedy stało się jasne, że to jeszcze potrwa, kiedy już dostałem wyrok, zdecydowaliśmy się na ślub za kratami.

**AG:** Jak wygląda taki ślub?

**AD:** To dość osobliwe przeżycie. Najpierw dostaliśmy zgodę nie tylko na obecność świadków, ale także najbliższej rodziny, w sumie chodziło o dziewięć osób, ale w dniu ślubu okazało się, że mogą być tylko świadkowie. Rodzice



musieli zostać za bramą. Czekali przy przystrojonym samochodzie, którym miała odjechać Patrycja.

Sama uroczystość przebiegła w miarę dobrze – była kamera, był magnetofon, z którego puszczono marsz Mendelssohna, był szampan Piccolo. Prawie jak w pałacu ślubów. Prawie... Urzędnik, który udzielał nam ślubu, powiedział, że widział już wiele takich uroczystości, także w zakładach karnych, ale ta naprawdę zrobiła na nim wrażenie.

**AG:** Ślub się odbył w sali widzeń?

**AD:** Nie, władze jednostki użyczyły nam jakiegoś pomieszczenia administracyjnego, być może sali odpraw – pamiętam, że na ścianach były gabloty, w których znajdowały się mundury i chorągwie. Oczywiście, nie mogło zabraknąć też godła państwowego.

**AG:** Po jakim czasie Patrycja uznała, że już dłużej nie wytrzyma tego czekania?

**AD:** Wytrzymała naprawdę długo, podziwiam ją. To się stało, kiedy już trafiłem do Iławy, a więc po kilku latach. Akurat wtedy zabrano mi przepustki, ograniczono prawo do wychodzenia do pracy poza teren zakładu, wysłano mnie w transport do Rzeszowa i nie było mowy, abyśmy mogli chociaż udawać prawdziwe małżeństwo. W jakimś sensie decyzja o rozstaniu była wspólna – ona chciała ułożyć sobie normalne życie, a ja nie miałem prawa jej tego zabronić. To była dla niej taka szarpanina, że trudno to sobie wyobrazić. Wielu moim kolegom spod celi małżeństwa rozpadały się już po kilku miesiącach odsiadki – nasz związek przetrwał lata. W końcu i to straciłem...

## Bujając w furgonetce

Konwój więźniów czy oskarżonych przewożonych do sądu to jeden z tych motywów, bez których trudno sobie wyobrazić dobre kino sensacyjne. Wiadomo, że kiedy rusza taki transport z trudnymi pasażerami, to konwojenci będą mieli poważne kłopoty – albo na pokładzie zacznie się krwawa rozróżba, albo ktoś zatrzyma furgonetkę i umożliwi więźniom ucieczkę. Ten, kto oglądał *Ściganego* z Harrisonem Fordem w roli głównej czy *Uciec, ale dokąd* z Jeanem-Claude'em Van Dammem, doskonale wie, że do przewożenia trudnych pasażerów trzeba odpowiedniego „biura podróży”. A jednak – przynajmniej w filmie – zdarzenia wymykają się spod kontroli i nawet najbardziej doświadczeni konwojenci bywają bezradni wobec sprytu i determinacji tych, którzy chcą „dać w długą”. To, oczywiście, kino. A jak rzeczywistość ma się do hollywoodzkich produkcji? Czy praca funkcjonariuszy przewożących osadzonych naprawdę obarczona jest tak wielkim ryzykiem i czy zdarzają się konwoje, z których znikają więźniowie? Rozmawiam z Damianem (imię zmienione), byłym oficerem policyjnego wydziału konwojów.

**Artur Górski:** Zdarzają się takie sytuacje jak na *Ściganym*?

**Damian:** W ciągu wielu lat mojej pracy w konwojach aż tak dramatycznych sytuacji nie przeżyłem. Podejrzewam, że w Ameryce też nie są na porządku dziennym, ale to prawda, że musimy być przygotowani na różne warianty. Bo, rzeczywiście, osadzeni to specyficzny gatunek „turystów”. I naprawdę potrafią dać konwojentom w kość.

**AG:** Mnie transport więźniów kojarzy się z kabarynami, czyli furgonetkami Służby Więziennej, a nie z policją. Kiedy przewozi SW, a kiedy policja?

**Damian:** O ile wiem, SW zajmuje się transportem osadzonych w innych sytuacjach. Nie byłem w SW, nie znam zakresu obowiązków jej konwojentów.

Policja odwozi oskarżonych do sądu czy prokuratury. Czyli osoby jeszcze bez wyroku. Albo z wyrokiem, ale stojących do kolejnej sprawy. I nie są to wyłącznie trasy krajowe – bardzo często policyjni konwojenci jeżdżą po całej Europie, żeby odebrać osoby w ramach ekstradycji. To jest olbrzymia skala działań – po

kilkadziesiąt osób miesięcznie. Zdarzają się konwoje z Australii czy ze Stanów Zjednoczonych.

**AG:** Z Australii czy USA raczej nie przejedzie się furgonetką.

**Damian:** My na taką pracę mówimy „Konery”.

**AG:** „Konery”?

**Damian:** Od filmu *Con Air – lot skazańców*. Tam też transportowano więźniów drogą powietrzną. Chcę tylko zaznaczyć, że wydział nie zajmuje się wyłącznie transportowaniem złodziei, ale też zabezpiecza sędziów. A nawet świadków koronnych udających się na rozprawę. Wachlarz obowiązków jest naprawdę bardzo szeroki.

**AG:** Czy to oznacza, że policjanci konwojenci mierzą się z większym ryzykiem?

**Damian:** Nie chcę oceniać zagrożeń, z jakimi się muszą mierzyć funkcjonariusze SW. Mogę mówić wyłącznie o konwojach policyjnych.

Wozimy między innymi oskarżonych, którzy dopiero jadą z aresztu śledczego na rozprawę czy do prokuratury i zupełnie inaczej postrzegają rzeczywistość niż skazani – zdarzają się wśród nich osoby naprawdę agresywne, roszczeniowe, trudne do okiełznania. Nie można też wykluczyć, że pojawi się próba odbicia takiego delikwenta. Dziś może takie zagrożenie nie jest duże, ale w czasach wielkich grup przestępczych, Pruszkowa czy Wołomina, nie można było lekceważyć takiej możliwości.

**AG:** Z kim są największe problemy?

**Damian:** Różnie. Czasami facet, który jedzie na proces o alimenty, ma już wyroki z „grubszych” paragrafów. Wszyscy myślą, że to jakiś śmieszny gość, który się pogubił w życiu, a to prawdziwy przestępca, z wyrokiem za udział w zorganizowanej grupie. Dlatego tak ważne jest wiedzieć, kogo tak naprawdę się wiezie.

Kiedyś, jako młody policjant, miałem taką sytuację, że przewoziliśmy z zakładu karnego, jak nam się wydawało, jakiegoś dziadka. Zapowiadała się łatwa robotka. Wieźliśmy go polonezem do prokuratury w mieście powiatowym. Zajeżdżamy na miejsce, a tam wszystko wyłączone, kwartał ulic wokół gmachu prokuratury niedostępny dla zwykłych ludzi – stan podwyższonej gotowości. Popatrzyliśmy po sobie: to jaką szychę my przewozimy?! Okazało się, że to był wysoko postawiony członek wielkiej zorganizowanej grupy przestępczej – naprawdę ważna i potencjalnie niebezpieczna persona. Jechał w związku z jakąś starą

sprawą, z pospolitą kradzieżą. Muszę przyznać, że kłopotów nam nie robił. Zdarza się jednak, że dowódca konwoju, kiedy zorientuje się, że ma do czynienia z prawdziwym „kotem”, prosi o wsparcie, bo wie, że dysponuje siłami nieadekwatnymi do sytuacji.

**AG:** Rozumiem, że gdybyście wiedzieli, kim jest, pojechalibyście jakimś poważniejszym sprzętem niż polonez? Czym policja transportuje osadzonych?

**Damian:** Pojazdami adekwatnymi do sytuacji, choć pamiętajmy, że w tamtych czasach konwój polonezem był czymś zupełnie normalnym. I ze środkami, które są niezbędne. Nie będę wchodził w szczegóły, bo nie o wszystkim mogę powiedzieć.

**AG:** Rozumiem. Kiedy, wraz z Jarosławem Sokołowskim, pisaliśmy tom *Masa o życiu świadka koronnego*, musieliśmy zrezygnować z wielu atrakcyjnych opisów, a nawet trochę je zafałszować. Nie oczekuję więc detali.

**Damian:** Kiedy na przykład transportuje się „enkę”, czyli więźnia niebezpiecznego, wtedy konwojenci są wyposażeni w broń długą, hełmy, kamizelki kuloodporne i różne inne środki przymusu bezpośredniego.

Oczywiście pojazd musi być pewny, bezawaryjny. Jeśli furgonetka z takim pasażerem rozkraczy się gdzieś w środku pola, to mogą być poważne problemy. Konwojentów też z reguły jest więcej, choć „enka” „ence” nierówna. To zresztą dotyczy nie tylko „enek”.

Przewoziliśmy kiedyś faceta, który ubiegał się o „sześćdziesiątkę” (skruszony przestępca, który w zamian za zeznania może liczyć na złagodzenie kary na mocy artykułu 60 Kodeksu karnego – przyp. AG), do sprawy relatywnie niewielkiego kalibru. Był skruszonym członkiem gangu specjalizującego się w kradzieży rowerów. I wszyscy pukali się w czoło: jak możecie takiego leszcza traktować na równi z członkami grup zbrojnych? Nawet w prasie dziennikarze się oburzali, że dajemy ochronę tak nieważnej osobie. A oni kradli te rowery na wręcz niewyobrażalną skalę – wyciągali z tego miesięcznie ponad dwa miliony złotych! To była zatem poważna ekipa przestępcza i skruszonego przestępcę należało potraktować z pełną powagą.

Zdarzali mi się też oskarżeni zupełnie innego kalibru – zabezpieczałem stojącego przed sądem generała Wojciecha Jaruzelskiego, który odpowiadał za masakrę w Gdańsku w 1970 roku. Byli też inni prominenci PRL, łącznie z byłym I sekretarzem KW PZPR w Gdańsku Stanisławem Kociołkiem. To on miał wydać zgodę na strzelanie do robotników.

Nie zapomnę pewnej reporterki dużej stacji telewizyjnej, która na sali sądowej pytała ludzi: „A który to jest ten Jaruzelski?”.

**AG:** Jak zachowują się ludzie w transporcie? Przecież nie wszyscy są grzeczni i potulni.

**Damian:** Najczęstszym problemem w czasie transportu są... papierosy. Powiedzmy, że jedzie dziesięciu osadzonych, mają przed sobą kilkaset kilometrów i każdemu chce się jarać. Teoretycznie palenie w transporcie jest zabronione, ale w praktyce zdarza nam się przymknąć na to oko. Mój patent polegał na tym, że godziłem się, aby palił tylko jeden, a dziewięciu czekało na swoją kolej. Gdy kończył, zaczynał palić drugi. Policjant też musi być człowiekiem, tym bardziej że pozwolenie na palenie zapobiegało wybuchom agresji.



**AG:** Da się wytypować tego, z którym mogą być problemy?

**Damian:** Doświadczony dowódca konwoju wychwyci go już przy wsiadaniu do pojazdu. Taki facet zawsze ma pretensje do wszystkich i o wszystko, nic mu się nie podoba, wszyscy mu zawinili.

**AG:** A czy to prawda, że im mniejszy wyrok, im niższy szczebel więziennej hierarchii, to roszczenia i skłonność do agresji większe?

**Damian:** Tak, to prawda. Dużi bossowie nie są agresywni wobec konwojentów, a nawet okazują im coś w rodzaju szacunku. Często woziłem szefów grup przestępczych i nie mogę o nich powiedzieć złego słowa. Jeśli czegoś od nas chcieli, powiedzmy, zamienić kilka słów z kimś bliskim, kogo zobaczyli na sądowym korytarzu, grzecznie pytali, a nie domagali się. Zresztą umożliwienie, czy raczej obietnica umożliwienia, kontaktu z bliską osobą, na przykład z dzieckiem czy ukochaną, to silna karta przetargowa w rękach konwojenta. Zdarza się, że osadzony wie, że pod salą sądu czy prokuratury będzie ktoś czekał. I jemu bardzo na tym spotkaniu zależy. Wtedy mówi się: „bądź grzeczny, a może pozwolę ci z nią pogadać”. A czy rzeczywiście dojdzie do takiego kontaktu, to już zupełnie inna sprawa. Ja z reguły starałem się iść ludziom na rękę.

**AG:** Wróćmy zatem do tych, którzy robią problemy. Na czym one polegają?

**Damian:** Wyobraź sobie grupę, która opuszcza sąd: usłyszeli wyroki, wiedzą, że najbliższe lata spędzą za kratami, są wściekli. Jeśli zabronisz im zapalić – znów wracam do wątku papierosów – mogą być nieobliczalni. Na przykład rozbijają radiowóz i doprowadzą do wypadku. Oczywiście, można użyć gazu łzawiącego, ale lepiej jakoś „zwentylować” ich emocje.

**AG:** Zdarzyła ci się taka sytuacja?

**Damian:** Naturalnie. Zapewniam, że pobyt w wozie, który może za chwilę przewrócić się na bok, jest średnią przyjemnością. I trzeba działać. Nigdy nie dążyłem do konfrontacji z rozjuszonymi osadzonymi – chciałem tylko rzetelnie wykonać swoją pracę i spokojnie wrócić po służbie do domu. Dlatego często przed rozpoczęciem transportu pytałem: „Panowie, czy ktoś ma jakiś problem? Bo jeśli ma, to chcę o tym wiedzieć. A jeśli nie ma, to niech tak zostanie do końca”.

**AG:** Co się jeszcze może wydarzyć w czasie transportu?

**Damian:** Nie wolno dopuścić do przekazania grypsu. Ani do osadzonych, ani od nich. A wiadomo, że próby przekazania są bardzo częste. Szczególnie w mniejszych miastach, powiatowych, gdzie prowadzi się osadzonych przez tłum i wtedy naprawdę łatwo o kontakt. Zresztą, są różne patenty. Kiedy ten, kto chce podrzucić gryps, zobaczy niedoświadczonego policjanta, zapyta go, czy może znajomkowi dać papierosy. I policjant czasem się zgadza.

**AG:** A czy zdarzają się rozmowy policji z przewożonymi? Droga bywa długa i czasem człowiek ma ochotę zamienić z kimś kilka słów.

**Damian:** Oczywiście, wiele z takich rozmów wspominam całkiem miło. Transportowałem kiedyś starego złodzieja mieszkaniowego. I zapytałem go: „Jak mi pan radzi zabezpieczyć mieszkanie, żeby nikt się nie włamał?”. A on tylko się uśmiechnął i odparł: „Nie ma szans, żeby powstrzymać dobrego złodzieja. Im więcej zabezpieczeń, tym większe wyzwanie dla niego. Wejdzie choćby tylko z czystej ciekawości, żeby zobaczyć, co tam ukrywasz. Najlepiej drzwi zablokować deską i okręcić drutem – wtedy złodziej raczej nie będzie się fatygował”.

Z kolei pewien złodziej samochodów opowiadał mi o patentach na proste kradzieże fur. Na jednym osiedlu mieszkaniowym uszkodził bramę wjazdową do garażu. Żeby ją otworzyć, kierowca musiał wyjść z auta i posłużyć się kluczem. A jak już wysiadł, zostawiając oczywiście kluczyki w stacyjce i samochód na silniku, to złodziej wskakiwał za kierownicę i rura do Terespoła. Kiedyś go zapytałem: „Ile masz na koncie aut?”. A on uśmiechnął się i powiedział: „Udowodnionych koło setki, a nieudowodnionych – dwa razy tyle”. Szczery był z niego gość.

**AG:** A czy zdarzały się – tak jak na filmach – próby odbicia?

**Damian:** Za moich czasów prób fizycznego odbicia nie było, natomiast zdarzały się – i to dość często – próby ucieczki z konwoju. Co więcej, niektóre udane, choć na krótką metę. I nie uciekali poważni przestępcy, ale młodziaki z zarzutami typu szczaw, czyli drobnica. Bo trzeba nie mieć wyobraźni, żeby uciekać, szczególnie jeśli dostało się niewielki wyrok do odsiedzenia. Wiadomo, że ucieczka to dodatkowe miesiące, a nawet dłużej. Policja wyciągnie cię choćby spod ziemi, tak czy inaczej. Mnie się ucieczka nie przytrafiła, ale moim kumplom – niestety, tak. Radiowóz zatrzymał się pod sądem i konwojenci otworzyli pakę, żeby skuć klienta. Osadzony miał ze sobą butelkę, którą w nich cisnął, i dał w długą. Policjanci pobiegli za nim, nawet oddali kilka strzałów. Po trzech godzinach został zatrzymany i miał już dużo większy problem niż trzy godziny wcześniej.



Zdarzają się i takie sytuacje, kiedy to oskarżonego trzeba chronić – powiedzmy takiego, który staje za „majty”, czyli za gwałt. Doświadczony konwojent musi się zorientować, kto czeka pod salą rozpraw i czy nie jest to na przykład wściekły ojciec pokrzywdzonej, który miałby ochotę urwać łeb gwałcielowi. I podejść do ojca, wyrazić współczucie, pogadać z nim, a jednocześnie wytłumaczyć, że jakakolwiek agresja wobec oskarżonego nie ma sensu i niczego nie zmieni. Sytuacje nadzwyczajne tego typu są wysoce niepożądane, bo nikt na nich nie zyskuje, a policjanci mogą nawet stracić pracę. Między innymi dlatego w Komendzie Stołecznej, w ramach wydziału konwojowego, istnieje sekcja policji sądowej, która specjalizuje się w takich sytuacjach. Jej funkcjonariusze doskonale wiedzą, kto jest sędzią, kto jest mecenasem, a kto podejrzanym, który ma zwyczaj fikać. Zdarza się, że mecenas chce porozmawiać ze swoim klientem, a nie ma do tego prawa – może to zrobić wyłącznie w areszcie śledczym czy na sali rozpraw, jeśli sąd mu pozwoli. I w Warszawie nie ma takiej możliwości, żeby zakrzyczał policjanta i dostał się do oskarżonego.

**AG:** Wróćmy do wątku „Konerów” – o transportach lotniczych w ramach ekstradycji wiadomo stosunkowo niewiele. Robi się o nich głośno, gdy wpada i wraca do Polski ktoś znaczący lub medialny: a to wspomniany Słowik, zatrzymany w Hiszpanii, a to Kajetan Poznański, zabójca nauczycielki języka włoskiego, aresztowany na Malcie.

**Damian:** Ludzie nie zdają sobie sprawy, że z niektórych stolic europejskich przylatuje kilka konwojów tygodniowo. Jak przylatuje jeden, to jest sukces.

**AG:** Zawsze myślałem, że ekstraduje się normalnymi lotami pasażerskimi. W końcu Słowik wracał z Hiszpanii regularnym lotem, tyle że w tylnych rzędach.

**Damian:** Zależy, skąd się leci. Jeśli na niektórych lotniskach każdorazowo wsiada na pokład nawet do kilkudziesięciu chłopów, to raczej trudno wysyłać ich LOT-em. Wojsko daje samolot, a obstawa jest policyjna. Loty koordynuje Komenda Główna Policji.

**AG:** Gdzie odbieracie delikwenta?

**Damian:** Na lotniskach, ale dyskretnie, żeby nie wywoływać sensacji wśród normalnych podróżnych. Dowódca odbiera jego dokumenty i tyle. Formalności są ograniczone do minimum. Oczywiście facet jest skuty, często nie tylko ręce, ale także nogi. W przekazaniu bierze też udział oficer łącznikowy, czasami ktoś z ambasady, bo jednak mowa o obywatelu polskim.

**AG:** Czy głównie chodzi o Polaków, którzy coś przeskrobali na obczyźnie?

**Damian:** Nie, głównie są to ludzie, którzy popełnili przestępstwo w Polsce, ale uciekli za granicę. A trafiają niekiedy do bardzo odległych zakątków świata.

**AG:** Pewnie konwojent, który leci z Australii, byłby w szoku, gdyby spotkała go taka przygoda jak w *Con Air – lot skazańców*.

**Damian:** Oczywiście, trzeba być na wszystko przygotowanym, ale najbardziej należy uważać... na buty. Bo największe zagrożenie polega na tym, że konwojowany może po prostu zwymiotować. I to się zdarza. Tacy goście rzadko bywają agresywni – przecież nie zostali zatrzymani wczoraj, swoje już posiedzieli w zagranicznej puszce i raczej są potulni.

**AG:** Chyba generalnie przestępczość spotulniała?

**Damian:** Tylko pozornie. Widać coraz mniej „karków” na mieście, bo oni już na nikim nie robią wrażenia. To nie znaczy jednak, że nie ma już prawdziwych kozaków, ale oni o wiele rzadziej trafiają do puchy. Są inteligentniejsi od gangsterów z lat dziewięćdziesiątych, lepiej wykształceni i przygotowani do nielegalnego zarabiania pieniędzy. Kiedy taki wpada, wie, że kozaczenie w starym stylu po prostu nie ma sensu. Lepiej zastanowić się, jak opuścić więzienne mury i znów wrócić do zarabiania kasy na wielką skalę.

## **Żona więźnia – najtrudniejsza rola**

Ty nie miałaś żadnych złudzeń... Podczas gdy twój mąż wierzył jak dziecko, że wszystko skończy się dobrze, że na pewno nie trafi do więzienia, co najwyżej dostanie „opaskę”, czyli nadzór elektroniczny, ty doskonale wiedziałaś, że to nie jest jakiś pieprzony film science fiction, ale brutalne tu i teraz. Może gdzieś tam w świecie dają opaski, może gdzieś dają „zawiasy”, ale tu za karę idzie się do pierdła. I nie na dwa tygodnie, ale na dłużej. Owszem, w czasie postępowania przygotowawczego i w czasie samego procesu łudziłaś się, że ostro przepłacony adwokat znajdzie jakiś przepis, jakąś lukę, które uratują tyłek twojemu facetowi. Ale nie znalazł, chociaż tyle naobiecował.

Tak więc, kiedy zapadł ostateczny wyrok, ty zaczęłaś się psychicznie przygotowywać do nowej roli – roli żony osadzonego. Roli, której nie miałaś się gdzie nauczyć i której nigdy nie chciałaś odgrywać. Twój facet wciąż jeszcze nie pogodził się z tym, że trafi za kratki, a ty już go widziałaś w „służbowym stroju” zakładu karnego. Ktoś ci doradzał, żebyście nacieszyli się sobą, póki możecie, ale co to znaczy: nacieszyć się facetem, który jedną nogą już jest po tamtej stronie? Myślni byłaś już „na bramie”, czekając na widzenie.

\* \* \* \* \*

Kiedy zdarzył się ten nieszczęsny wypadek, Iwona i Jacek byli małżeństwem z siedmioletnim stażem. Ona – nauczycielka, on – właściciel niewielkiej firmy, działającej na rynku meblowym. Ich syn, Kamil (poczęty jeszcze przed ślubem), właśnie rozpoczął naukę w szkole podstawowej. Mieszkali w sporym mieście powiatowym, które przed reformą administracyjną 1999 roku miało status wojewódzkiego. Związek Iwony i Jacka był udany – w ich życiu wszystko toczyło się tak, jak miało się potoczyć: była miłość, były pieniądze (choć bez przesady), byli przyjaciele. Gdy Jacek trafił do aresztu – a właściwie na dołek, bo podczas procesu odpowiadał z wolnej stopy – została tylko miłość. Pieniądze zaczęły się rozplýwać w błyskawicznym tempie, a przyjaciele... Nie, nigdy nie było żadnych przyjaciół. Pewnego dnia Iwona dostała SMS-a, adresowanego do kogoś zupełnie innego, a omyłkowo wysłanego przez jej niby-przyjaciółkę. Treść

była następująca: „I dobrze bufonowi. Niech pocierpi – zasłużył. Nigdy go nie lubiłam. Ciekawe, jak sobie teraz Iwonka poradzi”.

Iwona przysięgła sobie wtedy, że da radę, wytrzyma, nie załamie się. Choćby świat się walił na łeb każdego dnia. Jeśli nie dla siebie samej, jeśli nie dla Jacka, to dla Kamila.

Kiedy w końcu za Jackiem zamknęła się brama, zaczęła się chwila próby. Bardzo długa chwila bardzo ciężkiej próby.

\* \* \* \* \*

**Artur Górski:** Czy da się – na czas – przygotować do roli żony osadzonego? Tak aby nie było żadnego zaskoczenia, żadnych sytuacji, w których nie wiadomo, jak się zachować?

**Iwona L.:** Jeśli jesteś żoną recydywisty, to jest to znacznie łatwiejsze. Ale dla kobiety, która mierzy się z tym problemem po raz pierwszy, to jest to szalenie trudna sytuacja. Nie da się przewidzieć, co będzie dalej – zarówno z nim, jak i z nią czy jej dziećmi. Nie wyobrażam sobie, jak to było kiedyś, kiedy skazanego zabierano do więzienia od razu z sali sądowej. Teraz jest przynajmniej kilka tygodni na to, aby jakoś się przygotować na ten cały dramat.

**AG:** A może to było lepsze? Czasem lepiej od razu wskoczyć do zimnej wody, niż stać nad brzegiem i zastanawiać się, jak to będzie.

**Iwona L.:** Może, ale ja sobie tego wówczas nie wyobrażałam.

**AG:** Jak wyglądał pierwszy dzień po ogłoszeniu wyroku?

**Iwona L.:** Standardowo – był płacz i lament. Poczucie totalnej bezsilności, moment, w którym wali się świat. Już następnego dnia włącza się racjonalne myślenie: przecież trzeba dalej żyć. I na ile się da – nie stracić tego, co się w życiu osiągnęło, a przynajmniej nie stracić wszystkiego. Mój mąż miał firmę, która całkiem nieźle prosperowała, a ja nie miałam o niej zielonego pojęcia. Gdybym z dnia na dzień musiała przejąć w niej stery, utopiłabym wszystko w kilka tygodni. Postanowiliśmy, że firmę przejmie brat Jacka – Paweł. Tyle że on mieszkał w Anglii, zapuścił tam korzenie i wcale nie uśmiechało mu się rzucać wszystko i lecieć do Polski, żeby ratować firmę brata. Poza tym Paweł nie miał takiego doświadczenia w prowadzeniu biznesu jak Jacek – no, ale, koniec końców, nie mieliśmy lepszego kandydata. Ostatecznie, Paweł się zgodził. Po raz pierwszy odetchnęłam z ulgą. Cały czas miałam w pamięci to, że mąż za kratami to bardzo duże koszty.

**AG:** Duże koszty? Są tacy, którzy twierdzą, że więzienie to wakacje na koszt państwa.

**Iwona L.:** Nonsens – jeśli masz kogoś bliskiego w zakładzie karnym, to musisz się przygotować na bardzo duże wydatki. Zacznijmy od sprawy podstawowej – dojazdów. Jeśli skazany odsiaduje karę gdzieś w pobliżu domu rodzinnego, podróż nie kosztuje fortuny. Jeśli jest osadzony kilkaset kilometrów dalej, to na benzynę trzeba wydać kilkaset złotych. Czasami trzeba przenocować w hotelu – to też nie jest za darmo. Idźmy dalej – kiedy przyjeżdżam do Jacka, muszę mu zrobić zakupy w kantynie. A ceny w kantynach są totalnie z kosmosu – mają się nijak do cen w normalnych sklepach.

**AG:** No, to może warto robić zakupy dla osadzonego na wolności.

**Iwona L.:** Nie bądź naiwny. Można robić zakupy wyłącznie w kantynie. Przynajmniej te spożywcze i artykuły higieniczne. Ubrania czy sprzęt RTV kupujesz na wolności.

**AG:** Czy mowa o zakupach z wypiski, czyli z „rachunku oszczędnościowego” skazanego?

**Iwona L.:** Kiedy przyjeżdżam do Jacka, to robię mu zakupy z własnych pieniędzy – nie chcę mu uszczuplać wypiski. Na marginesie – kiedy rodzina wpłaca więźniowi pieniądze na wypiskę, to połowa tej kwoty jest mu od razu blokowana. To jest traktowane jako coś w rodzaju funduszu na wyjście – żeby osadzony miał coś w kieszeni, jak już skończy mu się wyrok. Owszem, jest limit wypiski, coś powyżej dwóch tysięcy złotych, i jeśli wpłacisz więcej, to z tego już się nie odciąga pięćdziesięciu procent.

**AG:** A są jakieś limity dotyczące zakupów żywnościowych?

**Iwona L.:** Tak – paczkę higieniczną i żywnościową możesz zrobić jedynie raz w miesiącu. No, chyba że osadzony dostanie nagrodę w postaci dodatkowej paczki, to wtedy możesz liczyć na więcej. Oprócz tego on może robić sobie zakupy w kantynie, ale nie częściej niż dwa razy w miesiącu.

**AG:** Co jeszcze pociąga za sobą koszty dla rodziny?

**Iwona L.:** Kiedy osadzony trafia na celę dla „świeżaków”, a więc tych, którzy znaleźli się pod celą niedawno i po raz pierwszy, to przeważnie tam nie ma nic – wszystko trzeba dokupić: czajnik, telewizor, radio, jakiś sprzęt grający. Tego zakład karny nie zapewnia – to już jest po stronie rodziny. A jeśli trafi się na celę

z takimi, których wszyscy na wolności mają gdzieś, obowiązek zakupu tych rzeczy spada na jedną rodzinę.

**AG:** Rozumiem, że w telewizorze nie obejrzy się Netflixa czy HBO?

**Iwona L.:** Nie – jedynie stacje telewizji naziemnej. Na tyle pozwala nasz system penitencjarny. Kolejny wydatek to ubrania – kiedy skazany stawia się na bramie, coś tam ze sobą ma. Wiadomo jednak, że tak naprawdę dopiero trzeba go ubrać. Oczywiście, pełnej szafy mu się nie zapewni, bo liczba ubrań też jest ograniczona regulaminem wewnętrznym, ale tak czy inaczej – ubrania się zużywają i wciąż trzeba kupować. Do tego dochodzą książki, zeszyty, gazety – nic nie jest za darmo. Dla wielu odbywających karę książka to jedyny sposób, żeby zająć głowę czymś innym niż czas upływający w bezsensownym miejscu.

**AG:** Czas płynie i nie każdy potrafi znieść jego presję.

**Iwona L.:** Czy chodzi ci o to, że wiele rozdzielonych par nie wytrzymuje próby czasu?

**AG:** Tak. Czy znasz takie przypadki? Pewnie nieraz, czekając na bramie na widzenie, miałaś okazję rozmawiać z kobietami znajdującymi się w takiej samej sytuacji jak ty.

**Iwona L.:** Rozpad związku to coś, co zdarza się naprawdę często. Czasami dwoje ludzi decyduje się na rozejście się od razu, czasami ta decyzja dojrzewa miesiącami czy latami.

**AG:** Zdarza się, że do więzienia trafia facet, który ma narzeczoną. I w obawie, że utraci ją w czasie odbywania kary, skłania ją do ślubu w zakładzie. Czy rzeczywiście taki ślub zwiększa gwarancję, że związek się nie rozpadnie?

**Iwona L.:** Dla mnie taki ślub to nieporozumienie – to absolutne zaprzeczenie tego, czym powinna być ślubna ceremonia. Nie chcę generalizować, bo czasami pary decydują się na taki krok z rzeczywistej potrzeby, ale w większości przypadków to jest zwykłe zaklinanie rzeczywistości: jest już moja, będzie moja. Co więcej, kiedy taka kobieta wróci do domu i uświadomi sobie, że w oczach innych jeszcze bardziej uzależniła się od osadzonego partnera, od absurdalnej sytuacji, zaczną się wątpliwości. Ba, nawet bunt! Tym bardziej że problemy są już od początku. Ona nie będzie miała pieniędzy, żeby mu uzupełniać wypiskę, a on będzie jej zarzucał, że trwoni ich środki na duperele. Pojawi się element zazdrości: co ona robi, dlaczego nie odbiera telefonów, czy w moim łóżku już pojawił się jakiś nowy fagas? Zresztą, te wątpliwości będą mu „podbijać”

koledzy, argumentując, że babom nie wolno ufać, że baby to lecą na „życie w błękitnie” i dadzą temu, który im to zapewni.

Podobno telefony na oddziałach są ciągle popsute, to wściekli więźniowie wyładowują na nich swoje emocje. Roztrzaskane słuchawki to codzienność.

Ale żeby było jasne – kiedy nie zdążę odebrać telefonu od Jacka, to jest to też dla mnie stres, bo mam świadomość, co się dzieje w jego głowie, i wiem, jaka nas czeka rozmowa, jak już się do mnie dodzwoni. I wyjaśnienia, że po prostu nie zdążyłam odebrać, niczego nie zmienia – w nim nieufność narasta lawinowo.

**AG:** A wiesz dokładnie, kiedy on zadzwoni?

**Iwona L.:** Mniej więcej. Wiem, jakiego dnia, ale jeśli chodzi o konkretną godzinę, nie. Nie jestem w stanie cały czas warować z komórką przy uchu. Zresztą te kontakty telefoniczne też nie są zbyt komfortowe – rozmawiasz ze swoim facetem, a słyszysz głosy innych rozmawiających. Czasami więźniowie muszą się przekrzykiwać. A największą porażką jest Skype – bo przez niego także można rozmawiać z osadzonymi.

**AG:** Wolno korzystać ze Skype'a?

**Iwona L.:** Tak, oczywiście przy zachowaniu pewnych procedur. To nie jest tak, że osadzeni mają nieograniczony kontakt ze światem. Ja muszę podać swój login i podpisać oświadczenie, że wyrażam zgodę na takie połączenie. Do dyspozycji więźniów są komputery choćby w salkach szkolnych czy świetlicy.

**AG:** A gdzie tu ta wspomniana przez ciebie porażka?

**Iwona L.:** Wyobraź sobie kilkunastu chłopca, stłoczonych w niedużej salce, którzy łączą się z rodzinami. Nie oszukujmy się, sprzęt, którym dysponują zakłady karne, nie jest najwyższej jakości. Często coś nie łączy, słuchawki szwankują, wkurw narasta, zaczynają się krzyki, rzucanie mięsem, nawoływania funkcjonariuszy, nie słychać osoby, z którą miałaś porozmawiać. Ile razy korzystałam z tego udogodnienia, kończyłam połączenie w rozpacz.

**AG:** No, ale chyba jest jakąś wartością dodaną to, że widzisz na ekranie osobę, za którą tęsknisz.

**Iwona L.:** Jasne. I widzę tylko, jak porusza ustami, ale nie dociera do mnie żaden konkretny przekaz. A najgorsza rozmowa była wtedy, kiedy zadzwonił do mnie, kiedy byłam na wczasach w Bułgarii. Wyobrażasz to sobie? Leżę na plaży, w bikini, opalona, przede mną morze, nade mną błękitne niebo, w ręku kolorowy drink. A on łączy się z ponurego, spiałego oddziału więziennego i to wszystko

widzi. Oczywiście wiedział, że jadę na wakacje – ostatecznie Kamilowi to się należy, ale... to była bardzo trudna rozmowa. Wyczułam, że ma do mnie żal, i że nie wierzy, że nie kręcą się przy mnie jacyś przystojni faceci. Czasem odnosiłam wrażenie, że byłby zadowolony, gdybym wstawiła w naszym mieszkaniu kraty w oknach i nie wychodziła na zewnątrz. Pewnie pas cnoty też byłby mile widziany.

**AG:** Trudny temat.

**Iwona L.:** Cholernie trudny. Wiem, że jakoś to przełknął, bo jednak chodziło o wakacje dla naszego syna. Ale gdybym oświadczyła, że zamierzam wyjechać nad ciepłe morze z przyjaciółką, to on by tego nie zrozumiał. A raczej – nie wybaczył. Zresztą empatia nie jest silną stroną osadzonych. Podczas tych wspólnych sesji na Skypie słyszałam różne zarzuty, jakie padały ze strony innych osadzonych. Jeśli na przykład do komputera nie chciało podejść dziecko, od razu artykułowany był zarzut: „To przez ciebie, suko, tak go wychowałeś! Wiem, co ty mu wygadujesz na mój temat, nastawiasz go przeciwko mnie. Ale poczekaj... jak wrócę, to...”. Generalnie – więzień uważa, że to jemu jest ciężko. Tymczasem tak naprawdę ciężko jest jego kobiecie.

**AG:** Chyba szczególnie podczas rozmów z dziećmi. Rozmów na temat tego, co się dzieje z tatą.





**Iwona L.:** Kiedy dzieci są już w miarę rozgarnięte, powiedzmy w wieku szkolnym – mówi im się prawdę. Oczywiście, prawdę, którą rozumieją i która nie wywoła w nich przesadnej traumy. Nie demonizuje się więzienia, a raczej przedstawia je jako zamknięty ośrodek, gdzie dobrzy ludzie pomagają tacie, który pobłądził, wrócić do dawnej rzeczywistości. Jeśli dziecko jest małe, opowiada mu się bajki o tacie w pracy, w delegacji, o jakimś kolejnym zajęciu taty, które jest bardzo absorbujące i wymaga, aby był daleko.

**AG:** No, ale przecież kobieta idzie do zakładu karnego w odwiedziny razem z dziećmi, i wtedy wszystko staje się jasne.

**Iwona L.:** Maluchowi można wcisnąć kit. Na kraty nie zwróci uwagi, a skoro tata pojawia się w cywilnym ubraniu, bez kajdanek, to znaczy, że u niego wszystko w porządku. W kantynie można kupić czekoladę czy lizaka, przeważnie jest kącik zabaw, dziecko zajmie się sobą, więc godzina jakoś zleci. No, ale nastolatek nie będzie miał złudzeń.

**AG:** O czym rozmawiają osadzeni z dziećmi?

**Iwona L.:** Najpierw są pytania standardowe – o szkołę, o zainteresowania, o sukcesy w piłce nożnej czy w muzyce. A potem zaczynają się wtręty: a mama to często jest w domu? Zdarza się jej wychodzić? Spotyka się z kimś? Dlaczego czasami nie odbiera telefonów? Widzenia nie są miłe – to czas spędzony na beczcze prochu. Zresztą, od kiedy w dobie covidu wprowadzili przepierzenia z pleksiglasu, można zrozumieć jedynie jedną trzecią z całej rozmowy. Może to i lepiej?

**AG:** Wasz związek też nie wytrzymał próby czasu. Czemu?

**Iwona L.:** Właśnie przez tę jego urojoną zazdrość. W pewnym momencie straciłam ochotę, aby odpierać jego zarzuty czy raczej podejrzenia, że pewnie puszczam się na lewo i prawo. A możesz mi uwierzyć, że przez długi czas nawet nie spojrzałam na innego faceta.

**AG:** Przez długi czas?

**Iwona L.:** Nie da się ukryć, że kobiecie bardzo ciężko wytrzymać tak trudny czas w samotności. Potrzebujesz oprzeć się na czyimś ramieniu i wypłakać – że mąż w pierdłu, że dziecko chore i ma czterdzieści stopni gorączki, że stan konta w banku topnieje jak śnieg na wiosnę.

A takiego ramienia obok ciebie nie ma. A jedyny facet, z którym możesz porozmawiać, postrzega cię jak jakąś kurwę i przypisuje ci wszystko, co mu

wyobraźnia i koledzy podpowiedzą. Jak długo uda ci się grać przed synem rolę twardzielki? Dzieciak nie jest głupi – doskonale orientuje się, że to liche przedstawienie.

I jeśli pojawi się ktoś, kto zaoferuje to ramię – to wszystko, czego ci brakuje, wtedy zaczyna się gonitwa myśli i kalkulacje: co tak naprawdę bardziej się opłaca. Coraz bardziej krytycznie spoglądasz na swojego dotychczasowego partnera: gdyby był porządnym człowiekiem, to przecież nie siedziałby w więzieniu. Może on wcale nie był dla mnie taki dobry, taki hojny, taki czuły, jak mi się kiedyś wydawało? Może nie jest aż tak zabójczo przystojny, jak sądziłam?

Niestety, gdy pojawia się wizja wielkiej zmiany, kobieta musi się sama przed sobą usprawiedliwić z decyzji, którą będzie musiała podjąć.

## Blondynka zakochała się w gangsterze

Ci, którzy widzieli operację zatrzymania lidera gangu wołomińskiego Janusza Cz. pseudonim Długi, byli pewni, że są świadkami kręcenia sceny filmu sensacyjnego. Czy rodzimego odpowiednika *Czasu Apokalipsy*, w którym helikopterowy desant został rzucony do walki z wyjątkowo groźnym przeciwnikiem. Rzeczywiście, akcja ta była jedną z najbardziej widowiskowych w historii polskiej policji, ale chodziło przecież o zatrzymanie bossa potężnej grupy przestępczej. Grupy kojarzonej z takimi tuzami półświatka, jak Jacek K. vel Młody Klepak, Robert R. vel Rudy czy wreszcie Janusz Cz. Policja musiała pokazać, że jest silniejsza od bandytów, więc 13 czerwca 2006 roku pojawiła się w pomorskim Białym Borze, gdzie znajdowała się letnia rezydencja Długiego, w pełnej gotowości bojowej: z helikopterami, opancerzonym wozem bojowym Dzik przeznaczonym do taranowania bram oraz dwudziestoma antyterrorystami. Szturm rozpoczął się o szóstej rano, a Długi i jego ludzie nie stawiali oporu. Oprócz członków gangu do aresztu trafił dyżurny operacyjny Komendy Głównej Policji, podejrzewany o współpracę z Wołominem.

Długi chyba nie spodziewał się takich gości – chwilę wcześniej wrócił z polowania i przed wejściem na swoje włości lustrował przez lornetkę okoliczne pola. Zamierzał udać się do łóżka.

Żony Długiego, Anny, nie było już wtedy w Białym Borze – musiała opuścić rezydencję poprzedniego wieczoru, bo miała coś do załatwienia w ich firmie. Konkretnie – urząd pracy zapowiedział kontrolę w ich restauracji na warszawskiej Pradze. Wyjechała razem z synem.

Jadąc do domu w Zielonce, przeczuwała, że wkrótce coś się może wydarzyć, bo nie było tajemnicą, że policja już od dawna depta po piętach wołomińskim gangsterom. Kiedy zatrzymała swojego mercedesa na niemieckiej rejestracji na stacji benzynowej w okolicach Torunia i weszła do środka, natknęła się na kilku wygolonych i napakowanych gości, którzy od razu skojarzyli się jej ze światem mafii. Patrzyli na nią, a ona unikała ich wzroku – chciała jak najszybciej zapłacić na paliwo i zniknąć, bo instynktownie wyczuwała, że mają do niej jakąś sprawę. Wskoczyła do mercedesa i ruszyła z piskiem opon – po chwili wskazówka prędkościomierza przekroczyła 200.

Jakiś czas później Anna usłyszy od policji: „Ależ ma pani ciężką nogę! Trudno było panią dogonić”. Jechali za nią od Białego Boru.

To nie byli bowiem gangsterzy, ale funkcjonariusze CBŚ. Ogon, który miał jej towarzyszyć aż do samej Zielonki, w której nastąpiło zatrzymanie. Również o szóstej rano. Niedługo później usłyszała zarzut przynależności do zorganizowanej grupy przestępczej. Ten, kto należy do najbliższej rodziny bossa, a szczególnie, gdy dzieli z nim łóżce, musi się spodziewać przykrych konsekwencji.

\* \* \* \* \*

**Artur Górski:** Trafiałś za kraty jako żona znanego i wpływowego bossa. Tak naprawdę, po rozbiciu Pruszkowa i struktur, które powstały na jego gruzach, twój mąż należał do ścisłej czołówki kryminalnego podziemia w skali całego kraju. Czy żonie bossa jest łatwiej, czy trudniej po tamtej stronie muru?

**Anna Cz.:** Trudne pytanie, bo ma to i lepsze, i gorsze strony. Pamiętaj – ja nie byłam traktowana wyłącznie jako żona szefa grupy przestępczej, ale sama też miałam poważne zarzuty. W sumie, za kratami byłam trzy razy – w odstępach co pięć lat. Dwa razy w areszcie śledczym i raz, już z wyrokiem.

**AG:** Jakie były zarzuty?

**Anna Cz.:** Ciężkie. Najpierw udział w zorganizowanej grupie przestępczej, a potem – udział w grupie o charakterze zbrojnym. Do tego zarzut handlu narkotykami. To bardzo duży kaliber.

**AG:** A czy nie było tak, że dostałaś rykoszetem za grzechy męża?

**Anna Cz.:** Nie chcę tego komentować. Mogę tylko zapewnić, że nigdy na nikogo nie zeznałam, nikogo nie obciążylałam. Także mojego męża. Prawda jest taka, że z żadną z osób, które wiązano ze sprawą mojego męża, nie miałam fizycznej styczności. Tymczasem jedna z nich zeznawała przeciwko mnie, czemu sąd – niestety – dał wiarę. Oczywiście, zarzut kierownictwa tej grupy usłyszał mój mąż, a ja poniosłam konsekwencje noszenia tego samego nazwiska. Wszyscy byli przekonani, że byłam jego prawą ręką, o wszystkim wiedziałam, wszystkich znałam. A ja byłam żoną i matką.

**AG:** Wracam do pytania: czy żonie bossa jest łatwiej, czy trudniej po tamtej stronie muru?

**Anna Cz.:** Bywa łatwiej, co do tego nie ma wątpliwości. Więzienie (także areszt śledczy) to instytucja mocno zhierarchizowana – nie każdy cieszy się takim samym szacunkiem: czy to współosadzonych, czy funkcjonariuszy SW. Nie oszukujmy się – dziewczyna, która wjechała za kradzież w kiosku i która tak naprawdę nie bardzo wie, gdzie i dlaczego się znalazła, nie będzie tak samo traktowana jak osoba z zarzutem udziału w grupie przestępczej. Oczywiście, że taka drobna złodziejka też chciałaby zabłysnąć, ale brakuje jej zaplecza w postaci ludzi, którzy ją znają – jeśli będzie opowiadała bajki, nikt tego nie potwierdzi. Mnie znało wiele osób, a przynajmniej o mnie słyszało, więc jakiś tam rodzaj szacunku miałam już od samego początku.

**AG:** To jeśli chodzi o relacje z osadzonymi. A jak traktowała cię służba?

**Anna Cz.:** Różnie. Czasy, gdy byłam zamknięta w areszcie śledczym, wspominam w miarę dobrze. Pracowały wtedy starsze oddziałowe, takie z dużym doświadczeniem zawodowym, i z nimi dawało się dogadać. Było wzajemne poważanie, grzecznie, nikt nikomu bez potrzeby nie stawiał zbędnych pytań. A nawet jeśli była okazja w czymś pomóc, to pomagały. Zresztą, to działało w dwie strony – zdarzało się, że oddziałowa nie była w stanie sobie poradzić z jakąś osadzoną, to wtedy zwracała się do mnie o pomoc. Bo wiedziała, że ona sobie nie poradzi, a ja załatwię sprawę z dziewczyną.

**AG:** I rzeczywiście zdarzało ci się podjąć takiej misji?

**Anna Cz.:** Oczywiście. Wjechała kiedyś na oddział dziewczyna – już na pierwszy rzut oka było widać, że będą z nią problemy. Cholernie roszczeniowa, nic jej nie pasowało. O wszystko się kłóciła. A najbardziej była cięta na zmienianie identyfikatorów.

**AG:** Nie rozumiem...



**Anna Cz.:** Oddziałowe mają na mundurach swoje numery identyfikacyjne – żeby osadzeni wiedzieli, z kim mają do czynienia. Ale zdarza się, że wymieniają się nimi między sobą. Czyli oddziałowa XYZ nagle staje się oddziałową ABC, choć prawdziwej ABC akurat nie ma w pracy.

**AG:** Ale po co robić taki cyrk?

**Anna Cz.:** Jeśli będzie jakaś konfliktowa sytuacja i osadzona złoży skargę na oddziałową ABC, to nagle się okaże, że osadzona konfabuluje i oczernia niewinną osobę, bo przecież ABC miała wolne i nie było jej w zakładzie karnym. Numery zmieniać łatwo, bo są przyczepione na rzepy. Tak czy inaczej, dziewczyna, o której opowiadam, rzucała się i pewnego dnia w mojej celi pojawiła się oddziałowa. Mówi: „Anka, chodź na chwilę, mam sprawę”. Zaprowadziła mnie do kuchni i poczęstowała papierosem. Oczywiście odmówiłam, bo to nie honor palić fajkę z gadem, ale wysłuchałam jej uważnie. Przyznała, że nie jest w stanie sobie poradzić z jedną z osadzonych i jeśli czegoś się z tym nie zrobi, skończy się dramatem. Obiecałam, że coś zrobię z buntowniczką. Stało na tym, że ona zostanie przeniesiona do mojej celi, a ja ją spacyfikuję. Przesadzka nastąpiła już następnego dnia i uspokołam klientkę bez żadnych problemów. Wystarczyło umieć z nią gadać. Poradziłam jej: „teraz odpuść, przeczekaj, a potem rób, co chcesz”. Takich sytuacji miałam sporo.

Żeby było jasne: może i oddziałowym się wydawało, że gramy do jednej bramki, ale tak nie było – stałam po drugiej stronie, a jedynie czasem odpowiadałam życzliwością na życzliwość. Taki przykład: kiedy chciałam sobie przynieść z widzenia lakier do paznokci, pytałam oddziałową, czy mi na to pozwoli. Odpowiadała kategorycznym tonem: „Absolutnie nie!”. Czyli formalnie odmawiała. Ale gdy wracałam do celi, nie rewidowała mnie, więc w jakimś sensie dawała swoje przyzwolenie.

**AG:** Twoja skuteczność w pacyfikowaniu niesfornych osadzonych wynikała z tego, że się ciebie bały czy lubiły?

**Anna Cz.:** Strachem niczego się nie zwojuje – myślę, że byłam lubiana i po prostu dziewczyny mi ufały. Jeśli mówiłam „odpuść”, to znaczyło, że naprawdę warto mnie posłuchać. I nie wywyższałam się. Inna sprawa, że wiele oddziałowych – i nie tylko oddziałowych – uważało, że ja się bardzo różnię od reszty osadzonych. Przyznaję, nigdy nie chciałam być jedną z wielu – czy to na wolności, czy za kratami. Zawsze dobrze się ubierałam i nie przyszło mi nawet do głowy, żeby uprawiać dziadostwo w areszcie. Kto powiedział, że pod celą nie można wyglądać atrakcyjnie?



**AG:** Mówiąc szczerze, zakład karny nie kojarzy mi się z pokazem mody.

**Anna Cz.:** Dla chcącego nic trudnego. Kiedy rano wstawałam, szykowałam się, jakbym szła do pracy – włosy, makijaż, paznokcie, potem eleganckie ubranie – zawsze świeże. Podobno teraz się pod tym względem pogorszyło – to, co można dostać w kantynie, jest nieco niższej jakości, ale bez przesady. Nie trzeba mieć kosmetyków Diora, żeby dobrze wyglądać.

**AG:** Przecież pod całą masz prawo do określonej liczby sztuk odzieży – wielkiej szafy nie wstawią nawet żonie bossa mafii.

**Anna Cz.:** Owszem, trzeba kombinować i nie każdy może to robić. Ja jednak, jeśli chodzi o ciuchy, nigdy nie odpuszczam. Oto przykład: kiedy jakieś dziewczyny jechały na obserwację szpitalną, powiedzmy do psychiatryka w Tworkach, prosiłam kogoś z wolności, żeby im zawiózł trochę ciuchów. I kiedy wracały, miały na sobie po kilka koszulek, bluz czy sweterków. Miały prawo przywieźć sobie ubranie. Zdarzało się też, że ja jechałam w transport i wtedy zgarniałam tam to, co już na mnie czekało (a co dostały tamtejsze osadzone od moich ludzi). Pamiętam, że we Wrocławiu czekało na mnie dwadzieścia par butów – jako że wracałam do Warszawy z nimi z czynności, musiano mi je wpisać do mojej karty. Oczywiście, nie wszystko mogłam mieć pod całą, ale w magazynie. Mogłam sobie dowolnie żonglować stylówkami. W czasie widzeń też przemycano mi ubrania – kiedyś syn przyszedł do mnie w niebieskim swetrze i ja go na siebie włożyłam. Po spotkaniu podbiegł do mnie gad i krzyczy: „Przecież nie byłaś w niebieskim swetrze”. A ja mu na to: „Byłam w kurtce. Ale pod kurtką miałam niebieski sweter”. Odpuścił.

W końcu te kombinacje trochę mnie zmęczyły – kiedy szłam z wolności do odsiedzenia kary, czyli na moją trzecią „wizytę” za kratami, wzięłam ze sobą pełną garderobę, na lato, na zimę, na okres przejściowy.

**AG:** Przecież więzienne magazyny też nie są z gumy! Nie ma żadnych limitów?

**Anna Cz.:** Z tym, z czym przychodzisz, muszą cię przyjąć. Dzięki temu ja miałam dobre samopoczucie, ale chyba funkcjonariuszom za bardzo się to nie podobało. Pewnie uważali, że odgrywanie damy, jak się siedzi z wyrokiem za grupę przestępczą, trochę nie przystoi. Dawano mi do zrozumienia, że mój styl bycia niektórych irytuje – może dlatego miałam problem choćby z uzyskaniem pozwolenia na pracę poza oddziałem. A inne dziewczyny, nieogarnięte, niewykształcone, takich problemów z reguły nie miały. Bo wpasowywały się w standardowe postrzeganie osadzonej, odbywającej karę za przestępstwo.

Ogólnie rzecz biorąc, z oddziałowymi miałam niezłe życie, ale już wychowawcy czy administracja patrzyli na mnie krzywym okiem.

**AG:** Z tego, co wiem, wyszłaś już po pierwszej wokandzie, czyli po pierwszej sesji sądu penitencjarnego w twojej sprawie. To chyba rzadkość w wypadku osoby skazanej za grupę przestępczą.

**Anna Cz.:** Owszem, sytuacja prawie niespotykana. Sądzę, że po prostu trafił mi się rozsądny sędzia, który uznał, że dalsza kara jest bezcelowa. Przewertował moje dokumenty i zorientował się, że w czasie, gdy byłam na wolności (przed odsiadką), zrobiłam wiele, żeby odmienić swoje życie. Zatrudniłam się jako pracownik medyczny i swoje obowiązki wykonywałam rzetelnie, nie spoczęłam na laurach. Nie zarabiałam na życie, kradnąc, tylko ciężko pracując.

**AG:** Twój mąż, Jarosław Cz., nadal siedzi... Czy macie ze sobą jakiś kontakt?

**Anna Cz.:** Tak naprawdę tylko przez rodzinę. Kiedy siedziałam w areszcie śledczym, miałam informacje o nim od adwokatów. Oczywiście, rozmawialiśmy ze sobą przez telefon, kiedy byłam na wolności, ale teraz to jest niemożliwe.

**AG:** Wróćmy do czerwca 2006 roku – o niezwykłym aresztowaniu twojego męża pisały wszystkie gazety. A jak wyglądało zatrzymanie ciebie?

**Anna Cz.:** Zadzwoił do mnie telefon z zastrzeżonym numerem. Odebrałam, doskonale wiedząc, że to cebeesie. Powiedzieli, że mają nakaz przeszukania mojego domu i chcą, żebym przy tym była. Odpowiedziałam, że teraz mam kontrolę w firmie, ale jak tylko się skończy, przyjadę do Zielonki i jestem do ich dyspozycji. Rozłączyłam się i natychmiast zawiozłam mercedesa do moich rodziców, na Zaciszu, bo obawiałam się, że go zarekwirują. A potem przyjechałam do Zielonki, zdjęłam szpilki i ruszyłam boso do domu. Przeszukanie trwało dwanaście godzin, zmieniali się tylko technicy kryminalistyczni, przyjechała też ekipa, która otworzyła sejf. Późnym popołudniem jeden z policjantów powiedział, że muszę jechać z nimi do Białegostoku, bo tam prowadzona jest moja sprawa. Oczywiście, zostałam zatrzymana, choć przedtem zapewniano mnie, że o żadnym zatrzymaniu nie będzie mowy. Jako że telewizor był włączony, zobaczyłam pasek u dołu ekranu z informacją o zatrzymaniu mnie. Tam spotkałam mojego męża i dyżurnego operacyjnego Komendy Głównej Policji, podejrzewanego o współpracę z nami. A konkretnie, że został przez nas skorumpowany. I dostał wyrok – pewnie gdyby zainwestował w lepszego adwokata, wyszedłby z tego bez szwanku.

**AG:** Ciebie wypuszczono z Białegostoku dość szybko?

**Anna Cz.:** Tak, właściwie po przesłuchaniu. Na areszt musiałam poczekać jeszcze pół roku – za kraty trafiłam w połowie grudnia 2006 roku. I to też było dość widowiskowe zatrzymanie. Najpierw antyterrorysty pomylili adresy i wywalili drzwi do moich teściów, którzy mieszkali po sąsiedzku. O tym, że coś się dzieje, dowiedziałam się od mojego pasierba, który wracał do domu z pracy i zobaczył małą armię na naszej ulicy. Zadzwoił i mówi: „Tu jest ze dwudziestu antyterrorystów i wozy bojowe. To chyba nie film”. Wstałam z łóżka, gorączkowo myśląc, co powinnam zrobić w tej sytuacji. Znalazłam stary telefon męża i wsadziłam go dziesięcioletniej córce za majtki i powiedziałam: „Leć do szkoły, a potem oddaj dziadkom ten telefon”. Z innych telefonów wyjęłam karty SIM, połamałam je i spuściłam w sedesie. W końcu wyszłam na balkon i zobaczyłam policyjną ekipę w gotowości bojowej. Krzyknęłam, żeby dali sobie spokój ze szturmem – ja ich wpuszczę bez problemu. Mój trzyletni synek smacznie spał i zależało mi na tym, żeby mu nie zgotowali koszmaru. Ale oni nie zamierzali czekać – wkroczyli do domu od strony ogrodu. Przytuliłam do siebie córkę, przykucnęłyśmy i powiedziałam jej: „Nic się nie bój, teraz będzie dość głośno, przyjdą tacy panowie ubrani na czarno z karabinami, ale potem wszystko się uspokoi”. Wtedy wyleciała szyba i zaraz rozległy się krzyki: „Policja, wszyscy na podłogę”. No i wszystko potoczyło się jak w scenariuszu filmu sensacyjnego.

Co ciekawe, policjanci z obserwacji mieszkali w najbliższej okolicy już od pół roku. Czyli mniej więcej od czasu zawinięcia Jarka. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że tu żaden zbrojny opór ich nie czeka.

**AG:** Od początku wiedziałaś, że to obserwacja?

**Anna Cz.:** Nie miałam pojęcia. Byli doskonale zakamuflowani. Wynajęli sobie pokój w prywatnym domu starców, znajdującym się kilkadziesiąt metrów dalej. Przemieszczali się starym passatem na lubelskich blachach i udawali ekipę remontową. Nawet trochę się dziwiłam, że całkiem przystojne młode chłopaki wolą się babrać w farbie i cemencie, niż robić karierę w jakiejś korporacji. Jak ich mijałam, zawsze im pomachałam. Do głowy mi nie przyszło, że to psy! I chwilę po szturmie wszedł do mojego domu jakiś facet w długim płaszczu i w wełnianej czapce naciągniętej po same oczy. Stał naprzeciw mnie i ściągnął nakrycie głowy – to był jeden z tych „budowlańców”. Powiedział mi: „Dzień dobry, pani Anno”. Zamarłam.

**AG:** Chciał ci pokazać, jak bardzo się myliłaś co do niego?

**Anna Cz.:** Odebrałam to jako gest czegoś w rodzaju sympatii. Że jest przy mnie i wie wszystko na mój temat. A czy taka była jego intencja? Nie mam

pojęcia – nigdy więcej go nie zobaczyłam, ale obecności policji mi nie brakowało, także w areszcie śledczym. Oficerowie CBS byli obecni przy wszystkich moich widzeniach. Jeden z wychowawców, taki bardzo doświadczony, z wieloletnim stażem, zapytał mnie: „Pani Aniu, co pani takiego nawywijała? Pierwszy raz spotykam się z czymś takim, żeby cebeesie tak bardzo kontrolowały widzenia”.

**AG.:** Czego się obawiali?

**Anna Cz.:** Z tego, co wiem, szykowali mojego męża na świadka koronnego i zależało im na tym, żeby w tej sprawie nie było żadnego przecieku. A ja niczego nie wiedziałam! Zaczęłam traktować oficera niemal jak rodzinę – ostatecznie ciągle go widziałam. Nawet spytałam go kiedyś: „Może ma pan dla mnie jakiś grypsik?”. A on wtedy wydygał i poprosił: „Niech pani nawet nie sugeruje takich rzeczy, ja tu jestem służbowo”. „Wyluzuj, człowieku, przecież żartowałam” – odparłam. Ale to go nie uspokoiło. Kiedyś odwiedził mnie ojciec i sprzedał mi newsa: „Zastrzelili Pawła, syna Dziada, tego bossa z Ząbek”. A ja spytałam: „Tato, ale mam nadzieję, że ty nie miałeś z tym nic wspólnego?”. Mój „przyjaciół” z CBS uderzył pięścią w stół i rzucił krótko, że to nie jest temat do rozmowy. A przecież ja o wszystkim wiedziałam z telewizji.

**AG:** Nie żal ci tego, że przez interesy męża trochę ci się pokomplikowało życie?

**Anna Cz.:** Kiedyś pewien prokurator tak ocenił sytuację: blondynka zakochała się w gangsterze. I to jest prawda. Czasem za miłość trzeba zapłacić.

## Zwolniona dla dobra służby

Jakiś czas temu na rynku pojawiła się książka ujawniająca rzekome skandale w polskich więzieniach, a konkretnie – w zakładzie karnym na warszawskim Grochowie. Autor opisał metody, jakimi strażniczki miały nękać osadzone i upokarzać je. Wprawdzie tożsamość strażniczek została ukryta, ale rozwikłanie, kto jest kim, nie było dla więziennej administracji zbyt trudne. Wybuchła afera, w efekcie której kilka funkcjonariuszek rozstało się ze Służbą Więzienną. Rzecz w tym, że jedynym źródłem informacji autora była osadzona, która skontaktowała się z nim i opowiedziała swoją wersję, która raczej nie miała wiele wspólnego z prawdą. Pomówione chciały się skontaktować z twórcą książki, a być może nawet wszcząć przeciwko niemu postępowanie cywilne, ale on zmarł tuż po premierze publikacji. Jaka była prawda?

Oddajmy głos jednej ze strażniczek z Grochowa. Joanna musiała odejść ze służby na fali zwolnień, choć akurat nie była bohaterką wspomnianej książki.

**Artur Górski:** Książka o rzekomej aferze na Kamczatce, jak pieśzcotliwie określają ten zakład karny na Grochowie niektórzy osadzeni, musiała być dla ciebie wstrząsem. O co chodziło w całej sprawie?

**Joanna:** O to, że kilka osadzonych postanowiło się zemścić – nie wiem, za co – na funkcjonariuszkach SW i poszły ze swoimi rewelacjami do mediów.

**AG:** Jakimi rewelacjami? Co zarzucały strażniczkom?

**Joanna:** Chodziło o poważne sprawy: molestowanie seksualne, znęcanie się nad osadzonymi – zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

**AG:** Poczekaj, jednej rzeczy nie rozumiem. Jak to, poszły do mediów? Rozumiem, że zadzwoniły do redakcji?

**Joanna:** Nie, nakręcenie takiej afery z za krat byłoby, jeśli nie niemożliwe, to bardzo trudne. Jedna z pań, która znalazła się na wolności, spotkała się z dziennikarzem. Opowiedziała mu, że bywała poniżana, że strażniczka ją wiązała, kneblowała – generalnie, że spotykały ją takie szykany, jakie

w dzisiejszych czasach są w więzieniach po prostu niemożliwe. Owszem, krzyki są na porządku dziennym, ale nie przemoc fizyczna.

**AG:** Mam w to uwierzyć, że strażnikom nie zdarza się użyć przemocy wobec osadzonych, szczególnie tych trudnych?

**Joanna:** Jeśli trafi się agresywny osadzony, to oczywiście stosuje się wobec niego środki przymusu bezpośredniego, ale od tego jest atanda, czyli funkcjonariusze Grupy Interwencyjnej Służby Więziennej. Zwykli strażnicy nie mają prawa do takich interwencji. Zresztą, nie mam zamiaru mówić o tym, co dzieje się w innych zakładach karnych – na Grochowie na pewno nic takiego nie miało miejsca.

**AG:** Jeśli to była zemsta ze strony osadzonych, to pytanie brzmi: za co?

**Joanna:** Zarzuty dotyczyły głównie jednej ze strażniczek. To była osoba o homoseksualnej orientacji, zresztą w związku z osadzoną, więc może komuś to się nie spodobało.

**AG:** Myślisz, że motywem mogła być zazdrość?

**Joanna:** Nie chcę gdybać... Relacje międzyludzkie w warunkach osadzenia bardzo różnią się od tych na wolności. W prasie ukazały się fotografie obu pań – i oddziałowej, i jej ukochanej. Nie wiem, kto i kiedy te zdjęcia zrobił.

**AG:** Zdjęcia było zrobione w więzieniu?

**Joanna:** Nie, na wolności, bo ta osadzona już jakiś czas temu wyszła z zakładu karnego. Ale, oczywiście, poznały się za kratami.

**AG:** I już wtedy demonstrowały, że są parą?

**Joanna:** Nie! Nawet jeśli coś między nimi było, to skrzętnie to ukrywały. Znam tę oddziałową od lat i jestem pewna, że niczego głupiego by nie zrobiła. Tak naprawdę, nie mam pojęcia, dlaczego wybuchł skandal – wiem, że osadzone lubiły tę oddziałową, traktowały ją wręcz jak koleżankę. Z wzajemnością.

**AG:** A co możemy powiedzieć o tej osadzonej, która rozpętała skandal?

**Joanna:** Bardzo trudna osoba, konfliktowa, wręcz agresywna, często karana. Wiem, że można w to nie wierzyć, bo przecież mam niby interes w tym, żeby ją pokazać w jak najgorszym świetle, ale zapewniam, że mówię prawdę. Potwierdzić to mogą jej akta z odsiadki. I nagle okazuje się, że to ona jest ofiarą i wszyscy jej wierzą.

**AG:** Dziennikarz, który to opisał, nie musiał wierzyć jej zapewnieniom, ale napisał to, co brzmiało atrakcyjnie z punktu widzenia czytelnika.

**Joanna:** I zawsze mógł powiedzieć, że przecież nie miał dostępu do akt.





**AG:** Jak władze SW zareagowały na publikację tej książki?

**Joanna:** Osadzone, które miały związek z tą sprawą, zostały rozwieszone po Polsce, po różnych zakładach karnych.

**AG:** Prawdę mówiąc, takimi zarzutami powinna się zająć prokuratura.

**Joanna:** SW to załatwiło we własnym zakresie. Kilka strażniczek zostało zwolnionych ze służby. Jak to określono: dla dobra służby. Pracę stracił także kierownik zmiany, któremu podlegała wspomniana oddziałowa.

**AG:** Tego już zupełnie nie rozumiem. Czy to znaczy, że SW uznało, że zarzuty kierowane przez osadzoną są w pełni uzasadnione? Nie było żadnego wewnętrznego dochodzenia? Sama powiedziałaś, że akta nie stawiały tej osadzonej w dobrym świetle.

**Joanna:** Funkcjonariuszki zostały przyciśnięte – zaczęto na siłę szukać haków. Kilka strażniczek przyznało się, że przemycały z magazynu osadzonym kosmetyki czy ciuchy, co oczywiście jest niedopuszczalne. Dyrektor chciał zabłysnąć i pokazać, że odkrył wielką aferę. Szkoda, że nie ujawnił, co robią inni funkcjonariusze – to dopiero byłby szok! Szkoda, że niewinne osoby zostały tak skrzywdzone.

**AG:** Czyli chciały zrobić osadzonym dobrze, a te je wkopały?

**Joanna:** Tak właśnie. Zamiast się cieszyć z tego, że ktoś im trochę uprzyjemnił pobyt za kratami, odpłaciły w najgorszy możliwy sposób. Zdaniem szefostwa jednostki zwolnione funkcjonariuszki powinny się cieszyć, że nie wyprowadziła ich policja w kajdankach. Na marginesie: to, że osadzone są często pod wpływem narkotyków, nikomu nie przeszkadza, nikt nie próbuje ustalić, jaką drogą prochy docierają za mur. Ale przekazanie skazanej jej własnego kosmetyku to już prawdziwa zbrodnia.

**AG:** I co teraz z tą oddziałową?

**Joanna:** Cały czas stara się o przywrócenie do służby. Podobno Centralny Zarząd SW uchylił decyzję Regionalnego Inspektoratu o zwolnieniu ze służby, ale teraz nikt nie wie, co zrobić. W każdym razie, kobieta jest bez pracy. Nie ona jedna.

**AG:** Wróćmy do tematu zakazanych substancji, które jakimś cudem trafiają na oddziały.

**Joanna:** Z tym jest bardzo różnie. Zdarza się, że przynoszą je dziewczyny, które chodzą do pracy na wolności.

**AG:** W kieszeniach? Tak po prostu?

**Joanna:** Nie, ukryte. Gdzie? Nazwijmy to: otworem wewnętrznym. Tak to się u nas w służbie określa. Oczywiście, tak docierają nie tylko prochy, ale też choćby telefony. Zdarzają się modele bardzo malutkie, prawie jak zapalniczka i można je bez problemu włożyć do tego otworu. Kiedy się je przyłapało na przemyście, przeważnie oddawały telefon bez szemrania.

**AG:** Osadzeni bywają agresywni, kiedy im się coś odbierze albo czegoś zabroni?

**Joanna:** Oczywiście! Takie napady furii zdarzały się na przykład osobom, które pozbawiłam możliwości wykonywania pracy. Ja wiem, że to jest dotkliwa kara – co zresztą trudno zrozumieć, będąc na wolności – ale naprawdę niektórzy na nią zasługują. Jedna z dziewczyn, którą to spotkało, wyzywała mnie od najgorszych, groziła, że mi spali dom – repertuar represji wobec mnie miała nieograniczony.

**AG:** A za co ją ukarałaś?

**Joanna:** Bo kradła w miejscu pracy. Pracowała na jednym ze stołecznych basenów i miała okazję, aby czasami to czy owo „przytulić”. A konkretnie biżuterię: czasem obrączkę, innym razem złoty łańcuszek. Przynosiła to na oddział, a potem – jakimś cudem – przekazywała swojej rodzinie podczas widzeń. W końcu ją przyłapano. Dlatego podjęłam taką, a nie inną decyzję, a ona nękała mnie jeszcze przez długi czas. Nawet wzięłam urlop, żeby odpocząć od jej agresji. Niestety, w takich sytuacjach strażnik jest sam – nie może liczyć na wsparcie kierownictwa. Zupełnie jakby to osadzony był tym, którego się chroni i poważa. I któremu się ufa. Jak osadzony ma nas szanować, skoro my sami siebie nie szanujemy?

**AG:** Jak uspokoić więźnia, który wpada w furie?

**Joanna:** Są na to różne sposoby, ale zdziwię cię – przeważnie nie trzeba sięgać po jakieś wyrafinowane, drastyczne metody. Znałam osadzoną, która była wyjątkowo nadpobudliwa i wpadała w szał przy byle okazji. Był jednak na nią sposób – kawa i papierosy. Jak zaczynało się jej w głowie gotować, oddziałowa leciała do niej z tacą. I to skutkowało.

**AG:** To trochę zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

**Joanna:** Naprawdę, nie ma sensu pakować kogoś do izolatki, jeśli można go spacyfikować prostymi środkami. Oczywiście, czasami izolatka jest koniecznością – delikwent trafia do takiego miejsca i jest w nim tak długo, aż się uspokoi. To jest kara bardzo dotkliwa, gość nie ma z nikim kontaktu, nie wychodzi z monitorowanej celi, jest jedynie sam ze sobą. Nie ma prawa ani do radia, ani do książki. Jest w totalnym odosobnieniu. Zdarza się, że nawet do dwudziestu ośmiu dni, jeśli wyrazi na to zgodę sąd penitencjarny. Wielu osadzonych wpada tam w doły, w depresję, zdarza się, że miewają omamy, pojawiają się myśli autodestrukcyjne czy nawet samobójcze. Jeszcze gorsze są „dźwięki”, czyli wygłuszona izolatka, w której leżysz przykuty do łóżka, z kaskiem na głowie i – za przeproszeniem – lejesz pod siebie. Do czasu, aż się uspokoisz. Oczywiście, cały proces „wjazdu na dźwięki” jest rejestrowany przez kamery – wszystko musi przebiegać zgodnie z procedurami. Jeśli coś będzie nie tak, to funkcjonariusze mają problem.

Dlatego bezpieczniej jest podać kawę, jeśli to działa. Inny przykład: pewien osadzony nie chciał zejść ze spacerniaka. Był to jego bunt za brak telewizora pod celą. Co zrobił oddziałowy? Zaniósł mu telewizor i był już spokój z facetem. My naprawdę często ustępujemy. Najczęstszą przewidzianą regulaminem karą jest zmiana podgrupy – powiedzmy, z półotwórka na zamek. Taka zmiana naprawdę boli i osadzony musi się bardzo postarać, żeby wrócić na oddział półotwarty.

**AG:** Wróćmy do wspomnianej książki o aferze na Grochowie. Czy jest możliwe, aby narkotyki były przemycane na teren zakładów karnych przez funkcjonariuszy?

**Joanna:** Nie chcę mówić o innych jednostkach, bo nie mam pojęcia, co się tam dzieje. Mogę mówić tylko za siebie: ja bym się po prostu bała, bo wiem, co za to grozi: nie tylko wydalenie ze służby, ale także wyrok, i to wysoki. A nie muszę cię chyba przekonywać, że gad, który trafia za kraty, nie ma lekkiego życia. Przez lata służby nauczyłam się jednej prawdy: trafić do więzienia można naprawdę za byle co. Za niezapłacony mandat, ba – nawet za nielegalny handel pietruszką na ulicy. Przecież te babiny, które sprzedają pokątnie warzywa, żeby mieć na swoje liche życie, też trafiają pod celę. Może nie z jakimiś wielkimi wyrokami, przeważnie na kilka tygodni, ale zawsze! A wiesz, ile jest pracy papierkowej z przyjęciem takiej na oddział? Przecież to nikomu się nie opłaca! W więzieniu można spotkać naprawdę mądre i inteligentne osoby, którym się powinęła noga, a które najzwyczajniej w świecie nie powinny tam być. Powiem uczciwie – z wieloma takimi osadzonymi lepiej mi się rozmawiało niż z funkcjonariuszami. Gdybym miała krótko określić stosunki panujące w środowisku funkcjonariuszy, to powiedziałabym, że są... dalekie od doskonałości. Na kolegów ze służby

zawsze mogłam liczyć – jeśli chodzi o obrobienie dupy, rozpuszczanie złośliwych plotek, złożenie donosu do kierownika. A osadzona potrafiła nawet poczęstować mnie kanapką czy zapytać o zdrowie.

**AG:** No, ale inne życzyły ci jak najgorzej. Z jakimi osadzonymi miałaś najlepszy kontakt?

**Joanna:** To zależało od konkretnej osoby, a nie od wyroku. Ale powiem ci coś: najlepiej wspominam osadzone, które trafiły do puchy z wyrokiem dożywocia. One miały zupełnie inną perspektywę, inne spojrzenie na życie; na to, co w nim ważne, a co nieważne. Z kolei najbardziej roszczeniowe i agresywne były te z krótkimi, kilkutygodniowymi wyrokami. Wrócę jeszcze do traktowania nas przez kierownictwo. Oto przykład: funkcjonariusze będący na szkoleniu podoficerskim są traktowani gorzej niż osadzeni – pokoje słuchaczy, jak i ich rzeczy osobiste, są dokładnie przeszukiwane, czy aby przypadkiem ktoś nie schował alkoholu. Czyli normalny kipisz, jak pod celą!

**AG:** W sumie, alkohol w takim zakładzie pracy to rozrywka niewskazana...

**Joanna:** Tu chodzi o upokorzenie, a nie o zapobieganie. Inna sprawa to warunki pracy – nadgodziny, w związku z dużymi brakami kadrowymi, to standard. Często trzeba pracować non stop przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, chodząc po oddziale nawet przez dwanaście godzin bez chwili wypoczynku. Nawet nie ma kiedy zjeść kanapki czy pójść do toalety. Nie użalam się – po prostu chcę, żeby coś się w tej kwestii zmieniło. Wielu tego nie wytrzymuje i odchodzi ze służby. No bo po co to robić? Dla pieniędzy? To jest ostatni argument – płace są bardzo niskie. Podobnie jak premie pod koniec roku, które wynoszą od 300 do 500 złotych. Oczywiście, są tacy, którzy dostają nawet po kilka tysięcy złotych! Ta służba jest podzielona na lepszych i gorszych. Jakiś czas temu była głośna sprawa dyrektora zakładu karnego, który miał romans ze swoją sekretarką. Z kobietą w wieku jego córki. Ta pani najpierw została żoną szefa, a następnie bardzo szybko awansowała. Tak się robi kariery w SW. Często są przypadki, kiedy ktoś zostaje dyrektorem i natychmiast mianuje dowódcą zmiany swojego brata, a na wysokie stanowiska powołuje ludzi ze swojego miasta. Pamiętam też sprawę pewnego dyrektora, którego plotka związała z wychowawczynią. Kobieta w trybie pilnym została przeniesiona do innej jednostki. I tak miała szczęście, że jej nie zwolniono. Takie sytuacje, takie niesprawiedliwe podejście do pracowników, są szalenie frustrujące. Szkoda, że odchodzą ci, którzy do tej służby po prostu się nadają. A zostają ci, którzy często nie powinni w ogóle się w niej znaleźć.



## Zakończenie

W końcu nadszedł ten dzień... A wcześniej była ostatnia nocka. Jak to śpiewał Maleńczuk: „Boli mnie głowa i nie mogę spać, chociaż dokoła wszyscy już posnęli, nie mogę leżeć, a nie mogę wstać, mija ostatnia nocka w mojej celi”...

To jest ta dobra wiadomość – że ostatnia. Wszystko jedno, czy odpukałeś cały wyrok, czy wychodzisz przedterminowo, bo zrobiłeś dobre wrażenie na sędzie penitencjarnym. Wychodzisz i dajesz sam sobie słowo honoru, że już nigdy tu nie trafisz.

Ale potem bohater piosenki zaczyna się zastanawiać: „nie wiem, czy wierzę jej, czy nie wierzę”. Przekładając to na język konkretów: zdradziła czy nie. Czy nadal jest ze mną, czy teraz się okaże, że te jej wizyty w puszcze to była tylko ściema.

I zaczynasz się zastanawiać: czy ja w ogóle będę miał gdzie mieszkać?

A jak zareagują na ciebie dzieci? Czy nadal będziesz dla nich autorytetem, czy może wręcz przeciwnie – kimś, komu już się nie uwierzy i nie zaufa. Dzieci podrosły – z dzieciństwa wychodziły bez ojca, więc pewnie umieją żyć bez niego.

Robota? Coś się znajdzie, ale pewnie już nie tam, gdzie pracowałeś przed wyrokiem. Niby wszędzie słyszysz, że osobom wychodzącym z zakładów karnych trzeba dawać szansę, że nie wolno ich traktować jak potencjalnych przestępców, że są specjalne programy pomocowe, ale to teoria. Dla świata już zawsze będziesz bandytą, a jeśli ktoś cię zatrudni, to będzie ci patrzył na ręce pięć razy częściej niż innym. W końcu tego nie wytrzymasz, zwolnisz się i zaczniesz szukać innej roboty. Ale pójdzie za tobą smród, że nie wytrzymałeś w pracy, którą ci łaskawie zaoferowano (może nawet coś komuś zawinąłeś, tylko zamieciono to pod dywan), i będzie jeszcze trudniej.

Ale póki co, wracasz. Kto będzie na ciebie czekał po drugiej stronie muru? Jak będzie wyglądał świat? Jaka będzie pogoda, może spadnie deszcz? Tak, na razie myśl o pogodzie. A reszta... jakoś się ułoży.

# Spis treści

Od autora  
Przychodzi wezwanie do stawienia się...  
Byle nie jechali po rajtach  
Jak nawijać makaron na uszy  
Kto nie lubi wychowka  
Dziś prawdziwych grypsujących już nie ma  
Krew w imię zasad  
Cwel, rajer i cwaniaki  
Porucznikom nie dała, a złodziejowi dała  
Trzeciego dziecka już nie chciałam  
Kochała tyrana, zabiła tyrana  
Sprawa Adama Dudały  
Bujając w furgonetce  
Żona więźnia – najtrudniejsza rola  
Blondynka zakochała się w gangsterze  
Zwolniona dla dobra służby  
Zakończenie